

NORA ROBERTS

ARYSTOKRACI

PROLOG

Była księżniczką. Dobrze urodzoną, odpowiednio skoligaconą i starannie wychowaną. Nienaganną w obejściu, sposobie wystawiania się oraz manierach. Mogła śmiało uchodzić za wzór pewnej siebie, uroczej młodej damy. Prawdziwy ideał, na dodatek podany w efektownej oprawie.

Takich właśnie przymiotów oczekiwano od członków rodziny książęcej, zwłaszcza gdy występowali publicznie. Księżniczka wiedziała o tym. Wielka impreza charytatywna w Waszyngtonie była wydarzeniem ze wszech miar publicznym, dlatego księżniczka starała się jak najlepiej wypełnić swe obowiązki. Z czarującym uśmiechem ścisnęła dłonie ludzi, którzy dzięki grubym portfelom kupili sobie przywilej otarcia się o wielki świat.

Co jakiś czas spoglądała na swą matkę, Jej Księżęcą Wysokość Gabriellę de Cordina, która z godną pozazdrosczenia wprawą odgrywała swoją rolę. Zdawało się, że wszystko przychodzi jej bez wysiłku, ale księżniczka doskonale wiedziała, jak wiele ciężkiej pracy włożyły obie z matką w przygotowanie tej uroczystości.

Widziała ojca - pełnego spokoju i wciąż bardzo przystojnego - oraz brata, który tego wieczoru pełnił rolę jej towarzysza. Obaj ze swobodą obracali się pośród tłumu gości, wśród których było wielu polityków oraz ludzi znanych i zamożnych.

Gdy nadszedł czas występów, Jej Księżęcą Wysokość Camilla de Cordina zajęła swoje miejsce. Uczesana w misternie pleciony kok, pokazywała długą szyję, na której iskrzyły się szmaragdy. Czarna suknia eleganckim krojem podkreślała jej wiotkość, która, o czym dobrze wiedziały obie z krawcową, zaczynała być niepokojąca. Księżniczka zupełnie straciła apetyt.

Twarz miała spokojną i sprawiała wrażenie osoby odprężonej i zadowolonej z siebie. Tylko gdy przymykała oczy, wściekły ból głowy powodował, że pod piękącymi powiekami widziała purpurowe plamy. Była księżniczką. I kobietą na skraju wyczerpania.

Biła brawo. Uśmiechała się. Śmiała.

Zbliżała się północ - księżniczka była na nogach od osiemnastu godzin - gdy matce udało się wreszcie zamienić z nią kilka słów.

- Kochanie, źle dziś wyglądasz. - Matczyne oczy z niepokojem badały wyraźne ślady wycieńczenia. Gdy szło o dzieci, księżna Gabriella miała wyjątkowo bystry wzrok.

- To nic poważnego. Jestem trochę zmęczona.

- Idź już. Wracaj do hotelu. I nie próbuj ze mną dyskutować - szepnęła córce do ucha.
- Za ciężko pracujesz. Żałuję, że nie wysłałam cię na naszą farmę.

- Tak wiele było do zrobienia.

- Owszem, ale ty już dawno wykonałaś plan. Powiedziałam Marian, żeby uprzedziła ochronę i wezwała szofera. My z ojcem też niedługo wychodzimy. - Księżna dyskretnie spojrzała przez ramię i poszukała wzrokiem syna. Znalazła go u boku popularnej piosenkarki, której towarzystwo najwyraźniej przypadło mu do gustu. - Czy chcesz, żeby Kristian pojechał z tobą?

- Nie, spójrz, jak dobrze się bawi. Zresztą lepiej, żebyśmy wyszli osobno. - I dyskretnie, dodała w myślach.

- Amerykanie bardzo cię lubią. Może nawet za bardzo. - Gabriella pocałowała córkę w policzek. - A teraz idź już, odpocznij. Porozmawiamy rano.

Nie dane jej było wymknąć się niepostrzeżenie. Nie pomogły zabiegi ochrony, podstawiony na przynętę samochód i wychodzenie tylnymi drzwiami. Wścibscy fotoreporterzy i tak ją wytropili. Ledwie zdążyła zrobić krok w czarną noc, oślepiły ją flesze, ogłuszyły wrzaski, przeraził las rąk wyciągających się w jej stronę. Kolana ugięły się pod nią, przerażona poczuła, że ochroniarze popychają ją w stronę samochodu.

Ogarnięta paniką biegła otoczona agentami ochrony. Było jej bardzo gorąco, ludzie tak się wokół stłoczyli, że zabrakło jej powietrza. Pewnie dlatego ogarnęły ją mdłości. Czowała się chora, słaba i przestraszona jak dziecko. Nie wiedziała, czy straciła równowagę, czy wpełchnięto ją, czy też sama wsiadła do samochodu.

Ktoś szybko zatrzasnął drzwi. Pokrzykiwania tłumu przypominały teraz ryk fal, od których oddzielała ją bezpieczna bariera ze szkła i stali. Strumień chłodnego powietrza z klimatyzatora sprawił, że zaczęła dygotać. Zamknęła oczy.

- Wasza Wysokość? Dobrze się pani czuje? Zaniepokojony głos docierał do niej jak przez mgłę.

- Tak. Czuję się dobrze. Wszystko w porządku. Wiedziała, że to nieprawda.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Bez względu na to, co miało zostać powiedziane, decyzja nie była podjęta pod wpływem impulsu. Jej Książęca Wysokość Camilla de Cordina nie była kobietą impulsywną.

Była natomiast zdesperowana. Desperacja, co sama musiała przyznać, narastała w niej od miesięcy, by podczas owej gorącej, parnej, nieskończenie długiej czerwcowej nocy osiągnąć punkt krytyczny. Rozwrzeszczana horda paparazzich, która otoczyła ją, gdy próbowała opuścić galę, spełniła rolę kropli przepelniającej czarę. I choć ochrona skutecznie ją osłoniła, gdy zachowując resztki godności chowała się do limuzyny, w jej głowie wibrował ogłuszający krzyk: Pozwólcie mi oddychać. Na miłość boską, zostawcie mi trochę przestrzeni.

Kiedy dwie godziny po tym incydencie nerwowo krążyła po swym apartamencie, z którego widać było migoczące w dole światła Waszyngtonu, wciąż czuła złość, wzburzenie i frustrację. Nie dalej jak trzy godziny drogi na południe znajdowała się farma, na której spędziła część swego dzieciństwa. Kilka tysięcy kilometrów na wschód, po drugiej stronie oceanu, leżało miniaturowe państwko, w którym upłynęła tego dzieciństwa druga połowa. Jej życie zawsze było podzielone pomiędzy te dwa światy. I choć je kochała, od dawna zastanawiała się, czy rzeczywiście w którymś z nich zdoła znaleźć swoje miejsce.

Nadszedł czas, najwyższy czas, by to zrobić.

Jednak by tego dokonać, najpierw musiała odnaleźć samą siebie. Tylko jak to zrobić, skoro bezustannie otaczali ją ludzie. Co gorsza, coraz częściej czuła się jak ścigana zwierzyna. Być może jej sytuacja wyglądałaby inaczej, gdyby nie była najstarszą spośród trzech młodych księżniczek z Cordiny. I jednocześnie, przez wzgląd na pochodzenie ojca oraz fakt, że przez ostatnie lata mieszkała w Stanach, najbardziej z nich wszystkich dostępną.

Można było odnieść wrażenie, że całe jej życie podporządkowane jest polityce, wymaganiom protokołu i oczekiwaniom prasy. Prośby, żądania, spotkania, obowiązki. Dopiero co wypełniła swoje zadanie jako współorganizatorka imprezy dobroczynnej na rzecz niepełnosprawnych dzieci - czym zajmowała się wspólnie z matką. Wierzyła w słuszność tego, co robi, rozumiała, jak ważna jest taka działalność. Nie chciała uchylać się od powinności. Tylko czemu cena, jaką przyszło jej płacić, jest tak wysoka?

Przygotowania do imprezy trwały tygodniami i kosztowały wiele zachodu. A potem zamiast radości, że ciężka praca przyniosła owoce, czuła ogromne znużenie. Tłum ją męczył. Wszystkie te twarze, obiektywy, kamery.

Nawet jej własna rodzina, Bóg wie, jak bardzo kochana, zdawała się być zbyt blisko. Możliwe, że wywnętrzanie się przed asystentką i opowiadanie jej o takich przeżyciach było niewdzięcznością i niedopuszczalnym przejawem braku lojalności. Tyle że ta asystentka była jej najbliższą i najwierniejszą przyjaciółką.

- Dostaję mdłości, kiedy widzę swoją twarz na okładce kolejnego pisma, kiedy czytam o swoich domniemanych romansach. Marian, mam dość tego, że obcy ludzie wymyślają mi osobowość.

- Arystokraci, piękne twarze i seks to tematy, na których brukowce zarabiają krocie. - Marian Breen była kobietą praktyczną, o czym dobitnie świadczył jej głos. A ponieważ знаła Camillę od dziecka, w jej słowach było więcej rozbawienia niż szacunku. - Wiem, że ten wieczór był dla ciebie koszmarem i doskonale rozumiem, że przeżyłaś wstrząs. Jak tylko się dowiemy, kto sprzedał prasie tę informację...

- Co się stało, to się nie odstanie. Czy to ważne, skąd wziął się przeciek?

- Zachowywali się jak sfera psów - mruknęła Marian. - Cóż, jesteś księżniczką, więc Amerykanie traktują cię jak królową z bajki. Masz urodę matki, czyli wyglądasz olśniewająco. Przyciągasz mężczyzn jak posezonowa wyprzedaż łowców okazji. A prasa, zwłaszcza ta agresywna, na tym żeruje.

- Mój tytuł i uroda nie zależą ode mnie, to kwestia urodzenia. A jeśli chodzi o mężczyzn... - Camilla wykonała w powietrzu niedbały gest dłonią - to interesują się nie tyle mną, ile całą tą arystokratyczną otoczką. Czyli tym samym, za czym gonią kolorowe pisma.

- Paragraf dwadzieścia dwa. - Marian skubała winogrona z wielkiego kosza z owocami, przysłanego przez dyrekcję hotelu. W duszy bardzo martwiła się o przyjaciółkę. Camilla była blada i przesadnie wychudzona.

Marian pocieszała się, że to nic poważnego. Kilka dni na farmie w Wirginii pomoże Camilli odzyskać siły.

Tylko tam mogła czuć się tak samo bezpieczna jak w odległej Cordinie. Jej ojciec o to zadbał.

- Ja rozumiem, że to okropne, wszędzie chodzić z ochroną, uciekać przed zgrają paparazzich, którzy śledzą twój każdy krok. Ale co na to poradzisz? Uciekniesz z domu?

- Tak.

Marian zaśmiała się i spokojnie sięgnęła po kolejny owoc. Jednak widząc twarde wyraz brązowych oczu Camilli, podniosła do góry rękę.

- Hej, zdaje się, że wypijaś za dużo szampana.

- Jeden kieliszek. I to niecały.

- Wobec tego musiał być wyjątkowo duży. Słuchaj, idę teraz do siebie i jak grzeczna dziewczynka kładę się spać. Ty też się prześpij. Odpoczniesz i kiepski nastrój na pewno minie.

- Myślę o tym od tygodni. - Bawię się tą myślą, przyznała w duchu. Marzę o tym. Tej nocy marzenie miało się spełnić. - Marian, musisz mi pomóc.

- *Non, c'est impossible. C'est completement fou!* Marian rzadko mówiła po francusku. Choć spędziła w Cordinie większą część życia, była Amerykanką do szpiku kości. Jej rodzice przenieśli się ze Stanów, gdy miała dziesięć lat. Właśnie od tego czasu trwała jej przyjaźń z Camilla.

Marian używała języka swej drugiej ojczyzny tylko wtedy, gdy wpadała w panikę. Patrzyła na Camillę szeroko otwartymi, błękitnymi oczami, w których widać było ogromny niepokój.

- To, o czym myślę, nie jest ani niemożliwe, ani szalone - odparła Camilla lekkim tonem. - Wręcz przeciwnie, jest i możliwe, i zdrowe. Potrzebuję czasu, kilku tygodni spokoju. I będę je miała. Jako Camilla MacGee, a nie Camilla de Cordina. Używam oficjalnego tytułu, odkąd dziadek...

Umilkła. Nie potrafiła o tym mówić. Minęły cztery lata od jego śmierci, a ona wciąż nosiła w sercu żalobę.

- Był naszą opoką - ciągnęła, gdy zdołała opanować wzruszenie. - Większość władzy przekazał wujowi Aleksandrowi, ale tak naprawdę rządził do końca. Kiedy go zabrakło, członkowie rodziny musieli się zmobilizować, dać z siebie więcej. Ja też czułam, że w tej sytuacji muszę częściej udzielać się publicznie. Wzięłam na siebie tyle, ile byłam w stanie wziąć.

- Ale? - Marian z rezygnacją przysiadła na oparciu sofy.

- Ale teraz muszę wyrwać się z oblawy. Czuję się - Camilla przycisnęła dłoń do serca - zaszczuta. Nie mogę wyjść na ulicę, żeby zaraz nie otoczył mnie tłum fotoreporterów. Gubię się w tym wszystkim. Sama już nie wiem, kim naprawdę jestem. Zdarza mi się, i to coraz częściej, że nie czuję się sobą.

- Potrzebujesz odpoczynku.

- Tak, ale to nie wszystko. Sprawa jest dużo bardziej skomplikowana. Marian, ja nawet nie wiem, czego chcę od życia, czego pragnę. Spójrz na Adrienne - powiedziała, myśląc o swojej młodszej siostrze. - Wyszła za męża, gdy miała dwadzieścia jeden lat. Jako sześciolatka zakochała się w Phillipie, i tak już zostało. Ona zawsze wiedziała, czego chce - wyjść za niego, osiąść w Cordinie i wychowywać dzieci. Moi bracia są jak dwie połówki

ojca. Jeden jest farmerem, drugi ekspertem do spraw bezpieczeństwa. A ja nie wiem, w którą stronę iść. Nic nie umiem.

- To nieprawda. W szkole zawsze byłaś prymuską. Jeśli coś cię ciekawi, twój mózg pracuje jak komputer. Wspaniale podejmujesz gości, tyrasz jak wół w organizacjach wspierających szczytne cele.

- Obowiązki! - zachnęła się. - Wiem, że w tym jestem dobra. A co z przyjemnościami? Gram na pianinie, trochę śpiewam. Trochę maluję, fechtuję. A gdzie jest moja pasja? - zapytała, krzyżując ręce na piersiach. - Chcę ją odnaleźć. A jeśli nic z tego nie wyjdzie, to przynajmniej spędzę parę tygodni bez ochroniarzy, bez protokołu i bez tej przebrzydłej prasy, która z pewnością będzie mnie szukać. Jeśli przed nimi nie ucieknę - dodała cicho - to chyba się w końcu rozsypię.

- Cam, porozmawiaj z rodzicami. Oni zrozumieją.

- Mama na pewno. Co do ojca, to nie jestem przekonana. - Uśmiechnęła się własnych myśli i dodała: - Adrienne wyszła za męża trzy lata temu, a ojciec wciąż się dąsa, że stracił swoją córeczkę. A mama... była w moim wieku, kiedy pobrali się z ojcem Jeszcze jedna, która wiedziała, czego chce. Przedtem...

Potrząsnęła głową i podjęła wędrówkę po pokoju.

- Porwanie mamy, a potem próby zamachu na członków naszej rodziny. Teraz są to fragmenty podręcznika do historii, ale my wciąż bardzo przeżywamy tamte zdarzenia. Nie mogę obwiniać rodziców, że za wszelką cenę starali się nas chronić. Na ich miejscu zrobiłabym to samo. Tylko że ja już nie jestem dzieckiem, muszę mieć w życiu coś swojego.

- Jedź na wakacje.

- Nie, to będą poszukiwania. - Podeszła do Marian i wzięła ją za rękę. - Wypożyczyłaś samochód.

- Tak, rzeczywiście, musiałam... Och, Camillo!

- Daj mi kluczyki. A potem zadzwoń do firmy i przedłuż umowę.

- Ależ ty nie możesz opuszczać Waszyngtonu!

- Dlaczego? Przecież wiesz, że jestem dobrym kierowcą.

- Pomyśl tylko! Znikniesz z pola widzenia, twoja rodzina oszaleje. Nie mówiąc już o prasie.

- Jeśli chodzi o rodzinę, to nie pozwolę im się martwić. Zadzwonię do rodziców jutro rano. A media zostaną poinformowane, że udałam się na wakacje do bliżej nieokreślonego miejsca. Ty im podpowiesz, że jestem gdzieś w Europie, więc do głowy im nie przyjdzie tropić mnie w Stanach.

- Chciałabym ci przypomnieć, że całe to szaleństwo wzięło się stąd, że nie możesz patrzeć na swoją twarz na okładkach. - Marian wzięła ze stolika jedno z kolorowych pism i podsunęła je Camilli. - Twoją twarz zna cały świat. Ty się nie wtopisz w tłum. To się nie uda.

- Właśnie że się uda. - Camilla szybko podeszła do biurka i otworzyła szufladę. Żołądek skurczył jej się boleśnie, ale zdecydowanym ruchem sięgnęła po nożyczki. - Księżniczka Camilla - mruknęła, potrząsając sięgającymi do pasa lokami - za chwilę radykalnie zmieni swój wygląd.

Przerażenie, które odmalowało się na twarzy Marian, byłoby nawet zabawne, gdyby nie to, że Camilla czuła je każdym nerwem swego ciała.

- Ty nie mówisz poważnie - wyjąkała Marian. - Camillo, przecież nie możesz obciąć swoich pięknych włosów.

- Masz rację. Nie mogę. Więc ty to zrobisz - odparła, podając przyjaciółce nożyczki.

- Ja?! O nie! Co to, to nie! - Marian instynktownie schowała ręce za siebie. - Wiesz, co zaraz zrobimy? Usiądziemy sobie spokojnie, napijemy się wina i zaczekamy, aż odzyskasz rozum. Jutro na pewno poczujesz się lepiej.

Tego Camilla obawiała się najbardziej. Bała się, że determinacja minie i wszystko potoczy się jak dawniej. Znow będzie wypełniała obowiązki i szła przez życie w świetle reflektorów, otoczona komfortem i dostatkiem. I będzie wiecznie uciekała przed natrętną prasą.

Jeśli nie zrobi czegoś właśnie teraz, to czy kiedykolwiek będzie miała odwagę, by coś zmienić? Czy może, zgodnie z przewidywaniami brukowców, wyda się za wpływowego człowieka, odpowiedniego dla kobiety z jej pozycją i statusem, i da sobie spokój z poszukiwaniem swego miejsca na ziemi?

Mocno zacisnęła zęby, a potem uniosła głowę i zdecydowanym ruchem odcięła długie pasmo.

- O Boże! - Marian z jękiem osunęła się na fotel. - Camillo, co ty robisz?!

- Uspokój się, to tylko włosy - odparła niedbale, ale ręce jej zadrżały. Bujne, kasztanowe loki były bodaj najważniejszym elementem jej wizerunku, symbolem dotychczasowego życia, dlatego czuła się tak, jakby ucinała sobie dłoń. Przez chwilę wpatrywała się w połyskliwe pasmo miedzi owinięte wokół kurczowo zaciśniętych palców. - Dokończę w łazience. Pomożesz mi wycieniować tył.

W końcu Marian zachowała się jak prawdziwa przyjaciółka i nie odmówiła pomocy. Gdy skończyły, podłoga usłana była ścinkami włosów, Camilla zaś musiała oswoić się ze swym nowym wizerunkiem. Ciach tu, ciach tam. Kieliszek wina na pokrzepienie. I jeszcze

jedno ciachnięcie, by wszystko wyrównać. Efektem ich wspólnej pracy była krótka, chłopięca fryzurka z długą postrzępioną grzywką.

- Wyglądam tak strasznie... inaczej - wydusiła z siebie Camilla.

- Ja się chyba popłaczę.

- Ani się waż! - Camilla pogroziła przyjaciółce. - Teraz się przebiorę i spakuję trochę rzeczy. Zrobiło się późno.

Zabrała tylko to, co uważała za niezbędne. Kiedy okazało się, że podstawowe rzeczy wypełniły walizkę i dużą torbę podręczną, zrobiło jej się trochę wstyd.

Ubrała się w dzinsy, kowbojki, sweter i długi czarny płaszcz. Chciała włożyć kapelusz i ciemne okulary, ale zrezygnowała z tego pomysłu. Uznała bowiem, że będzie wyglądała w tym wszystkim jak przebieraniec, a przecież chciała wymknąć się niezauważona.

- Jak wyglądam? - zapytała.

- Zupełnie jak nie ty. - Marian pokręciła głową i okrążyła ją dwa razy.

Dzięki krótkiej fryzurze zmiana wyglądu była nie tylko drastyczna, lecz także, ku zaskoczeniu Marian, bardzo intrygująca. Po obcięciu włosów oczy Camilli zdawały się większe, i czaiła się w nich jakaś słabość. Postrzępiona grzywka przykryła wyniosłe czoło księżniczki i odmłodziła jej twarz, która bez makijażu wyglądała bardzo świeżo. Pomimo nienaturalnej bladości widać było ciepłą, jasną karnację, która na wystających kościach policzkowych zabarwiła się przyjemnym różem. Wydatne, ładnie wykrojone usta wyglądały na jeszcze pełniejsze.

Miejsce chłodnej, powściągliwej elegancji zajęła nieco niedbała i lekkomyślna młodzieńczość.

- W ogóle nie jesteś do siebie podobna - powtórzyła Marian. - Oczywiście rozpoznałabym cię, ale nie od razu. Musiałabym się dobrze przyjrzeć.

- I o to chodzi. - Camilla zerknęła na zegarek. - Jeśli zaraz wyjadę, rano będę wystarczająco daleko.

- Dokąd jedziesz?

- Przed siebie. - Położyła dłonie na ramionach Marian i pocałowała ją w oba policzki.

- Nie martw się o mnie. Dam znać, co się ze mną dzieje, obiecuję. Nawet księżniczki mają prawo przeżyć przygodę. - Uśmiechnęła się. - Może zwłaszcza księżniczki. Przymknij, że do ósmej rano nikomu nie piśniesz słówka. Potem powiedz o wszystkim moim rodzicom. I tylko im.

- Nie podoba mi się to, ale co zrobić. Obiecuję.

- Dzięki.

Camilla zarzuciła na ramię torbę i poszła po walizkę.

- Nie poruszaj się w taki sposób! - zawołała Marian.

- To znaczy jaki?

- Jak księżniczka. Przygarb się trochę, zakołysz biodrami. Sama nie wiem. Po prostu ruszaj się jak zwykła dziewczyna. Nie suń tak wyniośle.

- Aha, chyba rozumiem. Tak jest dobrze?

- Lepiej. - Marian w zamyśleniu zaczęła ruszać palcami. - Spróbuj się rozluźnić, kręgosłup to nie stalowy pręt.

Camilla kilka razy przeszła się po pokoju, starając się, by jej ruchy były jak najbardziej swobodne.

- Popracuję nad tym - obiecała. - Ale teraz muszę już iść. Zadzwoń rano.

Kiedy szła do drzwi, Marian nerwowo dreptała za nią.

- O Boże! Bądź ostrożna. Nie rozmawiaj z nieznajomymi. Sprawdzaj, czy zamknęłaś samochód. Wzięłaś pieniądze i komórkę? Masz...

- Nie denerwuj się. - Stojąc w progu odwróciła się do przyjaciółki i posłała jej promienny uśmiech. - Mam wszystko, czego mi trzeba. *A bientôt.*

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Marian złożyła dłonie jak do modlitwy.

- O Boże. *Bonne chance, m'amie.*

Dziesięć dni później Camilla śpiewała do wtóru z samochodowym radiem. Uwielbiała amerykańską muzykę. Uwielbiała jazdę samochodem. Uwielbiała to, że może być dokładnie tam, gdzie chce i robić to, co chce. Co nie znaczyło, że jej ucieczka od rzeczywistości przebiegała bez problemów. Wiedziała, że rodzice bardzo się o nią martwią, zwłaszcza ojciec. Domyślała się, że natura byłego policjanta nie pozwala mu spać spokojnie. Na pewno bezustannie myślał o wszystkich niebezpieczeństwach i złych przygodach, która mogą spotkać samotną młodą kobietę. Zwłaszcza gdy owa kobieta była jego własną córką.

Nalegał, by dzwoniła codziennie. Ona jednak uparła się, że będzie się meldowała raz na tydzień. W końcu jej matka - jak zwykle wyważona - wynegocjowała, że będą się kontaktowali co trzeci dzień. Kochała ich z całego serca. Szanowała za to, jacy byli dla niej, dla siebie, dla świata. Na pewno mieli wobec niej pewne oczekiwania. Jednak instynkt podpowiadał jej, że rodzice byliby zbulwersowani, wiedząc, że ich córka robi wszystko, by nie zawieść innych, zapominając przy tym o własnych pragnieniach. A przecież powinna żyć w zgodzie z sobą. Co do pozostałych problemów, to były raczej natury praktycznej niż emocjonalnej.

Kiedy po raz pierwszy meldowała się w motelu, co samo w sobie było dla niej ogromnym przeżyciem, zrozumiała, że nie może używać kart kredytowych. Gdyby ktoś zorientował się, kim naprawdę jest Camilla MacGee i doniósł o tym prasie, od razu byłaby - jak to mawiał jej brat Dorian - spalona.

Na skutek tego odkrycia zapasy gotówki kurczyły się w zastraszającym tempie. Duma, upór i złość na samą siebie za brak przezorności skutecznie powstrzymywały ją przed tym, by poprosić rodziców o dostarczenie środków na dalszą podróż. Zresztą gdyby to zrobiła, podważyłaby jeden z najważniejszych celów tej wyprawy. Kilka tygodni całkowitej niezależności stałoby się mitem.

Coraz częściej myślała o tym, by coś zastawić. Ot, choćby zegarek, który kosztował kilka tysięcy dolarów. Taka suma z pewnością zabezpieczyłaby ją na dłuższy czas. Postanowiła, że na następnym postoju zajmie się tą sprawą.

Póki co czerpała radość z samej jazdy. Po opuszczeniu Waszyngtonu skierowała się na północ i z przyjemnością obejrzała Wirginię Zachodnią i Pensylwanię.

Jadła w barach szybkiej obsługi, nocowała w tanich przydrożnych motelach. Przemierzała ulice miasteczek i większych miast, często potrącana i popychana przez tłum. Raz zdarzyło się nawet, że została zignorowana, a potem zbesztana przez sprzedawcę w sklepie, gdzie chciała kupić sobie coś do picia.

Czuła się wspaniale. Nikt, absolutnie nikt nie próbował robić jej zdjęć. Kiedy pewnego dnia spacerowała po parku w północnej części stanu Nowy Jork, zobaczyła dwóch starszych panów grających w szachy. Przyglądała im się tak długo, że w końcu wciągnęła ją ich dyskusja o wielkiej polityce. To, co widziała, było fascynujące i urocze.

Z rozkoszą patrzyła, jak nad Nową Anglią wybucha gorące lato, tak odmienne od tego, które znała z Cordiny i Wirginii. Każdego dnia na nowo rozkoszowała się wolnością. Nikt tu jej nie znał, niczego od niej nie chciał, ani nie kierował w jej stronę obiektywu. Wreszcie mogła bez skrupowania robić to, co robiła wyłącznie pośród najbliższej rodziny lub w gronie przyjaciół. Mogła się odprężyć.

Co wieczór, dla własnej przyjemności, zapisywała w dzienniku swe refleksje i notowała, co ją spotkało w ciągu dnia.

Jestem zmęczona, ale przyjemnie - pisała. - Jutro przekroczę, granicą Vermontu i będę musiała zdecydować, czy jechać dalej na wschód wzdłuż wybrzeża, czy zawrócić. Ameryka jest olbrzymia. Żadna z książek, lekcji ani prywatnych bądź oficjalnych podróży nie dała mi wyobrażenia o tym, jak wielki, różnorodny i piękny jest ten kraj oraz jego mieszkańcy.

Zawsze czułam się dumna z tego, że w połowie jestem Amerykanką. Najdziwniejsze, że im dłużej przemierzam swoją ojczyznę, tym bardziej obco się w niej czuję. Wygląda na to, że swego czasu zaniedbałam tą część swojego dziedzictwa. Ale to się zmieni.

Zatrzymałam się w małym motelu przy autostradzie międzystanowej, w górach Adirondack. Widoki są przepiękne. Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego o moim pokoju. Co prawda jest czysty, ale okropnie ciasny. Wygody ograniczają się do miniaturowej kostki mydła i dwóch ręczników, szorstkich jak papier ścierny. Za to tuż obok mojego pokoju stoi automat z napojami. Z przyjemnością napiłabym się wina, ale mój budżet nie pozwala na takie luksusy.

Dziś wieczorem dzwoniłam do domu. Rodzice są na farmie w Wirginii razem z moimi braćmi. Tęsknię za nimi, brakuje mi spokoju i poczucia bezpieczeństwa, które daje ich obecność. Z drugiej strony tak bardzo się cieszę, iż wreszcie mogą odkryć, kim naprawdę jestem, że nawet nie przeszkadza mi samotność.

Dochodzą do wniosku, że potrafią być zaradna. I dużo odważniejsza, niż bym przypuszczała. Potrafią skupić się na szczegółach, mam doskonały zmysł orientacji i naprawdę dobrze się czuję we własnym towarzystwie.

Co prawda nie wiem jeszcze, co to wszystko znaczy, ale już sama świadomość posiadania takich cech jest bardzo miła. Jeśli się zdarzy, że księżęcy diadem spadnie mi kiedyś z głowy, będę mogła pracować jako przewodnik albo pilot wycieczek.

Vermont ją zachwyił. Nie mogła oderwać oczu od zielonych, wzgórz, niezliczonych jezior i rzek. Tak bardzo podobały jej się tutejsze krajobrazy, że zamiast jechać dalej w stronę Maine albo zawrócić do Nowego Jorku, zdecydowała się wybrać drogę wiodącą w głąb stanu. Bez żalu porzuciła autostradę międzystanową i zaczęła przemierzać schłodzone miasteczka Nowej Anglii, jej cieniste lasy i złote pola uprawne.

Zapomniała o tym, że jeszcze niedawno chciała sprzedać swój zegarek. Przestała narzekać na motele. Jechała przed siebie z torbą frytek na kolanach, słuchała radia i z rozkoszą wystawiała twarz na podmuchy ciepłego wiatru, który wpadał przez odsunięte szyby.

Kiedy na błękitnym niebie zaczęły zbierać się burzowe chmury, w ogóle się nie przejęła. W takim świetle wysokie przydrożne drzewa wyglądały jeszcze piękniej, a w powietrzu czuć było napięcie. Nie zmartwiły jej pierwsze krople deszczu, choć to znaczyło, że musi podnieść szyby. W ostateczności mogła tego nie robić i po prostu zmoknąć. Kiedy pośród granatowych chmur rozbłysły błyskawice, podziwiała je jak przedstawienie w teatrze.

Gdy jednak deszcz przeszedł w ulewę, wiatr stał się porywisty, a błyskawice zaczęły oślepiac, uznała, że pora zwrócić. Chciała dotrzeć do autostrady międzystanowej i tam poszukać schronienia.

Dziesięć minut później przeklinała własną głupotę. Wycieraczki nie nadążały ze zbieraniem wody, która lała się z nieba strumieniami, tworząc ścianę, przez którą ledwie widać było drogę. Camilla miała wrażenie, że zamiast uciekać przed burzą, wjeżdża w sam jej środek. Coraz bardziej obawiała się, że przegapi zjazd na autostradę. Przed sobą widziała lśniąca czerń asfaltu, od którego odbijały się światła jej reflektorów, a po obu stronach drogi wysoką ścianę drzew. Tuż nad jej głową rozległ się potężny grzmot i dosłownie w tej samej chwili mocny podmuch wichury zakołysał samochodem.

Chciała zjechać na pobocze i przeczekać nawałnicę, ale wrodzony upór, który lubili wystawiać na próbę jej bracia, kazał jej brnąć dalej. Jeszcze tylko parę mil, pocieszała się, i na pewno dojedzie do głównej drogi. A tam bez trudu znajdzie motel, schowa się do środka, a potem sucha i bezpieczna będzie podziwiała żywioł.

Nagle coś poruszyło się wśród drzew i ciemny kształt wyskoczył wprost przed maskę samochodu. W smudze światła reflektorów błysnęły oczy jelenia. Bez zastanowienia mocno skręciła kierownicę. Samochód zatańczył na mokrej nawierzchni, obrócił się wokół własnej osi i zarył przodem w przydrożnym rowie.

Przez następne minuty słyszała tylko dudnienie deszczu i swój własny przyspieszony oddech. Dopiero oślepiająca błyskawica wyrwała ją z odrętwienia. Zacerpnęła głęboko powietrza, a potem wolno wypuściła je z płuc. Powtórzyła to samo trzy razy, bo zwykle tyle jej wystarczało, by się uspokoić. Tym razem trzeciemu oddechowi towarzyszyło zduszone przekleństwo. Z wściekłością uderzyła dłonią w kierownicę, z całych sił zacisnęła zęby i włączyła wsteczny bieg.

Kiedy dodała gazu, koła obróciły się i jeszcze głębiej zapadły w rozmokły grunt. Spróbowała więc rozhuścić samochód - jedynka, wsteczny, i znowu jedynka. Skutek był taki, że koła coraz bardziej zanurzały się w błocie.

W końcu poddała się. Mruczac pod nosem niecenzuralne słowa pod własnym adresem, jak niepyszna wysiadła z auta, by ocenić sytuację. Na szczęście nie zauważyła poważnych uszkodzeń. Wprawdzie porysowała błotnik i stłukła przedni reflektor, ale poza tym karoseria była nienaruszona. Przynajmniej tak jej się zdawało, bo niewiele mogła dojrzeć w ciemności. Najgorsze było jednak to, że samochód całym przodem tkwił w rowie, zakopany w błocie do połowy wysokości kół.

Bluzka przemokła jej błyskawicznie, więc drżąc z zimna schowała się do środka i wygrzebała z torby komórkę. Wiedziała, że musi wezwać pomoc drogową, ale nie miała pojęcia, jak to zrobić. Pocieszyła się jednak myślą, że operator na pewno poda jej właściwy numer.

Włączyła telefon i przez dłuższą chwilę ze zgrozą wpatrywała się w świecący na zielono ekran. Brak zasięgu.

Wspaniale, pomyślała zirytowana. Po prostu wspaniale. Ze śpiewem na ustach pojechałam na kompletne odludzie, bo spodobały mi się drzewa i chciałam przeżyć letnią burzę. A finał jest taki, że przez jakiegoś kretyńskiego jelenia wylądowałam w rowie. I to akurat w miejscu, gdzie komórka nie ma zasięgu.

Zanosilo się na to, że następnym etapem jej przygody będzie nocleg w mokrym samochodzie. Nim minął kwadrans, zrobiło jej się tak zimno, że znowu wyszła na deszcz, tym razem po to, by wyciągnąć z bagażnika walizkę.

Przygoda numer dwa, mrucała z wściekłością, czyli przebieranie się w samochodzie, który tkwi na poboczu jakiejś zapomnianej drogi.

Kiedy w strugach deszczu zmagala się ze swoim ciężkim bagażem, w oddali zamajaczyły słabe światła samochodu. Nie wahała się ani przez chwilę. Otworzyła drzwi od strony kierowcy i trzykrotnie nacisnęła klakson. Próbowala wybiec na drogę, ale pośliznęła się i omal nie zjechała do rowu. Pozbierała się szybko, prawie na czworaka wypełzła na jezdnię i z całych sił zaczęła wymachiwać rękami.

Żaden biały rumak nie mógł się równać ze zdezelowaną ciężarówką, która rżąc zatrzymała się na poboczu. Podobnie jak żaden rycerz w lśniacej zbroi nie mógł być bardziej bohaterski niż czarna postać, która opuściła szybę i przyglądała jej się bez słowa.

Nie mogła dojrzeć koloru oczu mężczyzny ani nawet w przybliżeniu ocenić, ile miał lat. Widziała jedynie niewyraźny zarys twarzy i potargane włosy. Mimo to podbiegła do ciężarówki.

- Mam tu mały kłopot! - zawołała.

- Poważnie?

Oczy miał zielone, teraz widziała to wyraźnie, zielone i lśniące jak szkło. Popatrzyły na nią spod groźnie zmarszczonych gęstych brwi, a potem ominęły ją, jakby była nic nie znaczącą przeszkodą na drodze. Pochmurna mina nieznajomego mocno ją zirytowała, ale opanowała się i spokojnie czekała, aż ten skończy oglądać jej samochód.

- Trzeba było zjechać na pobocze, a nie do rowu - zawołał, przekrzykując wiatr.

- Bardzo mądra rada. I jaka przydatna! - skwitowała lodowatym, uprzedzająco grzecznym tonem. Ten sposób mówienia opanowała do perfekcji i używała tak często, że bracia dokuczali jej, przezywając nadętą księżniczką.

Mężczyzna spojrział na nią uważnie, a w jego oczach pojawiło się coś, co od biedy można było uznać za przebłysk rozbawienia. Albo gniewu.

- Będę wdzięczna, jeśli pomoże mi pan wyciągnąć samochód.

- Domyślam się - burknął. Głos miał niski, chropawy i trochę znużony. - Obawiam się jednak, że masz pecha, bo akurat dziś strój supermana zostawiłem w domu.

Posłała mu długie, znaczące spojrzenie. Dopiero teraz spostrzegła mocne, ostre rysy twarzy oraz dwudniowy zarost na brodzie i policzkach. Zauważyła też, że mężczyzna ma surowo zaciśnięte usta, otoczone siateczką mimicznych zmarszczek. Wygląda na belfra, pomyślała. Ten to pewnie lubi pouczać.

Nie miała ochoty na wykład. Z powodu mokrego ubrania dostała gęsiej skórki, ale opanowała dreszcze. Postanowiła, że bez względu na okoliczności zachowa się z godnością.

- To niemożliwe, żeby nic się nie dało zrobić - zauważyła.

- Taak - westchnął, wyraźnie niezadowolony. - Wsiadaj. Pojedziemy do mnie i zadzwonimy po pomoc drogową.

Wsiąść do samochodu? Z nim?

Nie rozmawiaj z nieznanymi, przestrzegła ją Marian. Oczywiście w ciągu minionych dni zlekceważyła tę radę setki razy, jednak teraz sprawa wygląda inaczej. Była sama, dookoła ani żywej duszy, i ma wsiąść do samochodu obcego mężczyzny?

Z drugiej strony, gdyby miał wobec niej złe zamiary, nie musiałby wabić jej do środka. Wystarczyłoby, by wysiadł, walnął ją w głowę i sprawa byłaby załatwiona.

Mając do wyboru spędzenie nocy w unieruchomionym samochodzie lub w jakimś suchym miejscu, gdzie, jeśli Bóg pozwoli, znajdzie się gorąca kawa, postanowiła zaryzykować.

- W porządku - skinęła głową. - Moja walizka jest w bagażniku.

- To ją zabierz.

Zdumiona zamrugła powiekami. Chyba musiała się przesłyszeć! Jednak mężczyzna najwyraźniej nie kwapił się do pomocy. Widząc jego nachmurzoną minę, zacisnęła zęby i klnąc po cichu, poszła po swoje rzeczy. Ładny mi rycerz w lśniącej zbroi, syczała, taszcząc walizkę. Cham, niewychowany gbur.

Jeśli jednak ma telefon i dzbanek kawy, może przymknąć oko na jego fatalne maniery.

Wrzuciła bagaże na tylne siedzenie i zajęła miejsce obok kierowcy. Dopiero wtedy zauważyła, że mężczyzna ma prawą rękę na temblaku. Natychmiast ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

Nic dziwnego, że nie pomógł jej wyciągnąć samochodu i nie przeniósł bagaży. Miał prawo być w złym humorze, bo pewnie przy najmniejszym ruchu odczuwał ból. Chcąc mu jakoś wynagrodzić to, że tak źle o nim myślała, posłała mu jeden ze swych najpiękniejszych uśmiechów.

- Bardzo dziękuję za pomoc. Już się martwiłam, że będę nocować w samochodzie, na dodatek przemoczona do suchej nitki.

- Gdybyś nie wychodziła na deszcz, to byś nie zmokła.

Miała ochotę syknąć z irytacji, ale zdołała się opanować. Nie darmo od tylu lat uprawiała się w sztuce dyplomacji.

- Oczywiście ma pan rację. Niemniej jestem bardzo wdzięczna, że się pan zatrzymał, panie... ?

- Caine. Delaney Caine.

- Panie Caine - dokończyła. - Ja jestem Camilla...

- zawahała się, nie bardzo wiedząc, którego nazwiska użyć. Niewiele brakowało, a powiedziałaaby MacGee. Najwyraźniej nieszczęsna przygoda z samochodem wtrąciła ją z równowagi dużo bardziej, niż chciałyby przyznać. - Camilla Breen - dokończyła szybko, podając nazwisko Marian. - Co się panu stało w rękę?

- Posłuchaj, darujmy sobie pogawędkę - uciął. Prowadził samochód jedną ręką, dookoła szalała nawałnica, a tej kobiecie zachciewa się gadać. Niesamowite.

- Oboje chcemy jak najszybciej schronić się przed deszczem i zorganizować jakąś pomoc, żebyś mogła jechać tam, dokąd cię licho prowadzi.

Niewychowana świnią, zawyrokowała ponuro.

- W porządku - burknęła, odwracając się do zalanej deszczem szyby.

W całej tej koszmarnej historii był jeden plus. Facet wcale się jej nie przyglądał. Ledwie na nią spojrział, więc przynajmniej nie musi się martwić, że w zmokłej kurze rozpoznał księżniczkę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ech, przyjrzał jej się, i to dokładnie. Choć na drodze było ciemno, a ona kipiała ze złości, to tak wielkiej urody nie sposób było przeoczyć.

Od razu zauważył wysoką, szczupłą kobietę w mokrej bluzce i dżinsach, które przylgnęły do zgrabnego ciała. Zauważył jasną, pociągłą twarz, w której dominowały piękne oczy i duże usta. Zwrócił uwagę na ociekające wodą krótkie, kasztanowe włosy. Zaintrygował go głos, w którym pobrzmiwała melodia amerykańskiego Południa, zmieszana z ledwie wyczuwalnym francuskim akcentem. Ów kulturalny ton miał w sobie wielką klasę i kojarzył się ze śmietanką towarzyską.

Wyczuł wahanie, z jakim podawała nazwisko, i odgadł, że kłamie. Nic go to nie obchodziło, podobnie jak cała reszta.

Kobieta drażniła go swoją obecnością. Chciał jak najszybciej dotrzeć do domu, żeby wreszcie łyknąć jakieś proszki, które usmierzyłyby nieznośny ból potłuczonych żeber i barku. Dobijała go ulewa i nieprzyjemna wilgoć.

Miał mnóstwo pracy, a tu okazuje się, przez jakąś babę i jej problemy straci co najmniej godzinę, jeśli nie więcej. I jeszcze na domiar złego chciałyby z nim pogadać. Co to się dzieje z tymi ludźmi, że wiecznie muszą słyszeć paplaninę? Najchętniej własną.

Jedyną korzyścią z opuszczenia wykopalisk na Florydzie miało być to, że będzie w domu sam. Żadnych amatorów kręcących się wokół stanowisk, żadnych studentów zadających setki pytań, żadnych dziennikarzy dopraszających się wywiadu.

Powrót do domu ma też swoje minusy. Przedtem nawet nie przyszło mu do głowy, że porządkowanie papierów, katalogowanie znalezisk i w ogóle radzenie sobie ze wszystkim będzie dla niego tak wielkim problemem. W końcu miał tylko jedną sprawną rękę. Póki co, jakoś sobie radził. Przeważnie.

Pocieszył się, że straci tylko godzinę, góra dwie. Przecież nie mógł zostawić samotnej kobiety na poboczu drogi, i to podczas największej ulewy. W porządku, przez sekundę rozważał taką możliwość. No, może przez parę sekund. Co najwyżej przez minutę.

Zajęty własnymi myślami, w ogóle nie zauważył, że jego pasażerka dygocze z zimna. Kiedy w końcu syknęła zniecierpliwiona i bez pytania włączyła ogrzewanie, burknął coś pod nosem i jechał dalej.

Pawian, zawyrokowała Camilla. W jej myślach Delaney Caine leciał na łeb na szyję w dół łańcucha ewolucji. A kiedy skręcił ostro w wąską, wyboistą leśną dróżkę, w ogóle odmówiła mu prawa przynależności do rodziny ssaków i nazwała w myślach padalcem.

Przemarznięta, nieszczęśliwa i nadąsaną bezradnie wpatrywała się w mrok, próbując zorientować się, co jest przed nimi. Odniosła wrażenie, że pośród drzew dostrzegą jakąś chatę, zapewne drewnianą. Potem reflektory wydobyły z ciemności zarośnięty trawnik i przechyloną werandę. Mężczyzna nie zatrzymał się przy nim, tylko jadąc po koszmarnych wertepach, okrążył dom.

Wreszcie zahamował przed tylnymi drzwiami, które oświetlała słaba, niczym nie osłonięta żarówka.

- Pan tu mieszka...?

- Od czasu do czasu. - Energicznie otworzył drzwi po swojej stronie. - Zabieraj, co ci potrzebne. Resztę zostaw w samochodzie - burknął i nie zważając na deszcz, poszedł do wejścia.

Camilla uznała, że w tej chwili bardziej niż powietrza potrzebuje suchego ubrania, więc wzięła walizkę. Z trudem dotaszczyła ją do chaty, a potem niezle musiała się nagimnastykować, by przez wąskie drzwi wnieść ją do środka. Jej gospodarz i tym razem nie spieszył się z pomocą. Nawet neandertalczyk z mózgiem jak ziarnko grochu domyśliłby się, że wypada choćby przytrzymać drzwi, pomyślała cierpko, gdy zasapana znalazła się wreszcie w małej sionce. Tu jeden rzut oka wystarczył, by pojęła, że nigdy w życiu nie widziała większego bałaganu. Na niewielkiej przestrzeni wałały się terenowe buty, kapelusze, kurtki, rękawiczki, wiadra, małe łopatkki, większe łopaty, kielnie. Dopiero po chwili spostrzegła, że pod stertą najróżniejszych rupieci znajduje się pralka z suszarką.

Co za niechlujny wieprz, westchnęła.

To, co zobaczyła w kuchni, utwierdziło ją w tym przekonaniu. Brudne naczynia piętrzyły się w zlewie i na niedużym stole. Pośród nich poniewierały się jakieś notatki, ołówki, okulary i torba ciastek. Podłoga była tak zapuszczona, że kleiły się do niej buty.

- Zdaje się, że woda i mydło to prawdziwa rzadkość w Vermoncie - powiedziała słodkim głosem.

Mężczyzna skwitował tę uwagę niedbałym wzruszeniem ramion.

- Wyrzuciłem sprzątaczkę. Ciągle mi wszystko przekładała.

- Ciekawe, jakim cudem udało jej się cokolwiek znaleźć pod tą warstwą brudu?

- Pomoc drogowa - mruknął, sięgając po zniszczoną książkę telefoniczną.

- Dobrze, że przynajmniej sam jest w miarę czysty, pocieszyła się. Wprawdzie ubrany był niedbale i buty miał mocno znoszone, ale jego paznokcie i włosy były czyste. Wymagały natychmiastowego strzyżenia, poza tym jednak prezentowały się nie najgorzej. Po chwili wahania Camilla uznała, że mężczyzna mógł uchodzić za całkiem przystojnego, zwłaszcza po zgoleniu zarostu. Surowe rysy twarzy powodowały, że wyglądał dość nieprzystępnie, ale oczy miał naprawdę piękne. Chyba dzięki nim sprawiał wrażenie człowieka inteligentnego. Uznała, że cierpliwość, z jaką czekała, aż skończy wertować książkę, jest godna podziwu. Po dłuższej chwili sięgnął wreszcie po słuchawkę i zaczął wystukiwać numer. Zaraz jednak zaklął siarczyście.

- Telefon nie działa.

O nie, jęknęła w duchu, los nie może być aż tak okrutny.

- Jest pan pewien?

- Na tym świecie już tak jest, że jak nie ma sygnału, to nie można się dodzwonić.

Przez chwilę patrzyli na siebie skonsternowani, nie kryjąc wzajemnej niechęci.

- Może podwiezie mnie pan do najbliższego motelu?

Wymownie spojrzął w zalane deszczem okno. Dosłownie w tej samej chwili uderzył tak potężny piorun, że aż zadzwoniły szyby.

- Dwadzieścia mil w taka zawieruchę... - Instynktownie potarł bolące ramię. Gdyby miał dwie zdrowe ręce, może by i spróbował, choćby po to, żeby się jej szybko pozbyć. Ale ze swoim potłuczonym barkiem nie zamierzał ryzykować. - Chyba się nie skuszę.

- Co pan proponuje?

- Proponuję, żebyś włożyła suche ubranie. Tego jeszcze brakuje, żebyś się tu rozchorowała. A potem zorganizujemy coś do jedzenia.

- Panie Caine, jest pan niezwykle uprzejmy, nie chciałabym jednak... - Zamiast dokończyć myśl, kichnęła trzy razy.

- Prosto korytarzem, potem na górę. Łazienka jest na samym końcu. Zaparzę kawę.

Była zbyt przemarznięta, by się z nim sprzeczać lub na poczekaniu wymyślić jakieś inne wyjście. Wzięła więc walizkę i z wysiłkiem zaciągnęła ją do schodów. A potem niczym koń z klapami na oczach, uginając się pod ciężarem, poszła prosto do łazienki.

Drzwi zamknęła na klucz.

Na podłodze leżały ręczniki, na niedużej szafce tubka pasty do zębów, oczywiście bez zakrętki. Umywalka wprawdzie nie lśniła czystością, ale nadawała się do użytku. Pewnie w ciągu ostatniego półrocza ktoś parę razy przetaił ją gąbką.

Najważniejsze, że była gorąca woda. Kiedy Camilla stanęła pod prysznicem i poczuła na skórze pierwsze strumienie, zapomniała o bożym świecie. Woda zalewała jej głowę i twarz, a ona miała ochotę tańczyć ze szczęścia. A kiedy przyjemne ciepło przeniknęło ją aż do kości, zamknęła oczy i odetchnęła z ulgą. Długo ociągała się z wyjściem, lecz w końcu zakręciła kran. Zdjęła z wieszaka w miarę czysty ręcznik i owinąwszy się nim, wyciągnęła z torby suche rzeczy.

Gdy niespodziewanie zgasło światło, miała na sobie samą bieliznę. Przestraszona, krzyknęła na całe gardło. Wiedziała, że to głupie, ale nie zdołała się opanować. Nim odzyskała zimną krew, zdążyła jeszcze wpaść na umywalkę i uderzyć się w biodro.

Ręce jej się trzęsły ze strachu i wściekłości, gdy w zupełnej ciemności wciągała na siebie dzinsy i sweter.

- Panie Caine! - wrzasnęła, kiedy udało jej się otworzyć drzwi i po omacku wyjść z łazienki.

- Dobrze już, nie wściekaj się.

Usłyszała dudnienie kroków na schodach i po chwili tuż obok niej zatańczył promień światła.

- Nie ma prądu - oznajmił ponuro.

- Naprawdę? Nigdy bym się nie domyśliła.

- Idealny moment na sarkazm - burknął. - Nie ruszaj się stąd - nakazał, po czym zniknął w jakimś pokoju. Po chwili wrócił z latarką i kopcą świeczką, którą jej podał. - Skończyłaś? - zapytał, skinąwszy głową w stronę łazienki.

- Tak, dziękuję.

- W porządku. - Odwrócił się do niej plecami i ruszył na dół. Ogłuszający huk pioruna sprawił, że w mgnieniu oka zdecydowała się pójść za nim.

- Co teraz zrobimy?

- Rozpalimy ogień, napijemy się kawy, podgrzejemy zupę z puszki, a potem będziemy sobie wyobrażali, że cię tu nie ma.

- Nie musi pan być wobec mnie nieuprzejmy. To nie moja wina, że rozpętała się burza - rzekła.

Pech chciał, że w tej samej chwili potknęła się o porzucony na podłodze but i niechcący potrafiła bolące ramię gospodarza.

- Do jasnej cholery! - Z bólu aż pociemniało mu w oczach. - Uważaj, jak chodzisz!

- Przepraszam. Gdyby nie żył pan w takim bałaganie, nie potykałabym się o pańskie graty.

- Posłuchaj, wejdź tu. - Wskazał sporą izbę we frontowej części domu. - Usiądź i nie kręć mi się pod nogami. Po prostu trzymaj się ode mnie z daleka.

- Z największą przyjemnością - fuknęła i z dumnie uniesioną głową pomaszerowała do pokoju. Niestety, zmarnowała cały efekt, bo nagle zatrzymała się i wydała z siebie zduszony krzyk: - Czy to są... - jęknęła, wskazując coś, co leżało na zaśmieconym niskim stoliku - prawdziwe kości?

Del oświetlił latarką owinięte folią szczątki.

- Tak. Ludzkie. W większości - odparł beznamiętnie. - Ale nie bój się, nikogo nie zamordowałem.

- Naprawdę? - Cofnęła się i zaczęła gorączkowo rozglądać po pokoju, szukając czegoś, czym ewentualnie mogłaby się bronić.

- Ich właścicielka zmarła jakieś siedem tysięcy lat temu - wyjaśnił, rozpalając ogień w palenisku. - Ale śmierć nie nastąpiła na skutek upadku, podczas którego nieźle się połamała. Tak czy owak, teraz te kości nie są jej już potrzebne.

- Po co pan je trzyma?

- Znalazłem je. Podczas wykopalisk na Florydzie.

Zaczekał, aż polana zajmą się ogniem, i dopiero wtedy wstał. Purpurowe języki strzeliły wysoko, tworząc wokół jego postaci świetlistą aureolę.

- Pan... rozkopuje groby? - zapytała, siląc się na spokój, ale w jej głosie i tak pojawiła się zdradliwa nutka przerażenia.

Po raz pierwszy się uśmiechnął. Ten uśmiech skojarzył jej się z błyskawicą rozdzierającą ołowiane chmury.

- W pewnym sensie rzeczywiście tak jest - przyznał. - Nie denerwuj się. Jak masz na imię?

Nerwowo zwilżyła usta.

- Camilla.

- A więc nie denerwuj się, Camillo. Jestem archeologiem, a nie hieną cmentarną. Teraz pójdę po kawę. Nie waż się dotykać moich kości. Ani niczego innego.

- Ani mi się śni - stwierdziła. Podobnie jak nigdy nie śniło jej się, że w burzliwą, czarną noc będzie siedziała po ciemku tuż obok kupki ludzkich szczątków. Nieważne, że bardzo starych i szczelnie opakowanych.

- Chętnie panu pomogę - zawołała z entuzjazmem, starając się uśmiechem zamaskować zakłopotanie. - Wygląda na to, że przyda się panu pomocna dłoń.

- Możliwe. - Ból wciąż dawał mu się we znaki. - Posłuchaj, na górze jest wolny pokój. Jeśli chcesz, możesz w nim przenocować. Rano zajmimy się twoim samochodem.

- Dziękuję. - Nareszcie było jej ciepło, nie lało jej się na głowę, a perspektywa wypicia kawy była bardzo kusząca. W końcu mogło być znacznie gorzej. - Jestem panu naprawdę ogromnie wdzięczna, panie Caine.

- Caine, po prostu Caine. Albo Del - rzucił przez ramię i poszedł do sionki na tyłach domu.

Camilla bez namysłu ruszyła za nim.

- Dokąd idziesz? - zapytała.

- Co? - Zaskoczony przestał szarpać się z przeciwdeszczową peleryną. Nie miał zwyczaju opowiadać się, co zamierza robić. - Potrzebujemy wody. Deszcz, woda, wiadro - rzucił lakonicznie, biorąc jedno z nich do ręki. - Spróbuję uruchomić generator, który jest w szopie na podwórku. Tylko nie dotykaj moich rzeczy - ostrzegł i opuścił dom.

- Najpierw musieliby mnie zaszczepić przeciwko tężcowi - mruknęła, gdy zamknęły się za nim drzwi.

Wróciła do kuchni i zajrzała do pierwszej szafki. Z obawy przed tym, co mogło się tam znajdować, zrobiła to bardzo ostrożnie. Potem już nieco śmieiej, zaczęła otwierać następne. Dopiero w ostatniej znalazła kilka talerzy i garnek. Były to jedyne czyste naczynia w całej chacie.

Do wyszczerbionego kubka naląa trochę kawy i z obawą wypića pierwszy łyk. Zaskoczona musiała przyznać, że jej gospodarz potrafi zaparzyć wyśmienitą kawę. Podniesiona na duchu tym odkryciem, energicznie zakrzętnęła się wokół kolacji. Nie może przecież siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż ktoś podsunie jej talerz. Skoro mają coś zjeść, musi zorientować się w sytuacji i sprawdzić, co da się ugotować w tak prymitywnych warunkach.

W spiżarni znalazła imponujący zapas puszek, spośród których wybrała zupę pomidorową. Nie grozi im przymusowa głódówka, więc pełna otuchy wróciła do kuchni i szeroko otworzyła lodówkę. I tu spotkał ją srogie rozczarowanie, bo nie dość, że ta była okropnie zapuszczona, to na dodatek świeciła pustkami. Prócz trzech jajek i kilku puszek piwa leżał w niej żaloszny kawałek starego sera. Ale za to stała tam butelka doskonałego czerwonego wina.

Od razu poczuła się lepiej, zwłaszcza że tuż obok spostrzegła karton mleka, które, sądząc po zapachu, było świeże. Obok niego stała pełna butelka niegazowanej wody.

Camilla podwinęła rękawy i ochoczo wzięła się do pracy. Potrzebowała wody, więc po kwadransie wyszła przed chatę z małym wiaderkiem. Wciąż lało, i to tak mocno, że nawet nie była pewna, czy ciemny kształt w rogu podwórza to drewniana szopa, o której mówił Del. Nabrała pewności dopiero wtedy, gdy usłyszała dobiegające z tego miejsca przekleństwa i metaliczne zgrzyty. - Wygląda na to, że Del jeszcze długo będzie zajęty. Zabrała więc wiadro z deszczówką i wróciła do domu.

Przydałoby się jakieś cholerne światło, pomyślał, z wściekłością kopiąc mały generator. Wtedy wreszcie uruchomiłby tego upartego sukinsyna. Problem polega na tym, że aby mieć światło, musi najpierw naprawić generator. I tak kółko się zamyka.

Musi poczekać z naprawą do rana. A to oznacza, że zmarnował prawie godzinę, bezsensownie obijając się po ciasnej szopie i nadwerężając bolący bok. Właściwie nie było takiego miejsca na ciele, które by go nie bolało. Na dodatek przemókł do suchej nitki, trząśnięty z zimna i nie zdołał nic zwojować.

Gdyby chodziło tylko o niego, nie zawracałby sobie głowy generatorem. Otworzyłby pierwszą z brzegu puszkę, zjadł coś na zimno i popracował trochę przy świeczce. Niestety, trzeba zatroszczyć się o tę kobietę. Nie lubił tego robić nawet w sprzyjających warunkach, a co dopiero w takich, w jakich się znajdowali.

- Swoją drogą, musi z niej być niezłe ziółko - mruknął, przeglądając przy latarce zakamarki szopy w poszukiwaniu rzeczy, które mogłyby się przydać. - Od razu widać, że ucieka - ciągnął swoją myśl. - Pewnie czmychnęła od bogatego męża, bo nie chciał spełnić kolejnego kaprysu.

Tak czy owak, nie powinno go to obchodzić, pomyślał, ucinając tym samym własne spekulacje. Najpóźniej jutro kobieta ruszy w swoją drogę, a on wreszcie zajmie się pracą.

Chciał się odwrócić, ale zrobił to tak niezdarnie, że uderzył się w piszczel. Z bólu aż zgiął się w pół, a wtedy dał o sobie znać pęknięty obojczyk. Zabolalo tak mocno, że dosłownie zobaczył gwiazdy. Żeby nie upaść, musiał zdrową ręką chwycić się ściany i poczekać, aż minie słabość.

Przez obrażenia, których doznał, musiał opuścić wykopaliska na Florydzie - swoje oczko w głowie od chwili ich rozpoczęcia przed trzema sezonami. Właściwie mógł to jakoś przeżyć. W końcu ktoś musi napisać raport, uzupełnić dziennik, skatalogować znaleziska i popracować w laboratorium.

Najlepiej, żeby tym kimś był on sam.

Tym bardziej więc denerwowała go własna niemoc i ograniczona zdolność poruszania. Irytowało osłabienie spowodowane przez ból. Teraz nie mógł się nawet ubrać, by

przy okazji nie podrażnić złamanej kości, zwichniętego barku i potłuczonych żeber. Nie był w stanie nawet zawiązać sobie butów. To dopiero historia!

Kiedy ból minął i mógł bez obawy wykonać jakiś ruch, podniósł z ziemi latarkę i postanowił wrócić do chaty. Po drodze zabrał wiadro z deszczówką i klnąc pod nosem, zaniósł je do środka. Okazało się bowiem, że dla jego nadwątlonych sił nawet przeniesienie paru litrów wody jest sporym obciążeniem.

W sionce postawił je z ulgą na podłodze, zrzucił mokrą pelerynę i poszedł do kuchni napić się kawy. Odruchowo sięgnął po dzbanek, ale jego dłoń napotkała pustkę.

Chwilę trwało, nim zorientował się w sytuacji. Nie zwracał uwagi na szczegóły, chyba że z jakichś względów były dla niego istotne. Tymczasem okazało się, że zniknął nie tylko dzbanek, ale również sterta brudnych naczyń ze zlewu, stołu i szafek.

Nie pamiętał, by ostatnio zmywał. Tak się składało, że robił to tylko i wyłącznie wtedy, gdy nie miał wyjścia. Zbity z tropu otworzył pierwszą z brzegu szafkę i w zadumie studiował równe stosy czystych talerzy.

Blaty były wytarte, tak samo stół. Kiedy na rogu zobaczył swoje notatki poukładane w schludne kupki, prychnął z oburzenia, po czym ruszył do pokoju, gotów obłupić swego nieproszonego gościa z jego miękkiej, różowej skóry. I pewnie wykonałby swój morderczy zamiar, gdyby w połowie drogi nie przyfrunął do niego smakowity zapach kawy i jedzenia. Chwytnąjąc w nozdrza aromatyczną woń, uświadomił sobie, jak bardzo jest głodny. Od wielu godzin nie miał niczego w ustach. Ostry głód zagłuszył wszelkie uczucia, z wściekłością włącznie.

Zastał ją przy palenisku, zajętą mieszaniem w garnku. Od razu zauważył naprędcę zaaranżowany ruszt - zrobiła go z dwóch pogrzebaczy ułożonych na podpórkach z cegieł. Przypomniawszy sobie, że obok frontowego ganku leżała ich cała sterta. Niestety, w ogóle nie pamiętał, po co je tam trzymał.

Zaradna, przyznał niechętnie. Przy okazji zauważył, że jak na takiego chudzielca miała całkiem niezły zadek.

- Mówiłem, żebyś niczego nie ruszała.

Nie podskoczyła ze strachu. Słyszała go już wcześniej, bo ruszał się jak słoń w składzie porcelany.

- Jestem głodna, a nie mam ochoty gotować ani tym bardziej jeść w takim chlewie. Staralam się nie pomieszać twoich papierów, po prostu położyłam je w jednym miejscu. Jediną rzeczą, której się pozbyłam, był brud.

Swoją drogą, jego notatki były fascynujące. Na tyle, na ile udało jej się odczytać te okropne bazgrały.

- Przedtem wiedziałem, gdzie co mam - zauważył cierpko.

- No cóż... - Wstała i odwróciła się twarzą do niego. - Będziesz musiał zorientować się, gdzie co jest teraz. Naprawdę nie rozumiem, jak można... - Urwała w pół słowa, bo zauważyła na jego ręce krew. - Co ci się stało?

Zerknął na płytkie zadrapanie na zdrowej dłoni.

- E, do diabła! - Wzruszył ramionami. - W sumie nie robi mi to już żadnej różnicy.

Może i tak, ale ona bardzo się przejęła. Podskoczyła do niego i zaczęła z uwagą oglądać ranę, przez co skojarzyła mu się z kwoką dogładającą piskląt.

- Wracaj do kuchni - nakazała - zanim wszystko poplamisz krwią.

Niewielkiego otarcia naskórka nie można było nawet nazwać raną. Do tej pory nikt nie robił takiego zamieszania wokół jego skaleczeń i siniaków, nawet matka. Pewnie dlatego, że sama była ciągle poobijana. Poczul się nieco zagubiony i potulnie dał się zaprowadzić do kuchni, gdzie bez gadania włożył rękę do zlewu.

- Zostań! - rozkazała. Przyszło mu do głowy, że takim tonem mówi się do domowego zwierzaka. Albo, co gorsza, do służby.

Otrzeptała przybrudzoną ścierkę, zamoczyła ją w wiadrze z wodą i delikatnie wytarła ranę.

- O co się skaleczyłeś?

- Skąd mam wiedzieć? Było ciemno.

- Masz apteczkę? Albo przynajmniej wodę utlenioną?

- Przecież to nic wielkiego - zaprotestował, kiedy jednak podchwycił jej pełne wyrzutu spojrzenie, dał za wygraną. - No dobrze, apteczka jest w sieni.

Poszła tam i po chwili usłyszał, jak kolejno otwiera szafki, mamrocząc pod nosem niewybredne komentarze.

- *Vous etes un espece de cochon, et gauche aussi.*

- Jeśli już musisz mnie besztać, przynajmniej rób to po angielsku.

- Powiedziałam, że nie dość, że straszny z ciebie flejtuch, to jeszcze do tego niezdara - wyjaśniła, przetrząsając zawartość apteczki w poszukiwaniu jakiegoś środka odkażającego.

Już miał powiedzieć, że nie potrzebuje tłumacza, bo rozumie jej francuszczyznę, ale dał sobie spokój. Skoro i tak musi przechodzić tę gehennę, to przynajmniej trochę pobawi się jej kosztem.

- Wcale nie jestem niezdarny.

- Pewnie! Tylko dlaczego masz rękę na temblaku i skaleczoną dłoń?

- Wypadek przy pracy - wyjaśnił. Nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo przeszkodziło mu kichnięcie. Ta normalna reakcja organizmu na wilgoć i wychłodzenie niemal zwała go z nóg. Żebra zabolaly go tak bardzo, że zachwiał się i na moment stracił oddech.

Podniosła głowę, a widząc jego szkliste oczy i przeraźliwą bladość, bardzo się zaniepokoiła.

- Co ci jest? - Bez namysłu otoczyła go ramieniem i podtrzymała, by nie upadł. - Lepiej usiądź.

- To nic... - Powoli odzyskiwał kontrolę nad własnym ciałem, ale jeszcze widział niewyraźnie i oddychał z wysiłkiem. Mimo to zdecydowanym ruchem odsunął ją od siebie. - Mam poobijane żebra - wydusił. A widząc w jej oczach przerażenie oraz jakby poczucie winy, uśmiechnął się z satysfakcją i dodał: - Zwichnięty bark, pęknięty obojczyk. Wypadek przy pracy.

- Oj, biedaku! - zawołała, ogarnięta współczuciem.

- Chodź, zaprowadzę cię na górę. Musisz się natychmiast przebrać. Ugotowałam zupę, więc zaraz ją dostaniesz. Dlaczego mi nie powiedziałeś, że jesteś poważnie ranny?

- Bo nie jestem... - zaprotestował. Zaraz jednak pomyślał, że chyba musi być idiotą. Nie dość, że ta kobieta cudownie pachnie, to jeszcze umie gotować. I tak bardzo mu współczuje. - W każdym razie nie jest ze mną najgorzej - sprostował.

- Żaden mężczyzna nie przyzna się, że coś go boli - prychnęła. - Będzie nam potrzebna latarka.

- Mam ją w tylnej kieszeni.

Przysunęła się jeszcze bliżej i podparła go własnym ciałem. Nie poczuł się urażony, kiedy jędrne piersi przyłgnęły na moment do jego zdrowego boku. I nie protestował, kiedy piękne, smukłe palce wsunęły się do kieszeni dzinsów, przyjemnie muskając go po pośladku.

Naprawdę wcale mu to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie. Zwłaszcza że przy okazji całkiem zapomniał o bólu.

Pozwolił zaprowadzić się do sypialni i posadzić na nie zasłanym łóżku. Z tego miejsca obserwował, jak Camilla krząta się wokół niego i szuka świec.

- Suche ubrania - mruknęła i zaczęła przeglądać szuflady. Chciał ją powstrzymać, ale nie zdążył, bo podeszła do niego z parą dzinsów i podkoszulkiem.

- Czy chcesz, żebym... hm, pomogła ci się przebrać? Rozważał taką możliwość. Dobrze wiedział, że nie powinien - posuwał się trochę za daleko. Z drugiej strony, co by z niego był za facet, gdyby nie wyobraził sobie, że jest rozbierany przez piękną kobietę?

Mężczyzna, który tego nie robi, powinien natychmiast palnąć sobie w łeb i zakończyć swoją żalostną egzystencję.

- Nie, dzięki. Poradzę sobie - rzekł bez przekonania.

- Dobrze. W takim razie wracam do mojej zupy. Zawołaj mnie, jeśli będziesz potrzebował pomocy.

Pobiegła na dół, gdzie zajęła się gotowaniem oraz wyrzekaniem na własną głupotę i egoizm.

Nazwała tego biedaka niechlujem. A on był tak potłuczony, że ledwie chodził. Zatrwożył ją własny egoizm, niewdzięczność i brak wyrozumiałości. Postanowiła jak najszybciej naprawić swoje błędy. Zrobi wszystko, by zapewnić mu wygodę, i nakarmi go gorącą zupą.

Chciała poprawić poduszki na sofie, jednak gdy uderzyła w nie dłonią, podniósł się taki obłok kurzu, że zaczęło drapać ją w gardle. Kaszląc i prychnając, z niedowierzaniem kręciła głową. To nie do pomyślenia! Trzeba by tu wszystko wywrócić do góry nogami i dokładnie wysprzątać.

Powiedział, że wyrzucił sprzątaczkę, bo ruszała jego rzeczy. Camilla była skłonna w to uwierzyć. Na własnej skórze przekonała się, jak bardzo był humorzasty.

Z drugiej strony, może jest w kiepskiej sytuacji finansowej? Jako archeolog pewnie utrzymuje się z dotacji i temu podobnych środków.

Wyśle mu pocztą pieniądze za nocleg. Oczywiście najpierw sprzeda zegarek.

Kiedy zszedł na dół, czekała już na niego z kolacją. Na porysowanym stoliku ustawiła talerze i kubki oraz rolkę papierowego ręcznika, który wystąpił w roli serwetek. Nie zabrakło nawet świecy. W izbie, rozświetlonej pomarańczową łuną z paleniska, przyjemnie pachniało jedzeniem.

Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie, a potem zaczęła mu się przyglądać. Gdy wyschły mu włosy, okazało się, że wcale nie są brązowe. A w każdym razie nie tak ciemne, jak początkowo sądziła. Miał w nich mnóstwo jaśniejszych pasm, z pewnością wypalonych przez słońce. Dawało to wspaniały efekt, zwłaszcza że czuprynę miał bujną i lekko falującą.

Piękne włosy, przyznała, spoglądając na gęste kosmyki sięgające ramion. Pasowały do jego surowego stylu i tych cudnych, zielonych oczu.

- Jak zjesz, od razu poczujesz się lepiej - zapewniła. Już teraz był w nieco lepszej formie, bo na górze połknął proszek przeciwbólowy. Dzięki temu rwący ból osłabł, choć nie minął. Miał nadzieję, że po gorącym posiłku poprawi mu się nastrój. Poza tym dałby wiele za ciepły prysznic, ale przecież w życiu nie można mieć wszystkiego.

- Co jest na kolację?

- *Potage*. - Celowo powiedziała to salonowym tonem. - *Creme de tomate avec pomme de terre* - dodała, po czym śmiejąc się, stuknęła łyżką w brzeg osmalonego garnka. - Masz imponujący zapas puszek, więc było w czym wybierać. Zmieszałam zupę pomidorową z ziemniakami i mlekiem. Moja zupa byłaby lepsza, gdybyś pomyślał o kupieniu jakichś przypraw, ale trudno. Proszę, usiądź, odpręż się. Zaraz podam kolację.

Nie lubił, żeby ktoś wokół niego skakał. Przynajmniej tak mu się zdawało. Zresztą nie pamiętał, by kiedykolwiek tak było. Z drugiej strony, ten wieczór trudno uznać za normalny, mógł więc z czystym sumieniem usiąść i cieszyć się, że jest obsługiwany.

- Nie wyglądasz na osobę, która gotuje - zauważył. - Raczej na kogoś, kto ma kucharza.

Zmarszczyła brwi. Zdawało jej się, że wygląda jak każda zwykła, przeciętna kobieta.

- Zdziwisz się, ale naprawdę dobrze gotuję - oznajmiła, wlewając zupę do talerzy. Nie kłamała. Interesowała się dobrą kuchnią, więc wzięła kilka indywidualnych lekcji u prawdziwego mistrza. - Ale muszę przyznać, że po raz pierwszy gotowałam na palenisku.

- Zdaje się, że sobie poradziłaś. Oczywiście, sądząc po zapachu. - To był jego sposób udzielania pochwał. Kiedy podała mu talerz, aprobujący pomruk spełnił rolę podziękowania.

- A czego się napijesz? Oprócz kawy jest jeszcze mleko i... wino. Albo piwo?

- Kawy. Brałem proszki, więc muszę odstawić alkohol - odparł, zabierając się do zupy. Ponieważ Camilla nie siadała, spojrzął na nią pytająco. - Co jest?

Powstrzymała westchnienie. Zdaje się, że niczego jej nie zaproponuje, więc chcąc nie chcąc, musi upomnieć się sama.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, napiłabym się wina.

- To pij.

- Dziękuję. - Zacisnęła zęby i naląła mu kawy. Idąc do kuchni, zastanawiała się, w jakim cudem ktoś aż tak niekulturalny radzi sobie w życiu. Jego problem, uznała, wyjmując z lodówki butelkę. Otworzyła ją i po chwili wahania postanowiła zabrać do izby. Wypije przynajmniej dwa kieliszki. A za wino zwróci przy okazji płacenia za nocleg.

Kiedy wróciła, właśnie kończył zupę. Zaproponowała mu więc dokładkę, i wzięwszy trochę dla siebie, usadowiła się wygodnie na kanapie. W swoim życiu zaliczyła mnóstwo nudnych kolacji, oficjalnych bankietów i nie kończących się przyjęć. Tym bardziej przeżyje jeden deszczowy wieczór, spędzony w towarzystwie mrukliwego Delany'ego Caine'a.

- Twoja praca wymaga licznych podróży, prawda?

- Między innymi na tym ona polega.

- Lubisz podróżować?

- Byłoby bez sensu, gdybym nie lubił. Nie sądzisz? Zrobiła jedną ze swych oficjalnych min i upiła nieco wina.

- Czasem życie nie daje nam wyboru. Ludzie pracują tam, gdzie mieszkają. I żyją tak, jak muszą. Niewiele wiem o twojej dziedzinie. Badasz... kości?

- Bywa. - Widząc jej uniesione brwi, wzruszył ramionami. Gadka szmatka, pomyślał. Nie lubił pustego gadania. - Badam dawne cywilizacje, architekturę, zwyczaje, tradycje, religie, kultury. Często moja praca ociera się o antropologię. A kości są częścią tego, co pozostało po cywilizacjach.

- Czego poszukujesz w badaniach?

- Odpowiedzi.

Skinęła głową. Ona także zawsze pragnęła je znaleźć.

- Odpowiedzi na jakie pytania?

- Wszelkie.

Podniosła się, żeby dolać mu kawy.

- Jesteś ambitny.

- Nie. Ciekawy.

Uśmiechnęła się, ale nie był to jeden z jej ugrzecznionych, oficjalnych uśmiechów. Tym razem zdradzał jej szczerość, wrodzone ciepło i urodę. Widząc tak niezwykłą przemianę, Del aż poczuł skurcz w żołądku.

- Ciekawość jest dużo lepsza od ambicji - zauważyła.

- Tak myślisz?

- Oczywiście. Ambicja bywa, a nawet często jest ograniczająca. A ciekawość wyzwala, poszerza horyzonty, otwiera nowe możliwości. Co mówią ci twoje kości? - Roześmiała się, rozbawiona dwuznacznością pytania. - Mam na myśli te - dodała, skinąwszy w stronę stolika.

A co tam, pomyślał z rezygnacją. W końcu niebawem i tak będzie musiał to wszystko opisać. Nie zaszkodzi, jeśli jej o tym opowie, rzecz jasna w dużym skrócie.

- Mówią, że ta kobieta w chwili śmierci miała jakieś czterdzieści pięć lat.

- Kobieta?

- Tak. Indianka. Miała liczne złamania, rąk i nóg, powstałe w wyniku upadku, który przydarzył jej się na kilka lat przed śmiercią. Co dowodzi, że szczep, w którym żyła, nie był do końca koczowniczy. Opiekował się chorymi i rannymi, potrafił ich leczyć.

- Oczywiście, skoro ją wyleczono.

- To wcale nie jest takie oczywiste. Istniały kultury, w których rannych i chorych pozostawiano samym sobie. Zwłaszcza jeśli typ obrażeń czynił z nich osoby niepełnosprawne, czyli nieprzydatne dla całej społeczności.

- Ach tak. Czyli okrucieństwo nie jest wynalazkiem naszych czasów!

- Nie jest, podobnie jak nie jest nim wydajność czy prawo, w myśl którego przetrwają tylko najsilniejsi. Jednak w tym przypadku szczerp troszczył się o chorych. Czczył swoich zmarłych i grzebał ich zgodnie ze specjalnym obrządkiem. Pogrzeb następował w ciągu doby od zgonu. Ta kobieta, podobnie jak inne szczątki odkopane podczas wyprawy, była owinięta całunem wykonanym z roślinnej przędzy - ciągnął, mówiąc bardziej do siebie niż do niej. - A więc znali krosna. I okresowo prowadzili osiadły tryb życia. O czym świadczy typ osady, którą wzniesli. Sporo szczątków dzikich zwierząt, poza tym nasiona, orzechy, korzenie, drewno na ognisko i na budowania domów.

- I tego wszystkiego dowiedziałeś się z paru kości?

- Co?

Widziała, jak z trudem otrząsa się z zamyślenia i wraca do rzeczywistości. Oraz do niej. Spojrzał na nią przytomnie, ale wyraz jego oczu mówił, że jest zirytowany.

- Zapytałam, czy doszedłeś do tych wniosków, badając tę kupkę kości?

To, co jej powiedział, stanowiło zaledwie ułamek wiedzy, którą zdobył.

- Mamy ich dużo więcej. A prócz nich wiele innych rzeczy.

- Im więcej odkrywasz, tym lepiej rozumiesz, jak funkcjonowali ci ludzie, jak żyli. Co po nich zostało, a co zginęło bezpowrotnie. O ile się nie mylę, starasz się ustalić, z czego i jak budowali domy, przyrządzali posiłki. Jak wychowywali dzieci i grzebali zmarłych. Jakie bóstwa czcili i z kim walczyli. A wreszcie chcesz ustalić, co z tego wynikło dla nas.

Musiał przyznać, że zrobiła całkiem trafne podsumowanie. Widocznie pod efektywnym opakowaniem miała także mózg.

- Z grubsza tak to wygląda - przyznał.

- Może ich kobiety też gotowały zupę nad ogniskiem Nuta wesołości w jej głosie zacięła go i niemal sprowokowała do uśmiechu.

- Jak świat światem, kobiety zajmowały się gotowaniem. Domyśl się, dlaczego.

- Och, doskonale wiem. Mężczyźni wolą walić się w piersi i walczyć z kim popadnie. Nie mają głowy do bardziej przyziemnych i mniej bohaterskich zajęć.

- Masz ci ją! - sarknął, wstając. Mimo że wypił sporo kawy, czuł się znużony. Właśnie dlatego starał się brać jak najmniej proszków przeciwbólowych. - Idę na górę. Wolne łóżko stoi w pierwszym pokoju, na lewo od schodów - dodał.

Po czym, nie mówiąc dziękuję ani dobranoc, wyszedł z pokoju, zostawiając Camillę samą przy ognisku.

ROZDZIAŁ TRZECI

Sama nie wiem, co sądzić o moim gospodarzu - pisała Camilla w swoim dzienniku. Było już bardzo późno, ale postanowiła zostać przy ogniu i jakoś przemęczyć się na kanapie. W wolnym pokoju na górze było przeraźliwie zimno i wilgotno. I ciemno jak w grobie.

Z sypialni Dela nie dochodził najmniejszy szmer. Sprawdziła, czy przypadkiem nie włączyli prądu lub telefonu. Niestety, tam również było ciemno i głucho.

Jego kompletny brak wychowania kładę na karb tego, iż ze względu na rodzaj zajęcia więcej czasu spędza w towarzystwie umarłych niż żywych. Poza tym współczuję mu z powodu kontuzji. Domyślam się jednak, że nawet gdy cieszy się dobrym zdrowiem, jest równie szorstki i niesympatyczny.

W każdym razie to ciekawy człowiek. Muszę pamiętać, że częścią mojego eksperymentu miało być przebywanie wśród ludzi, którzy będą mnie traktowali jak zwykłą śmiertelniczkę.

Największym plusem pustelniczego trybu życia mojego gospodarza jest to, że w chacie nie ma telewizora. To niesłychane! Amerykański dom bez choćby jednego małego odbiornika! Nie zauważyłam też, żeby kupował gazety albo czasopisma. Choć niewykluczone, że są gdzieś zagrzebane w tym wielkim śmietniku, jakim jest jego dom.

Szanse, by ten człowiek mnie rozpoznał, są naprawdę niewielkie. Jeśli nie wręcz żadne. To niezwykle budujące.

Pomijając niedopuszczalne warunki, w jakich żyje, gdy nie jest na wykopaliskach, Del zdaje się być inteligentnym człowiekiem. Kiedy opowiadał o swojej pracy - dość ogólnikowo - dostrzegłam w nim tę iskrę. Poza tym odkryłam w nim ciekawość świata i pragnienie znalezienia odpowiedzi. Nie ukrywam, że te cechy jego charakteru bardzo przypadły mi do gustu. Może dlatego, że sama czegoś poszukuję. We własnej duszy.

Wiem, że to bardzo niestosowne, ale nie mogłam się powstrzymać i kiedy był na górze, przejrzałam jego notatki. To, co przeczytałam, jest fascynujące! O ile rozumiem, Del wchodzi w skład zespołu badawczego, który na południu środkowej Florydy odkrył pozostałości pradawnej osady. Podczas prac ziemnych na terenie jakiejś budowy odsłonięto zagrzebane w torfie kości. Badania wykazały, że są to szczątki ludzkie sprzed siedmiu tysięcy lat.

Niestety, notatki i dokumenty są tak pomieszane, że nie jestem w stanie odtworzyć wszystkich faktów. Wiem tylko, że odkrycie osady zapoczątkowało powstanie Programu Badawczego Bradville, w którym Delaney uczestniczy od trzech lat.

Według mnie to, co znaleźli, jest niesamowite. Na przykład grób małej dziewczynki, którą pochowano razem z zabawkami. Prócz tego wyroby z kości, rogu i drewna, niektóre ozdobione ornamentami. Siady dawnych rytuałów i zrozumienie dla piękna. Pośród notatek są rysunki - ciekawe, czy sam je zrobił. Naprawdę wypracowane i dobre szkice.

Del przywiózł ze sobą niesamowitą ilość notatek, dokumentów i próbek, które teraz poniewierają się po całym domu. Nie ukrywam, że z wielką chęcią uporządkowałabym całe to bogactwo. Bardzo chciałabym dowiedzieć się wszystkiego o tych badaniach, prześledzić ich postęp od dnia rozpoczęcia aż do chwili obecnej. Niestety, przy takim stanie rzeczy jest to niemożliwe. Nie wspominając o tym, że jutro rano już mnie tu nie będzie.

Co zaś do moich własnych poszukiwań, to myślę, że idą w dobrym kierunku. Przede wszystkim poprawia się moje samopoczucie. Sypiam coraz lepiej, odzyskałam apetyt, który, tu muszę się przyznać, zaspokajam częściej niż powinnam.

Mam dziś za sobą długą jazdę samochodem, zakończoną niegroźnym wypadkiem. Poza tym spędziłam sporo czasu, wykonując typowe domowe czynności. W większości były to prace fizyczne. I pomyśleć, że nie dalej jak dwa tygodnie temu najmniejszy wysiłek całkiem pozbawiał mnie energii - fizycznej, psychicznej i duchowej. Za to po dzisiejszych doświadczeniach czuję się silna i dosłownie naładowana pozytywną energią.

Wiedziałam, że czas, swoboda i możliwość bycia sobą będą dla mnie najlepszym lekarstwem.

Podaruję sobie jeszcze kilka tygodni wolności. A potem Camilla MacGee na powrót stanie się Camilla de Cordina.

Ostre promiennie porannego słońca zaświeciły Delowi prosto w oczy. Poruszył się, szukając ciemności i snu, w którym widział chudego rudzielca o miodowych oczach i seksownym głosie. Pech chciał, że obrócił się na potłuczony bok. Wtedy obudził się na dobre. I to z przekleństwem na ustach.

Gdy minęło zamroczenie, uświadomił sobie, że ruda zjawia ze snu jest jak najbardziej realna. Uświadomił sobie, że spał pod jednym dachem z obcą kobietą i jednocześnie o niej śnił, i poczuł się jakoś niezręcznie. Powoli przypominał sobie, jak to się stało, że taka sztywna lala zanocowała w jego chacie.

Potem zrozumiał, że jeśli nadal nie ma prądu, zamiast gorącego prysznica czeka go kąpiel w zimnym jeziorze. Pogodzony z losem, wziął przybory toaletowe i ruszył na dół. Kiedy usłyszał dobiegający stamtąd śpiew, zatrzymał się w pół kroku.

Dźwięczny głos z egzotyczną nutką jakoś nie pasował do jego chaty. Za to zapach świeżo zaparzonej kawy wydał mu się jak najbardziej na miejscu.

Kawa grzała się na palenisku, a ona była w kuchni, zajęta przekopywaniem spiżarni.

Mimochodem zauważył, że podłoga jest czysta. Bardzo go zaskoczyło, że spod warstwy brudu ta kobieta zdołała wydobyć naturalny połysk drewna. Nie mniejszą niespodzianką były leśne kwiaty, które postawiła w szklance na umyтым stole.

Pootwierala okna i drzwi, dzięki czemu do środka wpadało rześkie powietrze, przesycone balsamiczną wonią lasu.

Wyszła ze spiżarni ze słoikiem grzybów w ręce. Kiedy niespodziewanie zobaczyła go w progu, wydała stłumiony okrzyk. Tym razem, idąc, nie narobił hałasu. Zszedł na parter bosy, przystrojony tylko w temblak i powyciągane spodnie od dresu.

Ramiona miał szerokie i opalone na piękny, złocisty kolor. Luźne spodnie zsuwały się z bioder, ukazując twarde mięśnie brzucha. Camilla instynktownie wydała cichy pomruk aprobaty dla jego urody. Omiotła nagi tors uważnym spojrzeniem i dopiero wtedy dostrzegła zadrapania i sińce na prawym boku.

- Dobry Boże! - zawołała. Ledwie powstrzymała się, by nie podbiec do niego, nie dotknąć, nie pogłodzić. - To cię musi okropnie boleć!

- Da się wytrzymać. Co robisz?

- Śniadanie. Wstałam wcześniej, więc już jestem prawie gotowa.

- Dlaczego?

- Bo chce mi się jeść.

- To nie to - syknął zniecierpliwiony i wyjął z szafki kubek. Czuł, że bez kofeiny jego mózg nie chce pracować. - Dlaczego wstałaś tak wcześniej?

- Z przyzwyczajenia.

Większość ludzi wyobraża sobie, że księżniczki śpią do południa. Camilla mogła tylko śmiać się z takich pomysłów. Jej oficjalny dzień zaczynał się o szóstej rano. Tyle że Delaney Caine nie miał pojęcia o tym, że w jej życiu istniał tak zwany tryb oficjalny.

- Bardzo zły nawyk - podsumował i poszedł po kawę.

Ruszyła za nim, opowiadając po drodze, co robiła.

- Byłam na spacerze - zaczęła entuzjastycznie. - Las jest przepiękny, naprawdę. W ogóle to miejsce jest niesamowite, zwłaszcza w tak śliczny dzień. Nad jeziorem widziałam jelenie schodzące do wodopoju. A na brzegu kwitną orliki i naparstnice. Teraz rozumiem, dlaczego tu mieszkasz. I zupełnie nie pojmuję, jak możesz tak często stąd wyjeżdżać.

- Przecież las, chata i jezioro nie uciekną - skwitował. Wypił kawę tak łąpczywie, jak człowiek zagubiony na pustyni pije wodę. Potem zamknął oczy i odetchnął pełną piersią. - Dzięki ci, Boże!

- Nadal nie ma prądu - poinformowała go. - Na śniadanie zrobię jajecznicę z serem i grzybami. Może być?

- Wszystko jedno. Idę się umyć. - Sięgnął po mydło i ręcznik. Był już w drzwiach, gdy niespodziewanie odwrócił się i spojrzał na nią przeciągle.

- O co chodzi? Zagadkowo pokręcił głową.

- Niezła jesteś, siostrze. Naprawdę niezła - wymamrotał i wyszedł na podwórze.

Nie zabrzmiało to jak komplement, a jednak poczuła przyjemne mrowienie w dole brzucha. I czuła je nawet wtedy, gdy po powrocie do kuchni zajęła się rozbijaniem jajek.

Del zjadł jajecznicę z takim apetytem, że jej obawy, czy aby będzie mu smakowało, okazały się śmieszne.

Jemu zaś wystarczyła sama świadomość, że zjada coś, czego samodzielnie nie upichcił. Na dodatek to coś smakowało jak prawdziwe jedzenie, więc był w siódmym niebie. Z tego szczęścia nawet słowem nie wspomniał, że znowu przekładała jego rzeczy. A przecież natychmiast zauważył, że jego notatki i dokumenty zostały ułożone w dwa stosy na stole w izbie.

Mało tego, w myślach przyznał jej dodatkowe punkty za to, że kiedy jadł, nie próbowała z nim rozmawiać. Nie znosił, gdy ktoś trajkotał mu nad głową, zanim zdążył na dobre rozpocząć dzień. Posunął się nawet do tego, że zaczął rozważać, czy nie zaproponować jej dorywczej pracy. Mogłaby sprzątać w chacie i gotować mu posiłki. Szybko jednak pożegnał się z tym pomysłem. Doszedł bowiem do wniosku, że jej uroda zanadto go rozprasza. Kobieta z takim wyglądem, na dodatek podstępnie wkradająca się do snów, i to już pierwszej nocy, oznacza tylko jedno: kłopoty. A tych nie potrzebował. Dlatego im szybciej ją stąd wyprawi, tym lepiej.

Musiała chyba czytać w jego myślach, bo wstała i zaczęła zbierać naczynia. Dopiero wtedy, pierwszy raz, odkąd usiedli do stołu, zdecydowała się odezwać.

- Wiem, że sprawiam kłopot, tym bardziej więc jestem wdzięczna za twoją pomoc i gościnność. Jestem zmuszona poprosić cię o jeszcze jedną przysługę. Czy mógłbyś podwieźć mnie do najbliższego telefonu? Albo podrzucić do jakiegoś miasteczka, w którym jest warsztat?

Podniósł wzrok. Ta cała Camilla, nieważne jak jej tam było naprawdę, ma nie tylko urodę, ale i dużą klasę. Nie spodobało mu się, że z powodu jej autentycznej wdzięczności poczuł się podle. Dziękowała mu z całego serca za pomoc, a on myślał tylko o tym, żeby się jej szybko pozbyć.

- Nie ma sprawy. Zaraz coś wymyślimy.

Ledwie skończył mówić, gdy usłyszeli, że przed chatę podjeżdża samochód. Podniósł się więc, żeby zobaczyć, kogo niesie лихо.

Camilla podeszła do okna. Widząc jednak samochód należący do miejscowego szeryfa, szybko cofnęła się w głąb izby. Dobrze wiedziała, że policjanci z nawyku są dobrymi obserwatorami. Wolała więc uniknąć bezpośredniego kontaktu ze stróżem prawa.

Del kątem oka uchwycił jej gwałtowny ruch. Wzruszył tylko ramionami i nie pytając o nic, wyszedł na dwór.

- Cześć, Del! - Szeryf Larry Risener był atletycznie zbudowanym, łagodnym mężczyzną w średnim wieku. Znał Dela od dziecka.

- Czołem, szeryfie!

- Sprawdzam okolicę. Ale mieliśmy burzę zeszłej nocy. Niech mnie kule biją. Prawie w całym okręgu wysiadł prąd.

- U nie też. Wiadomo, kiedy włączą?

- Cóż... - Larry podrapał się w kark. - Wiesz, jak jest.

- Wiem.

- Parę mil stąd widziałem małego sedana, który zarył nosem w rowie. To samochód z wypożyczalni. Zdaje się, że ktoś wpadł w tarapaty podczas burzy.

- Owszem - Del oparł się o futrynę. - Przejeżdżałem tamtędy chwilę po tym wypadku. Nie dało się wezwać pomocy drogowej, więc kierowca schronił się u mnie. Właśnie miałem jechać do Carla i poprosić, żeby jakoś pomógł.

- Aha, to dobrze. Bo już się bałem, że jakiś biedny turysta do tej pory błąka się po lesie. Spróbuję połączyć się z Carlem przez radio. Powiem, żeby potem do ciebie zajechał i powiedział, co da się zrobić. Przynajmniej nie będziesz musiał tłuc się do miasta.

- Wielkie dzięki, szeryfie.

- Nie ma sprawy. A co u ciebie. Jak ramię?

- Lepiej. Rwie jak cholera, ale tylko przez pół dnia.

- Domyślam się. A co u twoich staruszków? Odzywali się ostatnio?

- Od tygodnia cisza.

- Pozdrów ich ode mnie. - Larry machnął na pożegnanie ręką i ruszył do radiowożu. - Mój najmłodszy jest bardzo dumny z tych skamielin, które dostał od twojej mamy.

- Na pewno ich pozdrowię - obiecał Del. Zaczekał, aż samochód szeryfa zniknie za zakrętem, a potem odwrócił się, świadomy, że Camilla stoi za jego plecami.

- Przeskrobałaś coś?

- Nie. - Zaskoczona pytaniem, nieznacznie podniosła głos. - Nie, oczywiście, że nie!

Spojrzał na nią ostro i przenikliwie.

- Nie rób ze mnie durnia.

- Nie zламаłam prawa. Nie zrobiłam nic złego i nie jestem poszukiwana. Podróżuję, to wszystko. I nie chcę tłumaczyć się policji, że po prostu jadę przed siebie, bez konkretnego celu.

Mówiła pewnym głosem, patrząc mu prosto w oczy. Pomyślał, że jeśli kłamie, robi to perfekcyjnie. W tej chwili dla własnej wygody zdecydował się dać wiarę jej słowom.

- W porządku. Minie co najmniej godzina, zanim Carl obejrzy twój samochód, a potem tu przyjedzie. Znajdź sobie jakieś zajęcie. Ja mam mnóstwo roboty.

- Delaney, posłuchaj mnie. - Czuła, że powinna podziękować za to, że przyjął jej wyjaśnienia. Z drugiej strony dotknęło ją, iż wątpił w jej szczerość. Tak czy owak, miała wobec niego dług wdzięczności. - Domyślam się - rzekła po chwili - że trudno ci uporządkować notatki i dokumenty, mając tylko jedną sprawną rękę. Ja mam dwie, więc przez tę godzinę z przyjemnością ci pomogę.

Nie chciał, by kręciła mu się pod nogami, jednak smutna prawda była taka, że dotąd samodzielnie niewiele zwojował. Poza tym, jeśli będzie miał ją cały czas na oku, to uniemożliwi jej grzebanie w jego papierach.

- Umiesz pisać na komputerze?

- Umiem.

Z powątpiewaniem spojrzał na jej dłonie. Delikatne, skwitował. Przyzwyczajone do regularnego manikiuru. Wątpił, czy będzie miał z nich wielki pożytek. Z drugiej strony pisanie jedną ręką jest bardzo frustrujące.

- No dobrze - powiedział zrezygnowany. - Usiądź tu, czy gdzie tara chcesz. Tylko niczego nie dotykaj bez pytania - nakazał i wyszedł z pokoju, by po chwili wrócić z przenośnym komputerem. - Bez zasilania będzie pracował parę godzin. Mam kopie na dyskietkach, ale nie będą nam potrzebne - mówił, próbując jedną ręką podnieść klapę komputera.

- Daj, ja to zrobię. - Delikatnie odsunęła go na bok.

- Ale nic ponad to - rzekł surowo i znowu wyszedł. Wrócił ze sporym pudłem, które z trudem niósł pod pachą. Chciała mu pomóc, ale powstrzymał ją wymownym gestem.

- Przestań, dam sobie radę!

Uniosła głowę, bardzo wyniośle, jak mu się zdawało.

- Rozumiem, że to dla ciebie trudna sytuacja. Ale nie widzę powodu, żebyś odgrywał się na mnie.

Powiedziawszy to, usiadła i położyła dłonie na kolanach.

- Masz pisać pod dyktando - mruzczał, grzebiąc w pudle. - Nie życzę sobie żadnych uwag, pytań ani wykładów. - Rzucił na stół stos dokumentów, wycinków prasowych, zdjęć i notatek. Przez chwilę przeglądał je uważnie. - Otwórz dokument - polecił. Ona jednak siedziała bez ruchu, z rękami skrzyżowanymi na kolanach i zaciśniętymi ustami. - Podobno potrafisz używać komputera?

- Owszem. Dopiero co powiedziałaś, że bym nie zdawała pytań. Więc nie pytam, a w związku z tym nie wiem, jak się nazywa dokument, który życzysz sobie otworzyć. Ani w którym jest pliku.

Warknął coś niezrozumiale pod nosem, pochylił się nad klawiaturą i energicznie uderzył w klawisze. Przy okazji musnął policzkiem jej włosy - i to go rozdrażniło. Były bardzo miękkie i błyszczące. Pachniały słodko i tak kobieco, że aż wzburzyła się w nim krew. Ściągnął mocno brwi i skupił się na wyszukiwaniu dokumentu. Wtedy ona niespodziewanie odwróciła głowę. Ich usta zetknęły się na moment, co dla obojga było takim szokiem, że odskoczyli od siebie jak oparzeni.

Zmierzył ją piorunującym wzrokiem.

- To ten dokument - rzucił.

- Aha. - Z wysiłkiem przełknęła ślinę. Dosłownie w ostatniej chwili powstrzymała się, by nie chrząknąć. Nie chciała pokazać, jak bardzo jest zakłopotana, więc dla uspokojenia dyskretnie odetchnęła. Ale i tak nie mogła przestać myśleć o tym, że jego oczy są tak zabójczo zielone.

- Idź kursorem na koniec - powiedział sucho. Chciał zrobić to własnoręcznie, ale w porę przypomniał sobie, czym grozi zbliżanie się do tej kobiety. - Pisz od tego miejsca.

Zrobiła to z wprawą więc poczuł się spokojniejszy. Chciał sięgnąć po leżące na stole okulary, ale świadom zagrożenia, nawet nie próbował się do niej zbliżyć. Na wszelki wypadek okrążył ją wielkim łukiem. Włożywszy szkła na nos, nieomylnie wyciągnął ze stosu papierów to, czego potrzebował.

Zerknęła na niego ukradkiem. Przyszło jej do głowy, że w rogowej oprawce okularów jego spojrzenia jest jeszcze bardziej przenikliwie. A oczy bardziej zielone.

- Na szczątkach ludzkich odnaleziono materiały roślinne - zaczął. Ponieważ nie zareagowała, rzucił zniecierpliwiony: - Piszesz, czy będziesz tak siedzieć?

W ostatniej chwili powstrzymała się od ciętej riposty. Postanowiła nie zniżać się do jego poziomu i wzięła się do roboty.

- Prawdopodobnie rośliny, takie jak doskonale zachowane fragmenty opuncji, były formą ofiary, składanej do grobu wraz ze zmarłym. W jamie brzusznej zachowanych w całości szkieletów odnaleziono ziarna.

Pisała szybko, dostosowując się do rytmu jego głosu. A głos miał bardzo przyjemny, zwłaszcza kiedy nie złościł się i nie burczał. Ten głos brzmiał melodyjnie nawet wtedy, gdy Del mówił o wydobytych z grobów fragmentach tykwy, która, jak zakładał, była uprawiana z nasion przywiezionych z Ameryki Środkowej bądź Południowej.

Opowiadał o tym w sposób działający na wyobraźnię. Pomyślała, że to jego wielki dar. Słuchając go, potrafiła bez trudu wyobrazić sobie ludzi, którzy przed tysiącami lat dotarli w swej wędrówce na brzeg rzeki i postanowili założyć tam osadę. A potem wychowywali dzieci, leczyli chorych i z szacunkiem grzebali zmarłych w bogatej, torfowej glebie.

- Leszczyna? - zawołała podekscytowana, wytrącając go całkiem z rytmu. - Na podstawie drobin pyłku potrafisz ustalić, że przed dziewięcioma tysiącami lat rosła tam leszczyna? Skąd możesz...

- Posłuchaj, nie prowadzę w tej chwili zajęć ze studentami - zaczął ostro. Kiedy jednak zobaczył, jak blask entuzjazmu w jej oczach gaśnie, poczuł się jak kompletny kretyń. - Jezu, no dobra. Mamy warstwę torfu grubą na trzy i pół metra. Aby się wytworzyła, musiało upłynąć co najmniej jedenaście tysięcy lat, licząc od ostatniego zlodowacenia.

Sięgnął do dokumentów i wyszukał kilka zdjęć oraz rysunków.

- Pobiera się próbki z różnych głębokości i bada w laboratorium. Na tej podstawie można ustalić, jakie rośliny rosły w danym rejonie. I jak zmieniał się klimat.

- W jaki sposób się to robi?

- Na podstawie gatunków roślin. Ciepło, zimno, ciepło, zimno - mówił, stukając palcem w rysunek. - Oczywiście mówimy o całych stuleciach, więc bierzemy pod uwagę wiele zmian klimatycznych. Liście, nasiona, pyłki wpadły do wody i doskonale zachowały się w torfie, który tworzy środowisko beztlenowe - wyjaśniał. - A jeśli nie ma tlenu, nie rozwijają się bakterie ani grzyby, dzięki czemu proces rozkładu zostaje znacznie spowolniony.

- Ale dlaczego chowali zmarłych na mokradłach?

- Być może ze względów religijnych. W tego typu zbiornikach wodnych wytwarza się gaz, przez co nocą widać tańczące na wodzie płomyki. Metan wydostaje się na powierzchnię, tworząc bąbelki, więc można sobie wyobrazić, że woda oddycha. A śmierć zatrzymuje oddech.

Pomyślała, że to, co mówi, jest bardzo poetyckie.

- Więc grzebiąc zmarłych na mokradłach, chcieli przywrócić im oddech - rzekła zamyślona. - Ciekawe.

- Może być i inne wytłumaczenie. Nie mieli łopat, więc było im łatwiej wygrzebać jamę w przybrzeżnym błocie.

- Osobiście wolę pierwszą hipotezę. - Uśmiechnęła się do niego.

- Masz prawo - mruknął. Jej uśmiech był tak piękny, że aż poczuł suchość w gardle. Sięgnął więc po dzbanek z kawą, ale go nie znalazł.

- Wyniosłam go do kuchni - powiedziała, widząc jego skonfundowaną minę. - Chcesz, żebym zaparzyła świeżą?

- Tak, czemu nie. - Odruchowo zerknął na zegarek, którego, o czym całkiem zapomniał, w ogóle nie włożył. - Która godzina?

- Po jedenastej.

Kiedy poszła robić kawę, podszedł do komputera, by jeszcze raz sprawdzić, co już zostało napisane. Zdziwił się, że zrobili tak dużo. O wiele więcej, niż byłby w stanie zrobić sam. Dwa tygodnie pracy w takim tempie, i miałby z głowy pisanie raportu - a tego obowiązku najbardziej nie lubił. Jednocześnie mógłby spokojnie zająć się porządkowaniem wyników badań laboratoryjnych i katalogowaniem próbek.

Dwa tygodnie, westchnął, dotykając bolącego ramienia. Lekarze powiedzieli mu, że minie co najmniej miesiąc, nim będzie mógł ruszać ręką. Natomiast żeby w pełni odzyskać sprawność, musi poczekać jeszcze dłużej. Pocieszał się myślą, że lekarze z reguły są pesymistami.

Mógłby zatrudnić sekretarkę. Nawet powinien. Kurczę, tak bardzo nie lubi, gdy ktoś obcy kręci mu się po domu. Już lepiej zainwestować w sterowany głosem komputer. Ciekawe, ile czasu zajęłoby mu kupienie sprzętu, instalacja programu i nauczanie się obsługi?

- Zaraz będzie kawa. - Camilla wróciła do pokoju i usiadła na swoim miejscu. - Na czym stanęliśmy?

Bez trudu powrócił do fragmentu, który jej ostatnio dyktował i, zapatrzony się w okno, mówił dalej. Po kilku minutach zupełnie zapomniał o jej obecności. Pochłonięty opowieścią o palmach karłowatych i kłączach trzciny wodnej, nie słyszał nawet cichego klikania klawiatury.

Kiedy w pobliżu rozległ się warkot silnika, był już przy zwierzyńcu łownej. Rozkojarzony zdjął okulary i z niechęcią obserwował, jak przed chatę zajeżdża czerwona ciężarówka ze sprzętem do holowania.

Czego, do diabła, chce od niego Carl?

- To z warsztatu?

Mrugnął oczami i wrócił do rzeczywistości.

- Tak.

Gruby jak hipopotam Carl z trudem wy dostał się z kabiny. Zasapany, zdjął bejzbolówkę i poskrobał się po łysiejącej głowie.

- Del! - zawołał przyjaźnie, gdy ten wyszedł przed chatę.

- Carl!

- Jak staruszkowie?

- Chyba nieźle.

- To dobrze. - Pokiwał głową, a na widok Camilli zmrużył oczy osłonięte miodowymi szklami przeciwsłonecznych okularów. - To pani wjechała do rowu?

- Tak. Wyciągnął pan już mój samochód?

- Jeszcze nie. Na razie tylko go obejrzałem. Stłukła pani przedni reflektor i rozwalila miskę olejową. Lewa przednia opona jest płaska jak naleśnik. Zdaje się, że kierownica się trochę wygięła. Trzeba to wszystko naprawić, zanim pani ruszy w dalszą drogę.

- Rozumiem. Może pan się tym zająć?

- Pewnie. Jak tylko wrócę do warsztatu, zaraz zamówię części. Za kilka dni samochód będzie jak nowy.

Kilka dni! A więc nici z planów, by wyjechać najpóźniej wieczorem.

- Trudno - westchnęła. - Co zrobić.

- Holowanie, części, robocizna - wyliczał tymczasem Carl - całość wyniesie jakieś trzysta dolarów.

Niepokój przemknął po jej twarzy, nim zdążyła nad nim zapanować. Dobrze, że nie krzyknęła ze zdziwienia. Trzysta dolarów! Nawet nie ma tyle w portfelu.

Niespodziewana przerwa w podróży niechybnie doprowadzi ją do bankructwa, pomyślała zaszepiona. Nie może zadzwonić do firmy, z której Marian wypożyczyła samochód, bo przecież żadna Camilla MacGee nie figuruje w rejestrze klientów. W tej sytuacji nie pozostaje jej nic innego, jak zwrócić się o pomoc do rodziców. Co dla niej oznacza osobistą porażkę.

Jej milczenie oraz zmartwiona mina sprawiły, że Carl nerwowo Zaszurał butami.

- Eee... na razie mogę wziąć od pani dwieście. Resztę dopłaci mi pani przy odbiorze.

- Pójdę po pieniądze.

Idąc po schodach do pokoju, pocieszała się, że przez kilka dni na pewno coś wymyśli. Sprzeda zegarek albo inną wartościową rzecz i będzie miała dość pieniędzy, by zapłacić za

motel i jedzenie. A potem odbierze samochód i pojedzie dalej. Poradzi sobie. Przecież zawsze potrafiła rozwiązywać problemy.

Jednak gdy odliczała banknoty, żołądek ścisnął jej się nieprzyjemnie. Konieczność liczenia się z każdym groszem jest taka ponizająca! Brak pieniędzy był dla niej całkiem nowym, i jak sądziła, niezwykle cennym doświadczeniem.

Sto osiemdziesiąt dolarów i parę centów! Tyle zostało jej w portfelu, który kosztował przeszło dwa razy więcej. Niech to będzie dla ciebie nauką, nakazała sobie, i wróciła na dół.

Del siedział w kuchni, zajęty wertowaniem notatek.

- Czy mógłbyś poprosić tego pana, żeby podwiózł mnie do miasta?

- Już pojechał.

- Pojechał? - Zdumiona wyjrzała przez okno. - Ale dokąd?

- Na drogę. Wyciągać twój samochód.

- Przecież jeszcze mu nie zapłaciłam.

- Zrobi to na mój rachunek. Co z kawą?

- Na twój rachunek? - Urażona duma sprawiła, że mimo woli zaczęła zachowywać się wyniośle. - To zbędne. Mam pieniądze.

- I dobrze. Oddasz mi, jak Carl naprawi samochód. A teraz chcę się napić tej choleralnej kawy.

Sięgnął po kubek i wyszedł, ale ruszyła za nim.

- Proszę, weź to - nalegała, podając mu banknoty.

Zignorował ją i skupił uwagę na zdejmowanie czajnika znad płomieni. Następnie wrócił z nim do kuchni, nalał sobie kawy i odniósł go na miejsce. Widział, że Camilla niemal gotuje się ze złości. Swoją drogą, było to całkiem interesujące. Znowu zdobyła parę punktów, tym razem za to, że potrafi się zdenerwować. Najwyraźniej nie nawykła do bycia w potrzebie. Ani w finansowym dołku. Gdzieś blisko niej na pewno są duże pieniądze. W końcu szwajcarskie cacko, które nosi na ręce, jest warte ładnych parę kawałków. Tyle że akurat teraz ma pusto w kieszeniach.

Ta kobieta jest zagadką, ale nie zamierzał łamać sobie nią głowy. Przypomniał sobie, że gdy zrobiła tę zatroskaną minę, ogarnęło go współczucie - odruch u niego raczej rzadki. Suma, którą wymienił Carl, była dla niej za duża, ale nie próbowała wykorzystać swojej urody, by go zmiękczyć i wytargować niższą stawkę. Szanował takie zachowanie.

Nagle przyszło mu do głowy, że z łatwością może jej pomóc, przy okazji pomagając sobie. Na dodatek w sposób, z którego obydwójce powinni być zadowoleni.

- Wychodzi na to - odezwał się znieca - że dziś rano zarobiłaś dwadzieścia dolarów. Licząc po dziesięć za godzinę. Tyle mogę ci dać za pisanie. A nocleg i jedzenie odpracujesz sprząaniem i gotowaniem. Jak Carl mówi, że coś potrwa parę dni, to trzeba liczyć co najmniej cztery. W tym czasie będziesz miała gdzie spać i przy okazji zarobisz na naprawę.

Wpatrywała się w niego uważnie, chłonąc każde słowo.

- Dajesz mi pracę? Chcesz, żebym... została twoją gosposią? Żeby ci prowadziła dom?

- Przecież i tak to robisz, prawda? Myślę, że układ jest uczciwy. Ty będziesz miała gdzie spać przez cztery dni, ja nie stracę czasu i zrobię to, co mam zrobić. I w ten sposób oboje będziemy zadowoleni.

Odwróciła się do niego plecami, co wziął za oznakę zażenowania. Gdyby mógł zobaczyć jej minę, z pewnością poczułby się zaskoczony. I zdezorientowany. Prawda była bowiem taka, że Camilla resztkami sił powstrzymywała śmiech.

Och, ale media miałyby używanie, myślała, tłumiąc chichot. W zamian za dach nad głową Camilla de Cordina szoruje podłogi, podgrzewa zupę z puszki i przepisuje notatki o szkieletach i nasionach czarnego bzu. „Co robi księżniczka w czasie wakacji”. Już widziała te krzyczące nagłówki.

Śmiech narastał w niej i łaskotał w gardle, więc zacisnęła powieki i zagryzła usta. Rzecz jasna, powinna odmówić. Oddać mu pieniądze i poprosić, by odwiózł ją do miasta. A potem skontaktować się z rodzicami w sprawie małej pożyczki albo upłynnić zegarek. Tyle że, Bóg jej świadkiem, wszystko to jest takie rozkoszne. I tak cudownie nietypowe. Czyż nie tego szukała w swej podróży?

Żadnej telewizji, żadnych kolorowych pism z jej twarzą na okładce. Plus arcyciekawa praca w pięknym zakątku, którego dotąd nie знаła. Plus okazja, by zdobyć wiedzę, jakiej nie dała jej żadna z najlepszych szkół. A wszystko dzięki wrodzonym zdolnościom. Nie dlatego, że jest księżniczką, że ma taki obowiązek, że ktoś jej robi uprzejmość. Najważniejsze jednak było to, że bodaj pierwszy raz w życiu mogła robić coś tylko i wyłącznie dlatego, że sama ma na to ochotę.

Nie, tak cudownej okazji nie wolno jej zmarnować!

- Jestem ci wdzięczna. Naprawdę. - Głos jej lekko drżał z powodu tłumionej radości, którą on wziął za łyzy wzruszenia.

Nic nie przerażało go bardziej niż płacząca kobieta.

- To uczciwy interes - powtórzył. - Korzystny dla obu stron, więc nie ma się co roztkliwiać.

- Tak, to rzeczywiście uczciwy interes - zgodziła się. Kiedy odwróciła się w jego stronę, oczy jej błyszczały. - A więc umowa stoi - powiedziała, siląc się na dziarski ton, i wciągnęła do niego rękę.

Zignorował ten przyjazny gest, bowiem postawił sobie pewien warunek. Otóż nigdy, w żaden sposób ani pod żadnym pozorem nie dotknie tej kobiety.

- Idę powalczyć z generatorem - oznajmił. - A ty posprzątaj. I nie dotykaj moich rzeczy.

Camilla odczekała, aż skrzypną wyjściowe drzwi. A potem usiadła tam, gdzie stała, i wybuchnęła głośnym śmiechem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wysprzątanie chaty zajęło jej ponad godzinę. Gdy wreszcie osiągnęła zadowalające efekty, postanowiła zrobić sobie przerwę i zajrzeć do szopy. Przy okazji wzięła ze sobą długą listę zakupów.

- Potrzebujemy mnóstwa rzeczy - oznajmiła.

- Lepiej podaj mi ten cholerny klucz francuski. Bez dyskusji wzięła narzędzie, ale korciło ją, żeby go nim walnąć w głowę.

- Twoja chata to prawdziwa stajnia Augiasza. Jeśli mam odkrobać ten brud, muszę mieć środki czystości. Najlepiej w ilości przemysłowej. To po pierwsze. Po drugie, jeśli chcesz porządnie jeść, musisz kupić produkty spożywcze. Jednym słowem, czeka cię wyprawa do miasta.

Nie zwracając najmniejszej uwagi na jej słowa, siłował się ze śrubami. Kiedy już wszystkie dokręcił, kolejny raz spróbował uruchomić generator. Bez skutku. Silnik uparcie odmawiał współpracy.

- Nie mam czasu jechać do miasta - wydusił przez zęby.

- Jeśli chcesz jeść normalne rzeczy i spać w czystej pościeli, będziesz musiał go znaleźć.

Z wściekłością uderzył kluczem w metalową obudowę, ale widocznie było mu za mało, bo na dokładkę wymierzył odpornej maszynie trzy solidne kopniaki. Ponieważ i to nie pomogło, sklął ją na czym świat stoi.

Camilla była uodporniona na tego typu reakcje. Z doświadczenia wiedziała, jak zachowują się mężczyźni, gdy padną ofiarą złościwości przedmiotów martwych. Dlatego gdy Del ciskał się po całej szopie, ona stała spokojnie i przeglądała swoją listę.

Gdy atak furii minął, z pobłażaniem przechyliła głowę.

- Zawsze się zastanawiam - powiedziała - dlaczego mężczyźni, gdy są wściekli na jakieś urządzenie, używają obraźliwych żeńskich epitetów.

- Dlatego, że pasują - odpalił. Podjął kolejną próbę włączenia generatora i tym razem silnik, choć z wyraźnym oporem, ale jednak zaskoczył. - Ha! - zawołał z satysfakcją.

- Bravo! A teraz bądź uprzejmy posprzątać to pobojuwisko, które zostało po twoim bohaterskim wyczynie. A potem zajmij się listą.

Spojrzał na nią wymownie oczami zwężonymi jak u kota, ważąc na dłoni francuski klucz. Pojęła aluzję, ale pozostała niewzruszona. Cisnął więc narzędzie w kąt i wyszarpnął kartkę z jej dłoni.

- Nie znoszę despotycznych bab - warknął.

- A ja chamskich facetów. Skoro jednak mam ci prac skarpetki, oboje musimy jakoś z tym żyć.

W jego oczach pojawił się ironiczny błysk.

- Jak masz je prac, to pierz. Tylko nie krochmal, bo będą tak samo sztywne jak ty.

Oboje jednocześnie ruszyli do drzwi, więc po dwóch krokach wpadli na siebie w wąskim otworze. Instynktownie oparta dłoń o jego pierś i wtedy poczuła pod palcami gwałtowne uderzenie serca. Jej serce zabiło tak samo.

- Postaraj się nie wchodzić mi w drogę - rzucił ostrzegawczo.

- Więc uważaj, jak chodzisz.

Popatrzył jej prosto w oczy, a potem zniżył wzrok i zatrzymał go na jej ustach. Jakby w odpowiedzi, instynktownie rozchyliła wargi.

- Masz to jak w banku, siostró - mruknął, po czym precyzyjnie przesunął się obok niej i wyszedł na dwór.

- No, no - szepnęła, dotykając ust, które stały się jakby bardziej gorące. - No, no - powtórzyła.

Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czuła się zdenerwowana, wyczerpana, i jednocześnie pełna energii. Po prostu wiedziała, że żyje. Była cała i zdrowa, i, co właśnie odkryła, ciekawa rozwoju wydarzeń. Miała więc o czym myśleć.

Del szybko odkrył, że nie podoba mu się rola chłopca na posyłki. Nie dość, że wyprawa po zakupy rozwalila mu cały dzień, to jeszcze niektóre z produktów umieszczonych na liście wprawiły go w niemałe zakłopotanie.

Patrzył na przykład na słowo „trybulka” i w głowę zachodził, co to może być? I dlaczego musi być świeże?

I na jaką cholere ta baba potrzebuje aż dwóch tuzinów jajek? Albo jedenastu litrów wybielacza?

Może po to, żeby go otruć, przemknęło mu przez myśl, gdy wracał do domu. Widział przecież, że była na niego wściekła. Nie udało jej się zmylić go tym z pozoru chłodnym spojrzeniem królowej patrzącej na głupiego kmiotka.

Swoją drogą, pomyślał, ta kobieta ma niesamowitą twarz. Taką która wali faceta prosto w trzewia. A jeśli dodać do tego ten jej zmysłowy głos i fenomenalne nogi, ma się idealny okaz niebezpiecznej samicy.

Im dłużej o tym wszystkim myślał, tym mocniej żałował, że pozwolił sobie na współczucie.

Na szczęście wiedział, jak się obchodzić z niebezpiecznymi przesyłkami. Musi po prostu patrzeć na nią jak na skuteczne narzędzie, które pomaga mu osiągnąć cel. I omijać ją wielkim łukiem w czasie wolnym od pracy. Cały czas trzymać ręce przy sobie i myśleć o niej jak o istocie kompletnie aseksualnej. Uzbrojony w te zasady, od razu się uspokoił.

Wystarczyło jednak, że wybiegła przed chatę na jego spotkanie, by na ułamek stanęło mu serce. Istota aseksualna? Narzędzie? Ta kobieta jest jak granat. I to odbezpieczony.

Roześmiana zajrzała do samochodu i zaczęła wyciągać torby z zakupami.

- Jest już prąd - mówiła ożywiona. - Wiesz, ja nigdy nie sądziłam, że ucieszy mnie coś tak oczywistego jak paląca się żarówka. Telefon jest jeszcze głuchy, ale na pewno wkrótce zacznie działać.

Wziął pozostałe pakunki i ruszył za nią w stronę chaty. Pierwszy raz miał okazję dokładnie jej się przyjrzeć. Przyszło mu do głowy, że wyjątkowo pięknie się porusza. Szła po żwirowej ścieżce z taką gracją, jakby sunęła po marmurach sali balowej. Pomyślał, że to musi mieć jakiś związek z tymi nieprawdopodobnie zgrabnymi nogami. Na które oczywiście wcale nie zwracał najmniejszej uwagi. Najmniejszej.

- Zamierzasz gotować dla całej armii? - spytał z przekąsem.

- Och, przestań marudzić! - Zbyła go lekceważącym ruchem ręki i zaczęła wyjmować zakupy. - Jak tylko się z tym uporam, zrobię ci kanapkę.

Wiedziała, jak się zabierać do robienia kanapek. Tego nie mógł jej odmówić. Zjadł je, i to zjadł z ogromnym apetytem, siedząc przy stole w lśniącej czystości kuchni. Kiedy po skończonym posiłku zaczął przeglądać kolejną partię notatek, był w doskonałym nastroju. Zwłaszcza że dzięki aspirynie prawie zapomniał o bolących zębach.

Pracowali jeszcze przez trzy godziny bez przerwy. Szło wyjątkowo gładko, mimo że co pewien czas wybijała go z rytmu jakimś pytaniem. Co, o dziwo, wcale mu już tak bardzo nie przeszkadzało.

Zwłaszcza że te pytania były sensowne, zmuszające do zastanowienia. Co jakiś czas prowadził zajęcia ze studentami, choć prawdę powiedziawszy, robił to bardziej z konieczności niż wyboru. Teraz musiał przyznać, że większość studentów nie potrafiła tak łatwo jak ona pojąć sedna omawianych zagadnień.

W pewnej chwili złapał się na tym, że z podziwem wpatruje się w piękną linię jej szyi. Zirykowany tym odkryciem, czym prędzej opuścił wzrok. Z ulgą powrócił do notatek i po chwili nawet nie pamiętał, że ona siedzi obok.

Camilla wiedziała, że Del jej się przygląda. I zauważyła, że w mgnieniu oka potrafi skupić się na czymś innym i Całkiem o niej zapomnieć. Podobało jej się to - jego zainteresowanie jej osobą oraz to, że czuł się z tym niezręcznie. I nawet to, że potrafi tak szybko nad sobą zapanować.

Jego zainteresowanie nie miało nic wspólnego z jej pochodzeniem. Po raz pierwszy w życiu miała niezbitą pewność, że nie chodzi mu o jej rodzinę, błękitną krew czy pozycję towarzyską. Nic więc dziwnego, że zareagowała na to bardzo pozytywnie. Natomiast fakt, że był zły na samego siebie, sprawił jej satysfakcję.

Ponad wszelką wątpliwość wiedziała, że Del widzi w niej po prostu kobietę, a nie wykreowany przez media wizerunek, nie tytuły i majątek. Dzięki temu sama czuła się kobietą. Pociągała go, więc walczył ze sobą, bo wcale tego nie chciał. To dawało jej miłe poczucie, że ma nad nim przewagę. Taką, jaką kobieta może mieć nad mężczyzną, a nie władczyni nad poddanym.

Jego skupienie też jej się podobało. Podziwiała tę umiejętność, która według niej wynikała z siły woli, intelektu oraz głębokiego zainteresowania pracą. Natomiast jego samokontrola była dla niej pewnym wyzwaniem. Miała ochotę ją przetestować, choć intuicyjnie wyczuwała, że popełnia błąd. Powinna wziąć poprawkę na to, że oprócz tego obcego mężczyzny nikogo tu nie ma. Musi liczyć się z tym, że odrywając go od zajęć i prowokując określone sytuacje tylko po to, by zaspokoić ciekawość i poczuć satysfakcję, ryzykuje łatwe do przewidzenia konsekwencje.

Z drugiej wszakże strony, czy możliwe jest poszukiwanie prawdy bez ponoszenia konsekwencji?

Kiedy zrobił dłuższą pauzę w dyktowaniu, przeciągnęła się, by rozruszać zdrętwiałe plecy.

- Czy możemy zrobić chwilę przerwy? - zapytała.

Obserwowała, jak wraca do rzeczywistości, do swojej izby i do niej. Czuła, jak mierzy ją tym swoim seksownym, a jednocześnie belferskim spojrzeniem zza rogowych oprawek.

- Jeszcze nie skończyłem.

- Domyślam się. Jeśli chcesz, wrócimy do pracy po kolacji - powiedziała z uśmiechem. - Mam ochotę na mały spacer. Del, czy ty w ogóle chodzisz po lesie?

W tym pozornie niewinnym pytaniu doszukał się nie wyrażonego wprost zaproszenia. Był pewien, że zrobiła to celowo. Wie, jak się zabierać do rzeczy, orzekł. Aż bał się pomyśleć, co się działo, gdy poważnie zagięła parol na faceta.

- Idź, skoro masz ochotę - mruknął, pochyliwszy się nad papierami. - Ja mam tu co robić - dodał. Zaczekał, aż Camilla wejdzie do sionki, po czym zawołał: - Uważaj na jadowite węże.

Usłyszał, jak na ułamek sekundy jej kroki tracą pewny rytm. Zawahała się, pomyślał ze złośliwą satysfakcją.

Obudził się w środku nocy, obolały i otumaniony. Znowu o niej śnił, niech ją szlag! Tym razem byli w kuchni i opracowywali notatki. Niby nic, tyle że ona siedziała przy komputerze naga jak ją Pan Bóg stworzył.

Fantazja ta była tak szczeniacka, że zrobiło mu się wstyd. Dłuższą chwilę leżał w ciemnościach, czekając, aż uśmierzy się ból i ostudzi wzburzona krew.

Przetrwiał cały dzień i wieczór, nie łamiąc postanowień. Ani razu jej nie dotknął, a przecież miał mnóstwo okazji. Niewinne muśnięcie karku, kiedy pochylała się nad klawiaturą. Subtelny dotyk dłoni, kiedy przy kolacji podawała mu sól.

Wszystko byłoby bardzo naturalne i proste. Gdyby tylko zechciał, mógł na przykład chwycić ją za szyję, przyciągnąć do siebie i wreszcie dowiedzieć się, jak smakują te ponętne usta.

Mógł to zrobić, ale się powstrzymał. Punkt dla niego.

Tylko że ciągle o tym myślał. I to go bardzo niepokoiło. A ona go jeszcze prowokowała. Flirtowała z nim. Zwykle ignorował takie zachowania, unikał tego typu sytuacji albo, jeśli akurat miał ochotę, podejmował grę. W każdym razie potrafił bezbłędnie odczytywać takie sygnały. Zwłaszcza gdy kobieta nie bawiła się w subtelności.

Studentki albo poszukiwaczki przygód, których kilka zawsze kręciło się wokół wykopalisk, często próbowały go poderwać. Sądził, że robią to, bo archeologia kojarzy im się z czymś barwnym i romantycznym. Mógł mieć o to pretensje do Indiany Jonesa, ale przecież byłby skończonym głupcem, gdyby zżymał się, że interesują się nim kobiety.

Co jakiś czas miewał więc romantyczne epizody, ale jak ognia wystrzegał się poważniejszych związków. Tylko że akurat z tą rudą kocią żadne zabawy nie wchodziły w grę. Wystarczyło raz na nią spojrzeć, i już było wiadomo, że kłopoty to jej specjalność. Póki nie jest za późno, powinien się jej pozbyć. Wynając jej pokój w miasteczku i nawet za niego zapłacić, byle tylko mieć ją z głowy.

Wtedy przypomniał sobie, z jaką wprawą przepisywała jego notatki. To wystarczyło, by irytacja osłabła. Musiał przyznać, że jest nieocenioną pomocą. Nie dość, że dzięki niej nie musiał męczyć się z przepisywaniem, to jeszcze widział w ich wspólnej pracy także inne korzyści. Choć przyznawał się do tego niechętnie, to faktem było, iż dzięki jej trafnym pytaniom i zdolnościom organizacyjnym powstawał najlepszy raport, jaki kiedykolwiek zdarzyło mu się napisać.

A przy okazji jadł tak dobrze, jak chyba nigdy w życiu. Ale to mniej istotne.

Obserwując ją, zaczął dochodzić do wniosku, że zbyt pochopnie dostrzegł w niej zepsuta, rozpieszczoną cizję, która uciekła od bogatego męża albo narzeczonego. Kobieta tak zaradna i nawykła do prac domowych nie może być niczyją maskotką.

Ucieszyły go te wnioski. Głównie dlatego, że fantazjowanie na temat kobiety innego mężczyzny dzieli ledwie krok od sypania z tą kobietą. Tymczasem punkt pierwszy na jego krótkiej liście żelaznych zasad mówił wyraźnie: nie będziesz sypiał z kobietami innych facetów.

Jeśli ją wyrzuci, wróci do punktu wyjścia.

Jeśli ją wyrzuci, to tym samym przyzna, że nie był w stanie utrzymać rąk przy sobie. A jeśli tak się stanie, to... No właśnie, to co wtedy o sobie pomyśli?

Zmęczony, zrezygnowany, wstał w końcu z łóżka. W ostatniej chwili przypomniał sobie, że musi włożyć spodnie i poszedł do łazienki. Nie zwrócił najmniejszej uwagi na lśniące kafelki i czyste ręczniki, tak jak poprzednio nie zwracał uwagi na bałagan. Ale przyjemny zapach poczuł natychmiast. Dlatego, że należał do niej.

Wolał tego nie analizować. Wyjął z szafki środki przeciwbólowe, ale zaraz włożył je tam z powrotem. To te cholerne lekarstwa tak go ogłupiają. Uznał, że lepiej zrobi, łykając zwykłe proszki przeciwbólowe. I popijając je whisky.

Kiedy szedł mrocznym korytarzem, nawet nie zerknął w stronę jej sypialni. I nie pozwolił sobie choćby raz pomyśleć o tym, że pewnie leży teraz w łóżku i spokojnie śpi. I dobrze, że tego nie zrobił, bo jej wcale taninie było.

Najpierw usłyszał jej stłumiony głos dobiegający z dołu. Potem zorientował się, że jest w kuchni. Zaintrygowany zmrużył oczy, zatrzymał się, zaczął nadsluchiwać. Nie mógł zrozumieć poszczególnych słów, ale słyszał, że mówi miękko, czule, z uczuciem. Z całych sił zacisnął szczęki.

Z kim do diabła rozmawia o tej porze? Cicho szedł po schodach i zatrzymał się w mrocznej sieni, skąd już wyraźnie usłyszał koniec rozmowy.

- *Je t'aime aussi. Bonne nuit.*

Ledwie kliknęła słuchawka, w kuchni rozbłysło światło.

Camilla cofnęła się gwałtownie. Gdyby w ostatniej chwili nie zasłoniła sobie ust, pewnie krzyknęłaby na całe gardło.

- *Mon Dieu! Vousm 'avez fait peur* - szepnęła drżącym głosem. - Przestraszyłeś mnie! - zawołała już pewniej, przerzucając się na angielski.

- Czego tu szukasz po ciemku?

Zeszła na dół sprawdzić, czy już włączyli telefon. Ponieważ działał, postanowiła zadzwonić do domu. Nie zapalała światła i starała się mówić cicho, bo chciała uniknąć tego, co właśnie nastąpiło. Czyli zbędnych wyjaśnień.

- Telefon już działa.

- Widzę. Odpowiedz na pytanie. Wyprostowała plecy, uniosła głowę.

- Od dawna nie jestem dzieckiem, więc nie sądziłam, że nie wolno mi wychodzić z pokoju. Płacę ci za kwaterę i chyba mam prawo korzystać z urządzeń domowych.

- Jeśli o mnie chodzi, możesz nawet tańczyć tango przy księżycu. Mam gdzieś, co robisz po nocy. Chcę tylko wiedzieć, dlaczego skradasz się po ciemku i szepczesz do słuchawki?

Powiedziała mu prawdę. W najbardziej wyniosły sposób, na jaki było ją stać.

- Nie mogłam zasnąć, więc zeszłam się napić. Przy okazji sprawdziłam telefon. Działał, więc z niego skorzystałam. Nie martw się, dzwoniłam na koszt odbiorcy. Gdyby moja komórka miała zasięg na tym odludziu, do głowy by mi nie przyszło dzwonić z twojego aparatu. Nie zapaliłam światła i mówiłam cicho, żeby cię nie obudzić. Zawsze uważałam, że dobre wychowanie nakazuje szanować spokój kogoś, kto podobno śpi. Cóż, widocznie i tu się różnimy...

To, co mówiła, miało sens. Nie brzmiało fałszywie. Dlatego skinął głową.

- W porządku. Chcesz pogadać z mężem albo chłopakiem, rób to otwarcie. Nie skradaj się w ciemnościach jak złodziej.

Krew w niej zawrzała, policzki zapłonęły, oczy błysnęły jak czyste złoto.

- Po pierwsze, nie skradałam się jak złodziej. Po drugie, nie mam męża. Skoro już musisz wiedzieć, dzwoniłam do matki, żeby powiedzieć jej, co się ze mną dzieje. Możemy już skończyć przesłuchanie?

Nie znosił, gdy robiło mu się głupio. Żeby nie pogarszać i tak kiepskiego samopoczucia, postanowił milczeć. Odwrócił się do niej plecami i zaczął szukać w szafce aspiryny.

- No tak. Powinnam się była domyślić - fuknęła i nie pytając o nic, napełniła szklankę wodą. - Kiedy cię boli, stajesz się jeszcze bardziej niezdolny. Proszę bardzo, popij.

- Nie chcę wody - burknął i wszedł do spiżarni, by po chwili wrócić z butelką whisky.

- Najpierw napij się wody, bo zepsujesz sobie smak alkoholu - uprzedziła. Wyjęła z szafki czystą szklankę i wlała do niej odpowiednią ilość trunku. - Po tym na pewno poczujesz się lepiej. Co ci bardziej dokucza, żebra czy bark?

- Żebra.

- To znaczy, że się goją. Usiądź, przygotuję ci zimny kompres.

- Nie potrzebuję pielęgniarki.

- Nie bądź uparty. - Napełniła lodem plastikową torbę, którą następnie owinęła ściereczką. - Napij się i opowiedz mi o tych swoich wykopaliskach. Tylko takich naprawdę egzotycznych, w jakimś niezwykłym zakątku świata.

Zaskoczyło ją i jednocześnie ucieszyło, że mówi jak własna matka, która właśnie w taki sposób zabawiała ją i jej braci, gdy w dzieciństwie byli chorzy. Zawsze starała się wynaleźć im zajęcie, które oderwałoby ich myśli od choroby.

- Spadaj!

Nie takiej reakcji się podziwiała, ale w jego głosie nie wyczuła gniewu. Chwilę jeszcze postął, w końcu jednak usiadł.

- Kiedy robiłam porządki, natknęłam się na korespondencję adresowaną do doktora Caine'a. Zrobiło to mnie wrażenie - przyznała. Sama również usiadła i co chwila przykładła kompres do twarzy, sprawdzając, czy jest już odpowiednio zimny. - Gdzie studiowałeś?

Miała na sobie szlafrok w kolorze miedzi. Jedwabny, orzekł, sądząc po tym, jak zachowuje się materiał, gdy ona się porusza. I włożony na gołe ciało. Broniąc się przed własnymi myślami, zamknął oczy i wolno sączył whisky.

- W Oksfordzie.

- Tak? Tym bardziej jestem pod wrażeniem. Delaney Caine, który zrobił doktorat w Oksfordzie. Skąd wiedziałeś, że chcesz zostać archeologiem?

Ciekawie sformułowane pytanie, pomyślał. Nie: dlaczego zostałeś albo kiedy postanowiłeś zostać archeologiem, tylko skąd wiedziałeś, że chcesz nim być. Podobał mu się taki sposób myślenia.

- Zawsze chciałem wiedzieć kto, co, jak, dlaczego i kiedy. Kiedy jeździłem z rodzicami na wykopaliska...

- Oni też są archeologami?

- Nie. Paleontologami. To ci od dinozaurów - mówił, nie otwierając oczu. Czekał, aż whisky stępi ból. - Lubiałem z nimi jeździć. Pamiętam, że najbardziej cieszyłem się wtedy, gdy wykopali coś, co pozostawił po sobie człowiek. Kawalki ceramiki, broń, narzędzia. Coś, co świadczyło o tym, że na tych terenach żyli kiedyś ludzie. - Syknął, gdy zimny kompres dotknął jego rozpalonej skóry.

Biedactwo, pomyślała współczująco. Najbardziej złości go sam ból.

- Moi bracia przeszli okres fascynacji dinozaurami. Chyba wszyscy chłopcy tak mają. - Widziała, jak jego twarz się wygładza. Kompres skutecznie łagodził dolegliwości. - Czy twoi rodzice poczuli się zawiedzeni, że nie wybrałeś ich dziedziny?

- Nie. Dlaczego mieliby się tak czuć? - Powoli zaczynał się odprężyć. Przez otwarte okno dobiegało pohukiwanie nocnych ptaków. W chłodnym powietrzu płynęły ku niemu smugi jej zapachu i pieściły go jak dotyk delikatnych dłoni.

- Czy ja wiem? Może dlatego, że nie podtrzymałeś rodzinnej tradycji. Chyba dobrze jest mieć rodziców, którzy potrafią zrozumieć, że człowiek musi iść przez życie własną drogą. Niektórzy właśnie z braku wsparcia nawet nie próbują tego robić. Albo ze strachu przed krytyką czy porażką zwlekają z tym zbyt długo.

Nareszcie się odprężył, pomyślała, obserwując go uważnie. Chyba zaczął usypiać. Ciekawe, że nawet wtedy jego rysy nie łagodnieją ani trochę. Może wygląda tak srogo z powodu wystających kości policzkowych i zarostu? Nareszcie może patrzeć na niego do woli. I w miarę, jak to robiła, budziło się w niej pożądanie.

Niespodziewanie otworzył oczy. Jego twarz znalazła się tak blisko, że w pierwszym odruchu chciała się cofnąć. Nie zrobiła tego. Zaintrygował ją wyraz czujności w jego oczach. Nagle coś ją podkusiło, by wypróbować na nim swą kobiecą siłę. Pochyliła się i prowokacyjnie pogłaskała go po policzku.

- Wypadałoby się ogolić, doktorze Caine. Owionął go jej zapach. Świeży i rześki pomimo późnej pory. Jej oddech musnął mu skórę. I sprawił, że zwilgotniały mu usta.

- Daj spokój - mruknął szorstko.

- Chyba trudno zrobić to jedną ręką. - Przesunęła paznokciem po jego policzku i szyi. - Chętnie ci pomogę, jeśli chcesz...

- Nie chcę. I nie życzę sobie, żebyś mnie dotykała.

- Ej, myślę, że sobie życzysz. - Czują, że żądza, która jak spirala rozkręca się w jej brzuchu, nie jest jednostronna. - Tylko boisz się przyznać. I denerwuje cię, że ja się ciebie nie boję.

Zdrową ręką chwycił ją za przegub dłoni i ścisnął ostrzegawczo.

- Jeśli rzeczywiście się nie boisz, to musisz być głupia. - Obrzucił ją znaczącym, taksującym spojrzeniem. Przejechał obraźliwym wzrokiem w dół i w górę jej ciała. - Jesteśmy tu sami. Nie masz się gdzie schować. Mogę mieć tylko jedną sprawną rękę, ale jeśli najdzie mnie ochota, żeby się poczęstować, nie powstrzymasz mnie.

Ogarnęła ją złość. Dotąd nikt nie ośmielił się dotknąć jej, nie uzyskawszy przedtem zgody. Nie zamierzała robić dla niego wyjątku.

- Ja się nigdy nie chowam, zawsze staję do walki. Nie jestem ani słaba, ani bezradna.

Jeszcze mocniej zacisnął palce wokół jej ręki, w pełni świadom, że zostawi znaki na delikatnej skórze. Chciał, żeby tak się stało. Dla ich wspólnego dobra.

- Nie przeceniaj swoich możliwości - ostrzegł. - I pamiętaj, że niejeden mężczyzna wykorzystałby sytuację, w jakiej się znalazłaś. Wziąłby sobie kawałek, bez względu na to, czy byś mu smakowała, czy nie. Masz szczęście, że jestem wybredny. A na ciebie, siostrze, w ogóle nie mam ochoty.

- Doprawdy? - Dopiero teraz ogarnęła ją wściekłość. Zdarzało jej się to bardzo rzadko, bo świadomie nie dopuszczała do takiej reakcji. Kiedy traciła panowanie nad sobą stawała się popędliwa. Wiedząc o tym, robiła teraz wszystko, by jak najszybciej ochłonąć. - I bardzo dobrze.

Odsunęła się od niego, a czując, że uścisk jego ręki zelżał, wyszarpnęła dłoń. Już miała wstać, gdy nagle dostrzegła błysk w jego oczach. Nie była pewna, czy ujrzała w nich ulgę, czy pogardę. Cokolwiek to było, na nowo rozpałiło w niej gniew.

- Po co kłamiesz? - rzuciła.

Była zła, urażona, wiedziała, że zachowuje się głupio. Niestety, niewiele mogła już zrobić. Straciła kontrolę nad swoimi emocjami. Bez uprzedzenia wczepiła palce w jego włosy i z całej siły przycisnęła usta do jego ust. Gdy usłyszała, że rwie mu się oddech, poczuła satysfakcję. Postanowiła pójść za ciosem i natychmiast poznać jego smak.

A gdy poczuła go na języku, niespodziewanie dla siebie samej dała się ponieść. W ułamku sekundy ogarnęła ją prawdziwa gorączka. Całowała go coraz namiętniej, zdumiona siłą własnej reakcji. Usta miał twarde, skórę szorstką, a włosy gęste i miękkie jak futro norki. Czowała, jak dziko łomocze mu serce. Najpierw jego dłoń musnęła ją po karku, a potem rozchyliły się wargi i jego język owinał się wokół jej języka. Od tej chwili mogła myśleć tylko o jednym: daj mi więcej!

Z powodu aspiryny i whisky miał spowolnione reakcje. Tylko tym mógł wytłumaczyć fakt, że od razu jej nie odepchnął. Był tylko człowiekiem. Tym się rozgrzeszał z tego, że

podniósł rękę nie po to, by ją powstrzymać, ale by ją jeszcze mocniej do siebie przytulić. By poczuć ją całym sobą.

Miał ochotę dosłownie ją połknąć. Całą. Pragnął tego. Pragnął jej bardziej niż następnego oddechu. Poprawił się na krześle i otoczywszy ją zdrowym ramieniem, próbował posadzić sobie na kolanach. Wystarczył jeden nieuważny ruch i wściekły ból w jednej chwili ostudził jego namiętność.

Zerwała się na równe nogi. Wyraźnie poczuła, jak jego ciało tężeje, słyszała, jak z bólu wstrzymuje oddech. Od razu zorientowała się, co się stało. Przestraszona, już miała go przeprosić, ale podchwyciła wściekłość w jego wzroku. I to wystarczyło, by słowa uwięzły jej w gardle.

- Nie zbliżaj się do mnie! - syknął.

Wciąż nie mógł normalnie oddychać i czuł straszny zamęt w głowie. Wiedział, że to nie tyle reakcja na ból, co na jej bliskość. Klął więc w myślach i ją, i siebie.

- Pomogę ci...

- Powiedziałem, żebyś się do mnie nie zbliżała! - Wstał, przewracając przy okazji krzesło. Znowu pociemniało mu w oczach, więc zatoczył się i niewiele brakowało, a byłby upadł. Słabość, którą czuł w całym ciele, doprowadzała go do furii. - Masz ochotę na szybki numer, poszukaj szczęścia gdzie indziej. Ja się w to nie bawię - rzucił ostro i wyszedł na podwórze, trzaskając drzwiami z taką furią, że omal nie wypadły z zawiasów.

Palił ją taki wstyd, że do rana w ogóle nie zmrużyła oka. Wystarczyło, że przypomniała sobie swoje żenujące zachowanie, i aż kuliła się w łóżku. Narzucała mu się. Prawie zmusiła go, by się z nią kochał. Nic nie tłumaczyło takiego zachowania, a już na pewno nie to, że była zła, urażona, podniecona. Gdyby jakiś mężczyzna tak się z nią obszedł, bez wahania nazwałaby go brutalem i barbarzyńcą.

A sama co zrobiła? Wykorzystała sytuację i swą fizyczną przewagę, zmusiła go, żeby ją pocałował. Postąpiła w sposób niedopuszczalny. Postanowiła, że z samego rana przeprosi go i pokornie przyjmie jego decyzję co do sposobu zadośćuczynienia za zniewagę. Spodziewała się, że Del każe jej się wynosić. Obiecała sobie, że zrobi to bez szemrania.

Po cichu liczyła nawet, że tak się stanie.

Bładym świtem stawiała się z kuchni. Choć wiedziała, że to strasznie banalne, postanowiła wykorzystać starą, sprawdzoną zasadę: przez żołądek do serca.

Ponieważ on również miał za sobą bezsenność, przygotowała się na to, że pyszne śniadanie będzie mogła mu podać dopiero w porze obiadu. Przypomniała sobie, że gdy o trzeciej nad ranem usłyszała na schodach jego ciężkie kroki, na długo wstrzymała oddech.

Była pewna, że za chwilę drzwi do jej sypialni otworzą się z hukiem, Del złapie ją za kołnierz i każe jej się natychmiast wynosić.

Była gotowa to zrobić, ale... W końcu on także nie pozostał obojętny na jej awanse. Przecież czuła, że chłonał ją jak spragniony wodę. A gdyby nie próbował sadzać jej sobie na kolanach i nie uraził się w ramię...

Chyba lepiej nie wyobrażać sobie, co byłoby dalej.

Zaparzyła kawę, wstawiła sok do lodówki, przygotowała ciasto na naleśniki z jabłkami i cynamonem, pokroiła wiejską szynkę. Wszystko było gotowe, tylko niedźwiedź wciąż nie wychodził ze swojej gawry.

Nagle usłyszała znajome skrzypienie podłogi. Znak, że jest już na nogach. Może więc robić mu śniadanie. Zanim jednak sięgnęła po patelnię, wytarła o spodnie spocone ręce.

Del również bezustannie odtwarzał w pamięci to nieszczęsne zdarzenie. Stał pod prysznicem ponury jak chmura gradowa i po raz setny analizował całą sytuację. Z jednej strony był wściekły na tę kobietę za to, że postawiła go w tak niemożliwej sytuacji, z drugiej zaś na samego siebie, bo w żaden logiczny sposób nie potrafił wytłumaczyć swojej beznadziejnej, żenującej reakcji.

Piękna kobieta dała mu do zrozumienia, co ma ochotę z nim robić. Wspaniała, zmysłowa, z nikim nie związana kobieta w samym środku nocy całowała go tak, że prawie stracił rozum.

A on co zrobił? Uciekł od niej.

Zgłupiał, czy co? Nie, po prostu był ostrożny, uznał. W normalnej sytuacji nie widział niczego niewłaściwego w tym, że dwoje dorosłych ludzi ma ochotę na przygodny seks dla przyjemności. Tyle że seks z Camilla na pewno taki by nie był. Dawno już doszedł do wniosku, że ta kobieta to same kłopoty.

Poza wszystkim innym akurat teraz nie miał czasu na takie zabawy. Ma więcej pracy niż włosów na głowie. A w ogóle to jeśli chciał się z kimś kochać, sam robił pierwszy krok.

Z drugiej strony, chyba nie miałby nic przeciwko temu, żeby to ona przejęła inicjatywę. Oczywiście tylko na jakiś czas. Musiał przyznać, że całowała bosko. Usta miała gorące, sprawne, takie co to potrafią człowieka zachęcić.

Lepiej wcale o tym nie myśleć, tylko zastanowić się, co zrobić z tym fantem. Uznał, że ma dwie możliwości. Może udawać, że nic się nie stało, albo dać jej wymówienie, odwieźć do miasta i wyrzucić na pierwszym rogu.

Druga opcja jest na pewno najbezpieczniejsza.

Był już w połowie schodów, gdy dobiegł go mocny aromat świeżo zaparzonej kawy. To nieco rozmiękczyło jego determinację. Na palcach jednej ręki mógł policzyć poranki, gdy nie musiał robić sobie kawy sam.

Naraz wyraźnie poczuł zapach pieczonego mięsa.

Gra nieczysto, uznał. Jak każda kobieta.

Gdy tylko wszedł do kuchni, odwróciła się w jego stronę. Trzymała kubek kawy, ale nie podała mu go, tylko postawiła na stole. Powitała go bez uśmiechu, cały czas patrząc mu prosto w oczy.

- Przepraszam za moje zachowanie - zaczęła bez zbędnych wstępów.

Jej ton, chłodny i rzeczowy, zbił go na moment z tropu. Uznał więc, że najlepiej zrobi, cicho pijąc kawę.

- To, co zrobiłam, jest niewybaczalne - mówiła. - Wykorzystałam sytuację i nadużyłam twojej gościnności. Masz prawo natychmiast mnie stąd wyrzucić. I choć mam nadzieję, że tego nie zrobisz, podporządkuję się każdej twojej decyzji.

Stała przed nim taka uroczysta, cierpliwa i pogodzona z losem. A za jej plecami na patelni skwierczała szynka. Nawet mistrz wagi ciężkiej nie wytrzymałby z nią jednej rundy.

- Zapomnijmy o całej sprawie - zaproponował. Odetchnęła z ulgą, ale wiedziała, że musi powiedzieć wszystko do końca.

- Chcę, żebyś wiedział, że nigdy dotąd nie zrobiłam niczego takiego.

- To znaczy czego?

- Nie narzucałam się. - Na samo wspomnienie tego, o czym mówi, zaczerwieniła się, ale dzielnie brnęła dalej. - Dopiero później przyszło mi do głowy, że gdyby role się odwróciły... to znaczy, gdybyś to ty mnie napastował, na dodatek ubezwłasnowolnioną...

- Nie jestem ubezwłasnowolniony! - warknął.

- Tak, oczywiście, ale... wiesz, co mam na myśli. Chodzi mi o to, że takie postępowanie zostałyby uznane za przestępstwo, więc...

- Posłuchaj, dajmy już temu spokój. Koniec i kropka. Nie wracamy więcej do tej sprawy. Nic takiego się nie stało.

Spojrzała na niego uważnie, po czym odwróciła wzrok. Może rzeczywiście nic się nie stało, że przez tę idiotyczną historię musiał wyjść z domu i zamiast spać we własnym łóżku, całą noc włączył się po lesie.

- Każdy akt seksualny musi wynikać z chęci obu zainteresowanych stron - oznajmiła uroczyście. - W przeciwnym razie jest napastowaniem seksualnym.

- Prędeż mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż dam się napastować jakiejś chudej szczapie!

- Wcale nie jestem chudą szczapą! Ale nie o to chodzi. Pozwól mi dokończyć. Po pierwsze, byłam bardzo zła. Po drugie nie ukrywam, że mi się podobasz, Bóg jeden raczy wiedzieć dlaczego. Jedno w parze z drugim, plus głupia ciekawość, i stało się, co się stało. Poniosło mnie. W każdym razie dziękuję, że przyjąłeś przeprosiny. A teraz usiądź do stołu, zaraz podam śniadanie.

Zdjęła szynkę z patelni i przełożyła na talerze. Chciała sięgnąć po ciasto na naleśniki, ale nie zdążyła. Jednym silnym pociągnięciem Del obrócił ją i przyciągnął do siebie, po czym z całej siły pocałował.

Widelec wysunął się z jej bezwładnej dłoni i z brzękiem spadł na szafkę. Niespodziewany atak sprawił, że zmiękły jej kolana, w głowie zaczęło wirować. Czują się wspaniale. Chciała się do niego przytulić, ale ją odepchnął.

- Jesteśmy kwita - oznajmił, spokojnie sięgając po swój kubek z kawą. - Z czym będą naleśniki?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Zarost go denerwował. Tak samo jak ta kobietą. Dokuczały mu żebra. I własne libido.

Praca jest najlepszym lekarstwem na takie dolegliwości. Do tej pory potrafił zatracić się w niej całkowicie, Mało tego, zawsze twierdził, że ten, kto tego nie umie, powinien zmienić zawód. Musiał przyznać, że Camilla była dla niego nieocenioną pomocą. Czasami zastanawiał się, jakim cudem udawało mu się bez niej cokolwiek zrobić.

Postanowił wykorzystać fakt, że ma wobec niego dług wdzięczności i namówić ją, by pomagała przez kilka tygodni. Jedyne problem polegał na tym, że nie zawsze potrafił się przy niej skupić. Na przykład rozpraszał go promień słońca zaplątany w jej włosy, gdy pochylała się nad klawiaturą. Albo błysk w oczach, gdy zwracała się do niego z jakimś pytaniem lub uwagą.

Wtedy, zamiast skoncentrować się na notatkach, zaczynał myśleć o niej. Kim jest i skąd przychodzi? I po jaką cholere siedzi w jego kuchni? Skąd tak dobrze zna francuski i gdzie nauczyła się tak bosko gotować? I w ogóle skąd wzięła się kobieta z taką wielką klasą? Nie znośił wypytywać ludzi o ich prywatne sprawy. Głównie dlatego, że zaczynali wtedy gadać jak najęci i nie mogli skończyć. Jak na ironię, akurat Camillę miał ochotę zapytać o mnóstwo rzeczy.

Mądra jest, uznał, gdy skrupulatnie i bezbłędnie opisała zdjęcia stanowisk oraz tego, co w nich znaleziono. Nie wątpił, że jest starannie wykształcona, ale chodziło mu o coś innego. Gdyby miał zgadywać, powiedziałby, że uczyła się wyłącznie w prywatnych szkołach. Wskazywał na to lekki francuski akcent. Del bez wahania stawiał na którąś z elitarnych szwajcarskich szkół dla dziewcząt z wyższych sfer.

Bez względu na to, gdzie się kształciła, miała dość rozumu, by puścić w niepamięć nieszczęsny nocny incydent. Kiedy powiedział, że są kwita, skinęła tylko głową i jak gdyby nigdy nic zaczęła smażyć naleśniki. Spodobała mu się taka postawa. Przyjęła fakt, że odpłacił jej pięknym za nadobne, i robiła wszystko, by ich stosunki wróciły do normy.

Kiedy na nią patrzył, był pewien, że wokół niej są wielkie pieniądze. W dodatku stare. Kosztowny szwajcarski zegarek, jedwabny szlafrok. Bo to rzeczywiście był naturalny jedwab. Przekonał się o tym w chwili, gdy przytuliła się do niego i na nagiej skórze poczuł przyjemną pieśczość materiału.

Niech to jasna cholera!

Najdziwniejsze w tej całej historii było to, że praca nie była dla niej niczym nowym. Zdawało mu się nawet, że lubi gotować. Nie potrafił tego zrozumieć, ale to już był jej problem. Dla niego osobiście najbardziej liczył się fakt, że potrafi godzinami siedzieć przy komputerze i nie narzeka na zmęczenie. Że pisze szybko i bezbłędnie. I nie garbi się nad klawiaturą! W dodatku dłonie ma piękne jak królowa.

Tak, pokiwał głową, ta kobieta została świetnie wychowana. W sposób, po którym człowiekowi zostaje moralny kręgosłup i uczciwość na całe życie. Poza tym ma niesamowite usta. Dobrze, ale co z tego wszystkiego wynika?

Z zamyślenia wyrwało go skrobanie własnych paznokci o szczerinę na brodzie. To go zainspirowało.

- Wypadaloby się ogolić - stwierdził i czekał na jej reakcję.

- Proszę?

- Ogolić się - powtórzył. - Wypadaloby. Uznała to za miły przerywnik i z uśmiechem zapytała:

- Poradzisz sobie, czy chcesz, żebym ci pomogła? Skrzywił się w taki sposób, by pomyślała, że nie jest zachwycony tym pomysłem.

- A ty masz pojęcie o goleniu?

- Nie. - Wydęła wargi i przechyliła głowę. - Ale widziałam, jak robi to mój ojciec i bracia.

- Masz braci?

- Tak, dwóch. - Zamyślona, podeszła do niego i w skupieniu zaczęła studiować jego twarz. Same górki i dołki, żadnych gładkich płaszczyzn, oceniła. Nie będzie łatwo. I na tym polega wyzwanie. - Myślę, że sobie poradzę.

- Tylko pamiętaj siostrze, że w grę wchodzi moje ciało i krew - przestrzegł, ale wstał z krzesła.

Potraktowała swoje nowe zadanie bardzo poważnie. Po dłuższym namyśle uznała, że najlepszym miejscem do przeprowadzenia tego typu zabiegu jest frontowa weranda. Będą tam mieli świeże powietrze i dużo więcej miejsca niż w małej łazience na górze. Bo przecież musi mieć do niego swobodny dostęp. I to z każdej strony.

Przyniosła sobie mały stolik i rozłożyła na nim niezbędne przybory. Miseczkę z gorącą wodą, ręczniki, krem do golenia i maszynkę. Trochę żałowała, że Del nie goli się brzytwą. Byłoby zabawnie ostrzyć ją przedtem na pasku.

Kiedy usiadł na stołku, owinęła mu szyję ręcznikiem.

- Mogę ci przy okazji podciąć włosy - zaproponowała.

- Zostaw je w świętym spokoju!

Nie próbowała go namawiać. Miał naprawdę wspaniałą grzywę. To po pierwsze. A po drugie, obcinając nie tak dawno temu własne włosy, przekonała się, że nie posiada ukrytych talentów fryzjerskich.

- Dobrze, teraz się zrelaksuj - powiedziała, przykrywając mu twarz ciepłym, wilgotnym ręcznikiem. - Widziałam to na filmach. Myślę, że dzięki temu zarost staje się miękki.

Mruknął coś niezrozumiale i poprawił się na krześle. Ponad jego głową spojrziała na ciemną ścianę lasu. Drzewa były tu gęste, soczyście zielone. W ich koronach, prześwietlonych promieniami słońca, śpiewały ptaki. Jak okiem sięgnąć nie było nikogo, kto czatowałby na nią, skuszony perspektywą zbiccia fortuny na paru zdjęciach. I nie było ani jednego ochroniarza, który bezustannie deptałby jej po piętach.

Zamiast tego były spokój i cisza, które spływały na nią jak kojący balsam.

- Cudny dzień - westchnęła, odruchowo kładąc dłonie na jego ramionach. Pragnęła podzielić się z kimś przepelniającym ją poczuciem wolności. - Lato jest bardzo piękne w tych stronach. Tylko zieleń i błękit nieba. O tej porze roku w Wirginii upał i duchota stają się bardzo męczące.

Aha! Nie pomylił się, gdy stwierdził, że w jej głosie słyszy melodię Południa.

- Pochodzisz z Wirginii?

- Tak, tam mieszka moja rodzina. - Przynajmniej jej część, dodała w myślach. - Mamy farmę.

Kiedy zdjęła z jego twarzy ręcznik, rzucił jej ostre spojrzenie, w którym kryło się powątpiewanie.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś córką farmera? Daruj sobie!

- Naprawdę mamy farmę - powiedziała z naciskiem, zirytowana, że jej nie wierzy. I to nie jedną, tylko dwie. Na dwóch różnych kontynentach. - Mój ojciec uprawia soję i kukurydzę. Hoduje bydło i konie.

- Dziecino, ty w życiu nie skopałaś jednej grządki. Nie takimi rączkami.

Uniosła go góry brwi i ze spokojem rozprowadzała krem do golenia po jego policzkach.

- Nie wiem, czy się orientujesz, ale jest taki wspaniały wynalazek, który nazywa się traktor. I wyobraź sobie, że umiem go prowadzić.

- Chyba nie mam dość wyobraźni. Jakoś nie widzę cię w roli traktorzystki.

- No cóż, wprawdzie nie pracuję przy żniwach, ale potrafię odróżnić ziemniak od buraka. - Ściągnęła brwi i w skupieniu pierwszy raz przejechała maszynką po jego twarzy. - Moi rodzice wychowywali nas tak, żebyśmy wiedzieli, co to praca. Chcieli, żeby był z nas pożytek i żebyśmy zrobili coś dobrego nie tylko dla siebie, ale i dla świata. Moja siostra pracuje z dziećmi z ubogich rodzin.

- Mówiłaś, że masz dwóch braci.

- Bo mam. I siostrę. Jest nas czworo. - Starannie wypłukała maszynkę w miseczce, uśmiechając się przy tym do swoich myśli.

- A co dokładnie robisz na tej swojej farmie?

- Ach, mnóstwo rzeczy - mruknęła, pochłonięta precyzyjnymi manewrami wokół jego szczęki.

- I właśnie przed tymi rzeczami uciekasz? Ej, uważaj!

Szybko wytarła kropelkę krwi.

- Nic się nie stało, to tylko draśnięcie. Nie byłoby go, gdybyś siedział cicho. Całymi godzinami milczysz, a teraz buzia ci się nie zamyka.

Zadowolony, że trafił we właściwą strunę, udał obojętność.

- To pewnie z nerwów - wzruszył ramionami. - Nigdy dotąd żadna kobieta nie zbliżała się do mnie z ostrym narzędziem.

- Naprawdę? Aż trudno uwierzyć, biorąc pod uwagę twój charakter.

- Tak jak patrząc na twój, trudno skojarzyć cię z kobietą z farmy. Skoro twierdzisz, że wychowałaś się w Wirginii, to skąd się wziął ten francuski pasztet?

- Francuski pasztet? - uśmiechnęła się. - To w spadku po matce - wyjaśniła, czując wyrzuty sumienia, że nie jest z nim całkiem szczerą. Chcąc mu to wynagrodzić, postanowiła powiedzieć tyle, ile mogła, nie narażając się na zdemaskowanie. - Co roku jeździmy do Europy. Tam również mamy małe gospodarstwo. A teraz nie gadaj, tylko zrób tak. - Naciągnęła górną wargę na zęby.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Pokaż mi to jeszcze raz - poprosił.

- Patrzcie go! Znalazł się wesolek. - Roześmiana, ustawiła się pomiędzy jego nogami i przystąpiła do golenia wąskiego paska pomiędzy ustami a nosem.

Miał wielką ochotę jej dotknąć. Przesunął ręką po dowolnym skrawku jej ciała. Najchętniej znowu by ją pocałował. I do diabła z tym, kim naprawdę jest.

Musnęła kciukiem jego usta, ale szybko cofnęła rękę. Przez chwilę pieściła je czułym spojrzeniem, po czym podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. Bez trudu wyczytała z nich pożądanie. I już po chwili poczuła je w sobie. Wręcz zaparło jej dech.

- Powiedz mi - szepnęła - dlaczego tak się dzieje? Nie udawał, że nie rozumie pytania. Nie widział sensu w uprawianiu gry pozorów.

- Nie mam pojęcia, skąd to się bierze. Może stąd, że jesteś smakowitym kąskiem dla oczu.

Uśmiechnęła się, rozbawiona taką metaforą.

- Wydaje mi się, że to za mało. Przecież nawet nie można powiedzieć, żebyśmy za sobą przepadali.

- Ja tam nic przeciwko tobie nie mam.

- Ech, Delaney, ależ jesteś wymowny - roześmiała się, próbując rozładować napięcie. - Co za poezja, co za piękne wyznanie!

- Chcesz poezji, kup sobie wiersze.

- Chyba cię lubię - stwierdziła, skupiona na końcowych pociągnięciach maszynką. - W jakiś irracjonalny sposób podoba mi się twoja drażliwość.

- Drażliwi są ludzie starzy. A jestem młody, więc nie jestem drażliwy, tylko chamski.

- Trafiłeś w sedno. Na szczęście masz jeszcze ciekawy umysł, który, nie ukrywam, bardzo mi się podoba. Poza tym intryguje mnie twoja praca. - Delikatnie obróciła jego głowę i pochyliła się tak, że znów była bardzo blisko. - Podziwiam namiętność, z jaką oddajesz się swoim zajęciom. Może dlatego, że sama szukam namiętności, oczywiście nie cielesnej. Szukam pasji, która ożywia intelekt. Jestem zaskoczona, że odnalazłam ją pośród starych skorup i kości.

- Archeologia to nie tylko pasja i intelekt.

- Wiem, wiem To harówka, poświęcenie, pot, może nawet krew. - Przechyliła głowę. - Jeśli myślisz, że to dla mnie nowość, mylisz się.

- Nie jesteś słabeuszem.

- Proszę, proszę. Pochlebiasz mi. Czuję, jak ze szczęścia wali mi serce.

- Masz cięty język, siostró. Może w jakiś irracjonalny sposób podoba mi się twój sarkazm.

- To dobrze. Dlaczego nigdy nie zwracasz się do mnie po imieniu? - Czystym rękawkiem starła z jego twarzy resztki kremu. - Camilla to moje prawdziwe imię. Moja mama lubi kwiaty, a kiedy ojciec pierwszy raz przywiózł ją na farmę, właśnie kwitły kamelie.

- Więc tylko nazwisko podałaś mi fałszywe.

- Owszem. - Aby sprawdzić efekt swoich zabiegów, przesunęła dłonią po jego policzku. - Chyba mogę być z siebie zadowolona. Zwłaszcza że bez zarostu wyglądasz o niebo lepiej.

Przez chwilę w milczeniu wycierała ręce. Potem podniosła na niego wzrok.

- Co do ucieczki, to po prostu chcę przez kilka tygodni pobyc sama - oznajmiła cicho.
- Po to, żeby być sobą, bez żadnych ograniczeń, bez dostosowywania się do cudzych wymagań, bez spełniania oczekiwań.

- Tak... - Znękany ton jej głosu i wyraz oczu były dla niego wystarczającym dowodem, że mówi prawdę.

- Tu ci nie zabraknie powietrza - rzekł, wodząc palcami po gładkim podbródku. - Kiedy twój samochód będzie gotowy, możesz od razu ruszać w dalszą drogę albo, jeśli chcesz, zostać jeszcze przez jakiś czas i dalej robić to, co do tej pory.

Łzy zakręciły jej się w oczach, choć zupełnie nie wiedziała dlaczego.

- Dziękuję ci. Chętnie zostanę trochę dłużej. Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o twoich badaniach. I o tobie.

- Nie zmieniamy niczego między nami. Dopóki samo się nie zmieni - powiedział, a przesunawszy dłonią po policzku, dodał: - Dobra robota... Camillo.

Uśmiechnęła się do siebie, ale dopiero wtedy, gdy zamknęły się za nim drzwi.

Aby zademonstrować swą wdzięczność, postanowiła mu nie przeszkadzać. I przez półtora dnia trwała w tym postanowieniu. Przez ten czas doprowadziła chatę do stanu nie spotykanej tu nigdy wcześniej czystości. Dzięki jej wytrwałym zabiegom wszystko wręcz lśniło. Poza tym opisała i posegregowała zdjęcia oraz rysunki. Przepisywanie materiałów również szło bardzo sprawnie. Kiedy opracowane notatki utworzyły dwa pokaźne stosy, uznała, że pora zmienić rozkład zajęć.

- Musimy jechać po zakupy - oznajmiła.

- Dopiero co je robiłem.

- Kiedy to było?! Pamiętaj, że jedzenie musi być świeże. Nie mamy już żadnych owoców, kończą się warzywa. Potrzebuję cytryn na lemoniadę. Uważam, że pijesz za dużo kawy.

- Muszę. Bez kofeiny zapadam w śpiączkę.

- W porządku. Ostrzegam więc, że kawa też ci się kończy. Jeśli chcesz zachować świadomość, musimy prędko pojechać do miasta.

Dopiero teraz uniósł głowę znad notatek. Zdjął okulary i spojrzał na nią pytająco.

- My?

- Tak. Chcę sprawdzić, w jakim stanie jest mój samochód, bo z tym twoim Carlem nie sposób dogadać się przez telefon. Mamrocze pod nosem coś, czego nie rozumiem - żaliła się, szukając w torbie ciemnych okularów. - A więc jedziemy.

- Chcę dokończyć rozdział.

- Dokończymy potem. Jeśli dokucza ci bark, mogę poprowadzić.

Właściwie niemal zapomniał o bolącym barku. Podczas długich bezsennych nocy miał dość czasu, by go stopniowo rozruszać. Za to żebra wciąż dawały mu się we znaki. Mimo to chciał już wkrótce pozbyć się temblaka.

- Mówisz, że możesz prowadzić? I myślisz, że po tym swoim wyczynie na drodze pozwolę ci usiąść za kierownicą?

- Naprawdę jestem dobrym kierowcą. Wszystko przez tego jelenia, który...

- Dobra, dobra. Zapomnij o prowadzeniu mojego samochodu - rzekł stanowczo, po czym westchnął z rezygnacją i wstał od stołu. Znał ją już na tyle długo, by wiedzieć, że łatwo nie odpuści. Chciał więc oszczędzić sobie słuchania jej nalegań i uratować jak najwięcej czasu. - Ja poprowadzę. A ty zrobisz zakupy - zdecydował, jednak zwlekał z pójściem do samochodu.

Przechyliła głowę i przyjrzała mu się krytycznie.

- Co, nie wiemy, gdzie mamy kluczyki? Tkwią w stacyjce twojej cennej limuzyny, i to od dnia, w którym je tam zostawiłeś.

- Wiedziałem! - Pokiwał głową i energicznie ruszył do drzwi. - Idziesz czy nie?

Idąc za nim, czuła tak radosne podniecenie, jak przed pierwszym wyjściem na całonocną zabawę.

- Słuchaj, czy w tym mieście jest jakieś centrum handlowe? Chciałabym...

- Hola, wolnego! - Zatrzymał się tak niespodziewanie, że wpadła na niego z impetem.

- Po pierwsze, nie ma żadnego centrum. Po drugie, nie myśl sobie, że mam czas na rajd po sklepach. Potrzebujesz cytryn, będziesz je miała. Ale zapomnij o tym, że będę za tobą łąził i czekał, że przymierzysz piętnastą parę butów albo kolczyków.

Słuchając go, nie mogła się nie uśmiechnąć. Od lat miała lekkiego, zupełnie niegroźnego bzika na punkcie kolczyków.

- Ja tylko chciałam kupić sobie krem do oczu - zaczęła, ale nie zdążyła dokończyć. Jednym ruchem zsunął jej z nosa przeciwsłoneczne okulary i spojrzał twardo w oczy.

- Nie jest ci jeszcze potrzebny - stwierdził i poszedł dalej.

Nie widział więc, jak za jego plecami wymownie zerknęła w sufit. Postanowiła jednak nie drążyć tej kwestii. Wróci do sprawy, gdy dotrą do miasta. Do tego czasu najlepiej zająć go czymś innym.

- Opowiedz mi - poprosiła, sadowiac się w szoferce - na czym dokładnie polega datowanie za pomocą izotopu węgla?

- Słuchaj, chcesz wykładu...

- To zapisz się na studia. Wiem, wiem. Ja tylko proszę o krótkie wyjaśnienie. Będzie mi łatwiej pisać, jeśli będę rozumiała, o czym mówisz.

Westchnął ciężko i boleśnie, nie wiadomo, czy dlatego, że go męczyła, czy dlatego, że na wybojach przypomniły o sobie obolałe kości.

- Cząsteczki węgla występują w atmosferze - zaczął bez entuzjazmu. - Na bilion atomów węgla tylko jeden jest atomem promieniotwórczego izotopu C - 14. Ten węgiel wchłaniany przez rośliny i przez zwierzęta...

- Które się nimi żywią - dokończyła.

- Albo żywią się innymi roślinożernymi zwierzętami - dodał, patrząc na nią z uznaniem. - Po wchłonięciu węgiel zaczyna się rozpadać. W tym samym czasie z atmosfery lub poprzez pokarm zostają wchłonięte następne atomy. To, co zostało wchłonięte, musi zginąć. Szybkość rozpadu atomu węgla - 14 wynosi piętnaście rozpadów promieniotwórczych na minutę. Można je wykryć za pomocą licznika Geigera. Reszta to już czysta matematyka. Martwy organizm traci radioaktywność z prędkością... Czy mi się zdaje, czy mówię do siebie?

- Słucham? - Spojrzała na niego z roztargnieniem. - Przepraszam, trochę się zamyśliłam. Przez te okropną burzę nawet nie mogłam w pełni docenić urody tutejszego krajobrazu. Te zielone wzgórza kojarzą mi się z Irlandią. I jeszcze te cudowne jeziora, lasy! Taki tu spokój.

- Właśnie dlatego ludzie osiedlają się w tej części Vermontu. Nie lubimy tu tłoku ani hałasu. Jak ktoś szuka typowych atrakcji, nie ma czego szukać w KPW. Powinien raczej wybrać się nad jezioro Champlain.

- KPW? Co to takiego?

- Królestwo Północnego Wschodu. Uśmiechnęła się. Rozbawiło ją, że uciekając z książęcego dworu, trafiła do królestwa.

- Mieszkasz tu od zawsze? - zapytała.

- Z przerwami.

Gdy nagle pojawił przed nimi zadaszony most, aż krzyknęła z zachwytu.

- Coś wspaniałego!

- Czy ja wiem - wzruszył ramionami. - W końcu chodzi tylko o to, żeby przeprowić się na drugą stronę - stwierdził sucho, ale jemu także udzieliła się jakaś część jej zachwyty. Przyszło mu nawet do głowy, że zbyt rzadko ma czas, by cieszyć się wyjątkową urodą miejsca, które uczynił swym domem.

Z turkotem przetoczyli się przez most i ruszyli w stronę strzelistych dachów białego kościółka, które na tle lasu wyglądały jak włócznie. Camilla miała wrażenie, że przed jej zachwyconym wzrokiem otwierają się kolejne strony barwnej księgi, w której spisano piękną, na wskroś amerykańską opowieść. W tej opowieści przewijały się zielone wzgórza, wśród których przycupnęły białe kościoły i schludne domki otoczone zadbanymi ogródkami. Samo zaś miasteczko rozpostarło się przed nią niczym plansza do gry. W centralnym punkcie miało niewielki park, ujęty w ramy prostych ulic, przy których stały domy z ładnie starzejącą się cegły, na przemian z domami obitymi spłowiałym szalunkiem.

Miała wielką ochotę przejść się po tych zadbanych uliczkach, zajrzeć do sklepów, popatrzeć na ludzi przy ich codziennych zajęciach. A potem zjeść lunch w którejś z małych restauracyjek. Albo jeszcze lepiej kupić sobie loda w wafelku i spacerować dalej.

Del zatrzymał samochód na niedużym parkingu.

- Tu jest sklep spożywczy - wyjaśnił. Potem wyjął z portfela kilka banknotów i wcisnął jej do ręki. - Kup, co trzeba, a ja zajrzę do warsztatu. Masz pół godziny.

- Aleja miałam nadzieję, że pójdziemy...

- Kup jakieś ciastka czy coś w tym rodzaju - rzucił, dając jej znak, żeby wysiadała.

Zrobiła to bez dyskusji, a potem ujęła się pod boki i obserwowała, jak odjeżdża. Setny raz pomyślała, że ten facet jest skończonym gburem. Rozkazuje jej, traktuje jak popychadło, przerywa w pół słowa. Nikt dotąd nie obchodził się z nią tak grubiańsko. Tym bardziej więc nie potrafiła pojąć, jakim cudem nie tylko toleruje jego zachowanie, ale jeszcze czerpie z tego niewytłumaczalną przyjemność.

Nie byłaby jednak sobą, gdyby nie zrobiła tego, na co miała ochotę. Zdecydowała, że zanim znowu da się wywieźć na odludzie, obejrzy miasteczko. Wyprostowała więc plecy i poszła zwiedzać. W osadzie typowej dla praktycznej, lecz pruderyjnej Nowej Anglii nie znalazła lombardu. Napotkała za to sklep jubilerski, który prowadził także komis. Przez szybę zerknęła do środka i natychmiast zauważyła leżące na wystawie kolczyki. I choć niektóre bardzo jej się podobały, oparła się pokusie i poszła dalej, notując w pamięci adres. Wróci tu, jeśli będzie musiała sprzedać zegarek.

W drogerii nie znalazła kremu, którego normalnie używała, więc zadowolona się tym, co było dostępne. Przy okazji kupiła kilka aromatycznych świec i parę torebek potpourri.

Za to sklep z antykami okazał się prawdziwą kopalnią skarbów. Camilla długo oglądała kałamarz ze srebra i kryształu, po czym z żalem odstawiła go na półkę. Taki drobiazg byłby wymarzoną prezentem dla wuja Aleksa. Niestety, przy jej ograniczonych środkach finansowych był dla niej niedostępny. Chyba że zaryzykowałaby użycie karty kredytowej.

Wybrała więc parę niedrogich starych butelek, by mieć w co wkładać kwiaty i gałązki, którymi chciała ozdobić chatę. Ekspedientka, ciemnowłosa blondynka uczesana w koński ogon, mogła być jej rówieśnicą. Miała bystre, niebieskie oczy, które natychmiast dostrzegły, że Camilla interesuje się kałamarzem. Wykorzystała więc okazję i, pakując butelki, powiedziała z uśmiechem:

- Kałamarz pochodzi z dziewiętnastego wieku. To piękna rzecz, zwłaszcza dla kolekcjonera. I cena jest przystępna.

- Rzeczywiście jest bardzo piękny. W ogóle bardzo podoba mi się pani sklep.

- Dziękuję. Jesteśmy z niego dumni. Zwiedza pani okolicę?

- Tak.

- Jeśli zatrzymała się pani w którymś z moteli sieci B&B, dajemy dziesięć procent upustu przy zakupie powyżej stu dolarów.

- Nie... niestety, nie. - Camilla ponownie spojrzała na kałamarz. Do urodzin wuja zostały tylko trzy miesiące. - Czy gdybym zostawiła zaliczkę, mogłaby pani odłożyć go dla mnie?

Sprzedawczyni zmierzyła ją badawczym spojrzeniem.

- Czemu nie. Proszę zostawić dwadzieścia dolarów. Będzie na panią czekał przez dwa tygodnie.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. - Kobieta uśmiechnęła się i zaczęła wypisywać pokwitowanie. - Pani nazwisko?

- Nazywam się... Breen.

- Dobrze, przykleję do kałamarza karteczkę z pani nazwiskiem. Proszę przyjść w ciągu dwóch tygodni i dopłacić resztę.

Camilla zerknęła na zegarek, a widząc, jak bardzo zrobiło się późno, otworzyła szeroko oczy.

- Przepraszam, muszę iść, bo już jestem spóźniona. Delaney się wścieknie - dodała półgłosem, ale kobieta ją usłyszała.

- Delaney? Caine?

- Tak. Mieliśmy się spotkać pięć minut temu. - Szybko zebrała torby i ruszyła do drzwi.

- Proszę pani! Chwileczkę! Nie wzięła pani kwitu!

- Ach, przepraszam. Spieszę się, bo on tak łatwo się denerwuje.

- O tak. Wiem coś o tym - W oczach kobiety ciekawość mieszała się z rozbawieniem.

- Parę razy byłam z nim na randce.

- Nie jestem pewna, czy pani gratulować, czy raczej współczuć. - Uśmiechnęła się. - Ja chwilowo u niego pracuję.

- Gdzie? W chacie? - Kobieta spojrzała na nią zdumiona. - Skoro tak, to ja współczuję pani. Proszę mu powiedzieć, że Sarah Lattimer go pozdrawia.

- Na pewno mu powiem. A teraz muszę bieć, bo jeszcze wyrzuci mnie z pracy.

Święte słowa, pokiwała głową Sarah, obserwując, jak Camilla oddała się w pośpiechu. Del nie jest uosobieniem spokoju i cierpliwości. A jednak, westchnęła, gdy miała dwadzieścia lat, niemal uwierzyła, że uda jej się go zmienić, utemperować.

Pokręciła głową nad własną naiwnością i poszła nakleić karteczkę na kałamarz. W duchu życzyła tej ładnej rudej dużo szczęścia. Przy okazji pomyślała sobie, że nieznajoma jest do kogoś bardzo podobna. Do jakiejś gwiazdy filmowej albo innej sławy. Zniecierpliwiona, wrzuciła ramionami. Wiedziała, że nie zazna spokoju, dopóki sobie nie przypomni. Ale w końcu i tak dojdzie, kogo przypominaj jej ta kobieta.

Camilla pędem wpadła na parking, gdzie oczywiście stała już ciężarówka Dela. Dlatego nie zwlekając ani chwili, wbiegła do sklepu.

- Musiałam kupić parę rzeczy - zwołała wesoło. - Jeszcze minuta i będę gotowa.

Zanim zdążył otworzyć usta, by ostro ją zbesztać, zniknęła pośród regałów. Początkowo posuwała się naprzód dość sprawnie. Jednak owoców i warzyw nie mogła wybierać w pośpiechu. Poza tym supermarket był dla niej wielką nowością, dlatego zakupy zajęły jej więcej czasu niż planowała. Dłuższą chwilę postąpiła obok stoiska z rybami, potem długo wybierała pieczywo. Wszystko tu było takie ciekawe, wszystko jej się podobało. Kolory, zapachy, wygląd. Wielkie napisy informujące o promocjach. I nawet okropna, głośna muzyka płynąca z wielkich głośników, przerywana od czasu do czasu prośbami o sprawdzenie ceny albo wytarcie podłogi.

Przy ladach chłodniczych stała tak długo, aż zmarzła. Domyślała się, że szanse wyciągnięcia Dela na lody są równe zeru, więc postanowiła kupić coś gotowego. Ponieważ wybór był ogromny, długo nie mogła się zdecydować.

Gdy wreszcie miała wszystko, czego potrzebowała, zaczęła pchać ciężki wózek w stronę kasy. Po drodze myślała o tym, że gdyby była zwykłą gospodynią domową, robiłaby takie sprawunki co tydzień. A wtedy przyjemność zmieniałaby się w jeszcze jeden obowiązek. Szkoda, pomyślała z żalem.

Pochłonięta myślami, stanęła na końcu kolejki. I tu została brutalnie sprowadzona na ziemię, gdy na okładce kolorowego czasopisma ujrzała nagle własną twarz. A tytuł głosił: „Księżniczka Camilla ma złamane serce”.

Dopiero po chwili, gdy nieco ochłonęła, zorientowała się, dlaczego pokazują ją smutną i samotną. Cierpiała po rozstaniu z francuskim aktorem. Którego w życiu nie spotkała! *Imbeciles! Menteurs!* Jakim prawem opowiadają takie kłamliwe bzdury o jej prywatnym życiu? Nie wystarczyło im, że śledzili każdy jej krok? Że dzień i noc polowali na nią z teleobiektywami?

Sięgnęła po pisemko, by z rozkoszą podrzeć je na strzępy.

- Co ty robisz tyle czasu? - warknął Del za jej plecami.

Skoczyła jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku. I natychmiast zasłoniła sobą stoisko z gazetami. Furia, którą uznała za zdrową reakcję, powoli mijała. Wciąż jednak czuła nieprzyjemny skurcz żołądka. Jeśli zostanie zdemaskowana, będzie po wszystkim. Otoczy ją tłum gapiów. Media natychmiast ją namierzą i zaczną tropić jak psy królika.

- Pytam, co robisz tak długo w tym cholernym sklepie?

- Czekam w kolejce do kasy.

- A to? Co to jest?

- Jedzenie.

- Dla jakiej armii?

Speszona zerknęła na wyładowany po brzegi wózek.

- Może faktycznie trochę przesadziłam. Zaraz coś odłożę, a ty wyjdź na zewnątrz i...

- Nie gadaj głupot, tylko przesuвай się do przodu - burknął i zrobił krok w stronę kasy.

Pewna, że za chwilę zobaczy gazetę, zapała się i nie chciała ruszyć z miejsca.

- Przestań mnie popychać! - zawołała oburzona.

- To nie ciebie popycham, tylko ten przeklęty wózek. Kiedy bez cienia zainteresowania minął stoisko z prasą, poczuła tak wielką ulgę, że aż zmiękły jej kolana.

- Cześć, Del, nie spodziewałam się, że tak szybko do nas wrócisz - uśmiechnęła się do niego kasjerka, kiedy zaczął wyrzucać na taśmę zakupy.

- Ja też się nie spodziewałem.

Joyce, jak wynikało z identyfikatora, spojrzała przyjaźnie na Camillę.

- Nie bój się, złotko - mrugnęła porozumiewawczo.

- On tylko ujada, ale nie gryzie.

- Na razie - westchnęła. Del stał teraz w miejscu, z którego nie mógł zobaczyć jej zdjęcia, poczuła się więc spokojniejsza. Jednak na wszelki wypadek włożyła ciemne okulary.

- Poza tym ja się go wcale nie boję.

- I bardzo dobrze - śmiała się Joyce. - Zawsze mówiłam, że trzeba mu kobiety, która nie da się sterroryzować. Cieszę się, Del, że wreszcie taką znalazłeś.

- Daj spokój, Joyce. To moja pracownica.

- Aha... - Kobieta znowu puściła oko do Camilli. - A co słyhać u twojej mamy?

- Wszystko w porządku.

- Pozdrów ją ode mnie. I powiedz, że cały czas mam jej synka na oku - śmiała się, stukając w klawisze kasy.

Kiedy podała końcową sumę, Camilla aż zagryzał wargi.

- Mam za mało pieniędzy - mruknęła do Dela.

- Cholernie drogie te cytryny - skrzywił się, ale dorzucił kilka banknotów.

Pomogła mu zapakować torby do samochodu, a potem wsiadła do szoferki i zamyślona patrzyła przed siebie. Doszła do wniosku, że zbyt gwałtownie zareagowała na swoje zdjęcie na okładce. Z drugiej strony fala gniewu opadła z niej dość szybko. Parę tygodni temu na pewno przeżywałyby całe zdarzenie dużo dłużej. Wygląda więc na to, że nabrała sił i zaczęła odzyskiwać wewnętrzną równowagę. Czyżby miało się okazać, że uciekając od swoich obowiązków, postąpiła właściwie?

Na razie jednak musi odłożyć te rozważania na później. I uporać się z terażniejszością.

- Przepraszam, że trwało to tak długo - rzekła pojednawczo. - Ale to chyba naturalne, że chciałam obejrzeć miasteczko.

- Twój samochód będzie gotowy jutro. Najdalej pojutrze, bo Carl skarży się na nadmiar pracy. Więc jak następnym razem będziesz chciała zabawić się w turystkę, zrób to we własnym zakresie i kosztem własnego czasu.

- Na pewno tak zrobię. Pozdrawia cię Sarah Lattimer z antykwariatu. Zupełnie nie rozumiem, jakim cudem taka miła i kulturalna dziewczyna chciała chodzić z tobą na randki.

- Była wtedy młoda i głupia.

- Ma szczęście, że z wiekiem zmądrzała.

- Też tak sędzę. Z czego się cieszysz?

- Ciężko cię obrazić, kiedy się ze mną zgadzasz - przyznała. Nagle przyszło jej na myśl, że nie ma sensu dąsać się z powodu zdjęcia w tandetnym piśmie. Szkoda na to czasu.

Del jest dużo ciekawszym obiektem do rozmyślań. - Lubię cię, wiesz?

- A więc jesteś młoda i głupia, tak? Uśmiechnęła się, a potem ku zaskoczeniu ich obojga, pochyliła się i pocałowała go w policzek.

- Chyba tak.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nigdy w życiu nie czułam się lepiej. Nie chciałam zatrzymywać się na dłużej w jednym miejscu, ani nie zamierzałam szukać żadnego konkretnego zajęcia. Tymczasem miejsce okazało się przepiękne, a zajęcie bardzo ciekawe.

Archeologia to szalenie interesująca dziedzina. Dużo ciekawsza i bardziej wielowarstwowa niż historia, którą przecież zawsze lubiłam, czy socjologia, którą przez pewien czas studiowałam. Nigdy dotąd żadna gałąź wiedzy nie wydała mi się bardziej fascynująca.

Kto, gdzie i dlaczego? Jak żyli ludzie. Jak zawierali małżeństwo, jak wychowywali dzieci. Jaki był ich stosunek do starszych. Co jedli i w jaki sposób przyrządzali jedzenie. Jakie mieli obrzędy i rytuały. Do tego mnóstwo innych pytań. I tak przez całe stulecia, społeczność po społeczności, szczep po szczepie. Do dziś.

Del posiada olbrzymią wiedzę, którą, w sposób typowy dla każdego naukowca, traktuje jak coś naturalnego. Oczywiście nie jest dla niego naturalne posiadanie wiedzy, lecz fakt, że chce się jej szukać. On po prostu chce wiedzieć.

Podziwiam go za tę pasję. Zazdroszczę mu jej. I odbieram ją jako coś pociągającego.

Fascynuje mnie umysł Dela. Praca z nim - a raczej dla niego - jest bardzo męcząca, czasami wręcz wyczerpująca. Tymczasem on jest zadziwiająco wytrzymały, zwłaszcza jak na człowieka, który jeszcze nie wyleczył poważnych kontuzji. Imponuje mi tym, że potrafi na wiele godzin całkiem zatracić się w pracy.

Sama również z chęcią wykonuję nowe obowiązki. Oglądam fragmenty kości, liczących tysiące lat. Oczywiście są szczelnie zapakowane w folię, ale często zastanawiam się nad tym, jakie to uczucie naprawdę ich dotknąć. Gdyby dwa tygodnie temu ktoś powiedział mi, że będę miała ochotę brać do ręki ludzkie kości, uznałabym go za kompletnego wariata.

Marzę o tym, żeby pojechać na wykopaliska i z bliska zobaczyć, jak wygląda praca archeologa. Wprawdzie Del opowiada o tym bardzo plastycznie, ale usłyszeć nawet najlepszą relacją to nie to samo, co zobaczyć wszystko na własne oczy.

Po powrocie do domu zamierzam zapisać się na studia i wziąć udział w wyprawie dla amatorów i studentów, którą Del lekceważąco określa mianem „wycieczki krajoznawczej”.

Mam przeczucie, że z mojego dorywczego zajęcia może wyniknąć prawdziwe życiowe powołanie.

Jeśli chodzi o nasze stosunki, to jestem pewną, że Del tylko udaje, że tak bardzo mu przeszkadzam. Z kolei dla mnie to bardzo dziwne, a jednocześnie pouczające doświadczenie, być traktowaną bez żadnych specjalnych względów. Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, że pochwalam brak wychowania i manier. Po prostu, w miarę jak poznają Dela, potrafię pod jego szorstką powierzchownością dostrzec zupełnie inne wnętrze.

Jest geniuszem. A jak wiadomo, jednostki wybitne rzadko mogą poszczycić się wysoką kulturą osobistą.

Nie ukrywam, że Del bardzo mi się podoba jako mężczyzna. Nigdy dotąd nikt tak jak on nie pociągał mnie fizycznie. To naprawdę fascynujące doznanie, i jednocześnie ogromna frustracja. Rodzice wpoili mi przekonanie, że seks to nie zabawa, lecz radość, a zarazem odpowiedzialność, którą można dzielić wyłącznie z osobą, która dla nas wiele znaczy. Z kimś, kogo szanujemy i kto żywi wobec nas podobne uczucia. Moja pozycja społeczna dodatkowo komplikuje i tak niełatwą sprawą. Ktoś taki jak ja nie może, ot tak, po prostu, wziąć sobie kochanka. Ryzyko jest zbyt duże.

A ja chcę, żeby Del nim został. Chcę, żeby przepłynął przeze mnie ogień, który w nim płonie. Chcę przekonać się, czy jest identyczny jak ten, który spala mnie od środka.

Okladka brukowca w supermarkecie przypomniała mi to, o czym powoli zaczynałam zapominać: jak to jest być bezustannie śledzoną. I postrzeganą wyłącznie jako wizerunek z pierwszej strony kolorowych pism. Na dodatek ciągle posądzaną o najbardziej niedorzeczne sprawy. Od razu wróciła mi pamięć o tym, jak bardzo jest to męczące, krępujące i żenujące. Kiedy z perspektywy minionych tygodni patrzę na to, co stało się owej pamiętnej nocy w Waszyngtonie, nabieram pewności, że naprawdę byłam wtedy bliska załamania.

Dopiero teraz rozumiem, że w pewnym stopniu sama jestem sobie winna. I wiem, że źle się stało, iż po śmierci dziadka nie zrobiłam przerwy w pełnieniu oficjalnych funkcji. Nie dałam sobie czasu, by odreagować i uporać się z własnym bólem.

Robię to teraz, i mogę tylko powiedzieć, że lepiej późno niż wcale.

Czas spędzony w chacie Dela powoli dobiega końca. Najważniejsze, że go nie zmarnowałam. Czują się... cóż, odrodzona to chyba jednak przesada. A więc pokrzepiona. I dużo bardziej energiczna niż w ostatnich miesiącach.

Zanim stąd odejdą, chcę dowiedzieć się jak najwięcej o archeologii. Tak, by potem móc samodzielnie zdobywać dalszą wiedzę. Przy okazji dowiem się wszystkiego o Camilli MacGee - której nie należy mylić z Camilla de Cordina.

I może jeszcze uwiodę humorzastego doktora Caine'a.

Chata pachniała jak leśna łąka w środku lata, co było tak miłą odmianą po poprzednim zapachu z dominującą nutą brudu, że naprawdę nie miał prawa narzekać.

Zwłaszcza że od pewnego czasu nie brakowało mu czystych skarpetek i nie musiał dojadać resztek jedzenia z puszki. Poza tym po kilku awanturach znajdował swoje materiały zawsze tam, gdzie je zostawił. Jednak najważniejsze było to, że ponad jedna trzecia notatek została już przepisana, a artykuły do fachowych pism oraz na stronę internetową były także na ukończeniu. I wyszły naprawdę dobrze.

Do tego kawa była zawsze świeża, ręczniki też. Camilla, o czym myślał z podziwem, również. Kiedy myślał o jej świeżości, nie chodziło mu o wygląd ani o cięte uwagi, które ciągle robiła pod jego adresem, ale o jej umysł. Nie spodziewał się, że czyjeś świeże spojrzenie na rezultaty badań pozwoli mu spojrzeć na nie pod zupełnie nowym kątem.

Lubił słuchać, jak Camilla śpiewa, przygotowując śniadanie. I lubił na nią patrzeć, gdy zaróżowiona wracała z przechadzki po lesie.

Nie oponował, kiedy postawiła na stole świece i porozstawiała po kątach miseczki z jakimś pachnącymi śmieciami. Nie przeszkadzały mu luksusowe mydła w łazience ani tubki wonnych mazideł, które odkrył w swojej apteczce. Powąchał je tylko raz, wyłącznie z czystej ciekawości.

Lubił nawet wspólnie spędzane wieczory, gdy zwinięta na kanapie, z kieliszkiem wina w ręce, męczyła go tak długo, aż kapitulował i zaczynał opowiadać o swojej pracy.

Jakiś czas temu zrobili sobie przerwę, więc korzystając z tego, że jest sam, poszedł do kuchni, by przy pomocy kilogramowej puszki fasoli ćwiczyć kontuzjowane ramię. Wolno podnosił je i opuszczał, ciesząc się, że powoli odzyskuje sprawność. Czuł, że dzień, w którym będzie mógł spalić znieprawiony temblak, jest już naprawdę bliski. Lekarze ostrzegali go, że zebra będą bolały jeszcze długo, podobnie obojczyk. Jakoś to przetrwa. Najważniejsze, że nie czuł się już tak beznadziejnie bezradny.

Pomyślał, że musi poprosić Camillę, by zrobiła mu masaż szyi i barku. Miała drobne, ale bardzo sprawne dłonie, które uparcie trzymała cały czas przy sobie. Widocznie zanadto przejęła się nakazem, by się do niego nie zbliżać. Naprawdę nie sądził, że weźmie to tak dosłownie.

Nagle przerwał ćwiczenia i trochę zbyt gwałtownie odstawił puszkę. Jezu, chyba zaczyna przyzwyczajając się do obecności tej kobiety. Do tego, że ona jest tuż obok. Mało tego, chciał, by tak było. A to oznacza tylko jedno: początek jego nieuchronnego końca.

Wystarczy, że mężczyzna zapragnie mieć obok siebie kobietę, i już jest stracony. Za chwilę ona także zechce mieć go na własność. I w tym momencie kończy się jego wolność.

Koniec z przyjeżdżaniem i odjeżdżaniem wtedy, gdy ci się podoba. Koniec z wyjazdami na ciągnące się miesiącami wykopaliska. Koniec z bez troską i niemyśleniem o tym, co się dzieje w domu.

Klnąc pod nosem, jeszcze raz rozejrzał się po kuchni. Kwiaty na stole, świeże owoce, wyszorowane blaty i ciastka w słoiku. Ta kobieta podstępnie zmieniła tę chatę w dom. Do tej pory miał tu zwykłą metę, do której wracał, gdy chciał, i którą opuszczał bez żalu. Tymczasem z domem sprawa wygląda inaczej. Dom ma to do siebie, że jeśli człowiek go opuszcza, to zaraz zaczyna tęsknić.

Tak samo jest z kobietami. Kiedy odchodziło się od jakiejś, wystarczyło pocałować ją w policzek i machnąć ręką na do widzenia. Podejrzewał, że gdyby miał opuścić tę jedyną, serce pękłoby mu z żalu. Zadręczał się tymi myślami dopóki nie zobaczył Camilli wracającej z lasu. Uśmiechniętej, ożywionej, z kolejnym bukietem w ręce. Do diabła, jak to się stało, pomyślał spanikowany. Jak mógł dopuścić do tego, że już prawie jest dla niego tą jedyną?

Przecież znają się tak krótko. Zaraz, a dokładnie ile? Zdenerwowany przeczesał palcami włosy. Musiał całkiem stracić poczucie czasu. Którego to dzisiaj mamy? Jak długo ona już tu mieszka? I, na Boga, co on ze sobą pocznie, kiedy ona odejdzie?

Weszła do kuchni, rozpromieniona i wesoła. Przynajmniej może coś zaradzić na ten jej błogostan.

- Spóźniłaś się - zaatakował.

Spokojnie spojrzała na zegarek.

- Nieprawda. Wróciłam dwie minuty przed czasem. Udał mi się spacer, wiesz? Karmiłam kaczki nad jeziorem - opowiadała, wkładając kwiaty do butelki. - Ale zaczęło się chmurzyć. Chyba będzie deszcz.

- Chcę dokończyć rozdział o tkance mózgowej. I nie mogę, bo ty karmisz jakieś głupie kaczki.

- Zaraz weźmiemy się do pracy. Jeszcze tylko naleję nam lemoniady.

- Nie próbuj mnie udobruchać, siostrze.

- Nie próbuję. To przerasta moje możliwości. Del, co się stało? Dokucza ci ból? - zapytała z troską. Odwróciła się, by mu się przyjrzeć i omal nie wypuściła dzbanka z dłoni. - Del? Zdjąłeś temblak - zawołała przejęta, po czym podeszła i delikatnie przesunęła dłonią po jego ramieniu.

Nie próbował jej powstrzymać, gdyż, Bóg mu świadkiem, niczego nie pragnął bardziej niż jej dotyku.

- Śmieszne, ale myślałam, że twoje ramię będzie chude i blade - przyznała, gładząc twarde mięśnie. - A ono jest tylko trochę mniej opalone. Pewnie dziwnie się teraz czujesz, prawda? Trochę tak, jakby ci zdrętwiała ręka.

- Nie jest źle - uspokoił ją. - Muszę je trochę rozruszać. Ej! - krzyknął, gdy niespodziewanie nacisnęła mocniej, powodując tak silny ból, że poczuł łzy w oczach. - Uważaj, co robisz, markizo de Sade!

- Przepraszam, nie chciałam - tłumaczyła się przestraszona. - Skoro ramię boli, to znaczy, że się jeszcze nie zagoiło - mówiła półgłosem, masując je ostrożnie. - Masz okropnie zeszywniałe mięśnie.

- Też byś takie miała po dwóch tygodniach noszenia temblaka - burknął.

- Wiem, wiem. Przydałby się jakiś rozgrzewający balsam. Pamiętam, że mama nacierała czymś takim ojca, kiedy przesadził z wysiłkiem fizycznym. Tak samo leczylimy przetrenowane konie. Zdaje się, że na górze widziałam coś takiego. Po kolacji nasmaruję ci tym ramię, a potem będziesz smacznie spał.

Jakoś nie chciało mu się w to wierzyć. Wątpił, że po masażu Camilli będzie mógł spokojnie zasnąć. Ale postanowił zaryzykować.

- Wyniki testów laboratoryjnych jednoznacznie wskazują, że substancja pobrana z dobrze zachowanej czaszki jest fragmentem ludzkiej kory mózgowej. Podczas trzech sześciomiesięcznych etapów prac wykopaliskowych fragmenty tkanki mózgowej wykryto w dziewięćdziesięciu pięciu czaszkach. W dwudziestu ośmiu z nich odnaleziono całkowicie zachowany mózg, aczkolwiek zmniejszony do jednej trzeciej swych naturalnych rozmiarów. To ze wszech miar unikalne odkrycie ma ogromne znaczenie naukowe. Daje bowiem niepowtarzalną okazję do badań nad rozwojem ludzkiego mózgu w oparciu o materiał Uczący około siedmiu tysięcy lat. Ponadto zachowane w doskonałym stanie półkule i zwoje mózgowe, jako najstarsze znane fragmenty ludzkiego DNA, mogą zostać użyte do klonowania.

- Do klonowania. - Palce Camilli zawisły nad klawiaturą. - Chcesz sklonować członka prehistorycznego szczepu?

- Czy możemy odłożyć na później dyskusję o klonowaniu? Powiem ci tylko, że nie zamierzam nikogo klonować. Wyniki naszych badań mogą być przydatne przy badaniach nad chorobami, średnią długością życia, potencjatem fizycznym oraz intelektualnym człowieka. Po skończeniu tego rozdziału możemy powrócić do twoich spekulacji z Archiwum X.

- Dopiero co sklonowali owcę - zauważyła z przekąsem.

Spojrzał na nią ciepło ponad oprawką okularów.

- To nie moja dziedzina. Nie zajmuję się DNA. Ja tylko pokazuję ewentualne korzyści płynące z naszych odkryć. Znaleźliśmy ludzki mózg sprzed siedmiu tysięcy lat. Ich posiadacze wykorzystywali go tak, jak my wykorzystujemy swój dzisiaj. Ci ludzie myśleli, reagowali, tworzyli system komunikacji werbalnej, rozwijali zdolności motoryczne. Budowali osady, polowali, przyrządzali jedzenie. Wchodzili w związki, wychowywali potomstwo, szukali dla siebie partnera, walczyli o przetrwanie.

- Dobrze, a co z sercem?

- Jak to?

- Po prostu. Czy serce nie podpowiadało im, jak traktować własne dzieci? A przede wszystkim, co zrobić, żeby te dzieci w ogóle mieć?

- Jedno bez drugiego nie jest możliwe, tak? - Zdjął okulary i odłożył na stół. - Akurat członkowie tego plemienia troszczyli się o swoje potomstwo i budowali trwałe związki. Jednak prawda jest taka, że zachowanie gatunku to jeden z podstawowych instynktów. Trzeba mieć młode, bo ktoś musi zastąpić tych, którzy odchodzą. Bez tego byt szczepu byłby zagrożony. Człowiek rozmnaża się z tego samego powodu, z jakiego szuka pożywienia. Robi to, bo musi.

- A gdzie jest miejsce na miłość?

- Miłość to jeszcze jeden z wynalazków ludzkości.

Jest narzędziem, podobnie jak... - sięgnął po sfatygowany młotek - jak to - dokończył.

- Miłość wynika z głębokiej potrzeby ludzkiego ducha, podobnie jak przyjaźń, jak muzyka - sprzeciwiła się.

- To, o czym mówisz, to już towary luksusowe. Żeby przetrwać, człowiek potrzebuje pożywienia, wody i schronienia. Żeby zachować ciągłość gatunku, musi się rozmnażać. Ale ponieważ jest jaki jest, wynalazł narzędzia i sposoby na to, by zaspokajanie podstawowych potrzeb stało się łatwiejsze. I często przyjemniejsze. Następnie odkrył, że można z tego czerpać korzyści. Wtedy nauczył się współzawodniczyć, kraść. A nawet zabijać.

Lubiła go takim. Lubiła słuchać, gdy mówił do niej jak profesor do uzdolnionego studenta. Albo swojego asystenta.

- Nie świadczy to najlepiej o człowieku - zauważyła.

- Wręcz przeciwnie. - Dotknął kości szczękowej jednej z czaszek. - To, o czym mówię, jest najlepszym dowodem na to, jak złożonym, genialnym i wciąż doskonalącym się wynalazkiem jest istota ludzka. Tylko ona potrafi budować i niszczyć z takim samym talentem i zaangażowaniem. W dodatku bezustannie ewoluuje, staje się inna.

- A ty sam, jaki się stałeś?

- Głodny. Kiedy będziemy jedli?

Miała ochotę jeszcze z nim podyskutować, ale uznała, że krótka przerwa dobrze jej zrobi. Przygotowując kolację, będzie mogła wszystko spokojnie przemyśleć.

Wrzuciła makaron na wrzątek, zrobiła - sałatę. Zmieszała przyprawy z oliwą do maczania chleba.

Nalała wina. Zapaliła świece.

Rozejrzała się po przytulnej kuchni, posłuchała deszczu bębniącego o dach, i naraz przyszło jej do głowy, że tego wieczoru zrobiła użytek z pewnego narzędzia. Podświadomie wykreowała bardzo romantyczną scenerię, choć jej intencją była wyłącznie wygoda i estetyczny wygląd stołu. Widocznie zadziałał instynkt. Być może był to naturalny odruch w sytuacji, gdy ktoś bardzo pociągał ją fizycznie.

Spodobała jej się ta nowo odkryta cecha. Według niej prawdziwy związek wymaga ciepła i szczodrości. A także tego, by liczyć się z oczekiwaniami i pragnieniami drugiej strony.

I na pewno nie można go porównać z żadnym cholernym młotkiem, orzekła, odlewając makaron.

- Młotek - oznajmiła Delowi, ledwie ten przestąpił próg kuchni - kojarzy się z przemocą.

- Co takiego?

- Młotek - powtórzyła. - Związek nie ma nic wspólnego z młotkiem.

- W porządku. - Wzruszył ramionami i sięgnął po kromkę chleba, ale dostał po łapach.

- Najpierw usiądź do stołu - nakazała stanowczo. - Daj dowód, że w procesie ewolucji stałeś się istotą rozumną i cywilizowaną. I nie mów „w porządku” tylko po to, żeby mnie zbyć i jak najszybciej napchać sobie brzuch.

- Zrobiłaś się strasznie ostra - sarknął.

- Chcę tylko powiedzieć, że ten twój szczep okazywał naturalne ludzkie emocje. Współczucie, miłość - nienawiść też, skoro na szkieletach odkryliście obrażenia świadczące o użyciu przemocy. To właśnie zdolność odczuwania różni nas od zwierząt, czyż nie? - perorowała. - Gdybyśmy kierowali się wyłącznie instynktem, nie bylibyśmy zdolni tworzyć sztuki, muzyki. Nauka też by pewnie nie istniała. I nie potrafilibyśmy świadomie zbudować osady nad rozlewiskiem ani stworzyć wspólnych rytuałów, ani dawać takich dowodów miłości, jak włożenie dziecka do grobu jego ulubionych zabawek.

- Dobrze już, dobrze - westchnął pojednawczo. Naprawdę nie chciał, by kolacja, zamiast na talerzu, wylądowała na jego głowie. - To bardzo interesujące spostrzeżenia. Można by o tym napisać niezłą pracę.

- Naprawdę? - spytała z niedowierzaniem.

- Czemu nie. Archeologia to nie tylko suche fakty. Zostaje jeszcze miejsce na spekulacje i teoretyzowanie. Na domysły. Jeśli pójdziesz bardziej w stronę antropologii, będziesz miała do czynienia z różnymi kulturami, z kulturami zaś wiążą się określone zwyczaje. Te zaś wyrosły z potrzeb, przesądów i, powiedzmy ogólnie, pierwiastka emocjonalnego.

- Weźmy na przykład nasz szczep - wtrąciła podniecona. - Skąd wiesz, że mężczyźni nie zabiegali o względy kobiet, przynosząc im bukiety leśnych kwiatów albo garść jagód?

- Nie wiem. Podobnie jak nie mam żadnej pewności, że tak rzeczywiście było. Nie mogę ani tego wykluczyć, ani potwierdzić, bo nie posiadam żadnych dowodów.

- A nie uważasz, że w przypadku zalotów też istniał jakiś rytuał? Przecież to naturalne. Nawet zwierzęta mają swój taniec godowy, *oui*? Więc sądzę, że twój szczep także wypracował jakiś model uwodzenia.

- Oczywiście - potaknął, maczając chleb w oliwie. Potem spojrzął na nią i uśmiechnął się ironicznie. - Nader często ów rytuał polegał na tym, że najpierw należało znaleźć spory kamień, a potem zdzielić nim konkurenta przez łeb. Przegrany zbiera cięgi, wygrany zabiera dziewczynę.

- Ale tylko dlatego, że ona nie miała nic do powiedzenia. Lub, co równie prawdopodobne, rozumiała, że mężczyzna, który ma dość siły i temperamentu, by pokonać rywala, będzie umiał ochronić ją i potomstwo.

- Właśnie - oznajmił triumfalnie, zadowolony z logiki jej wyводу. - Popęd fizyczny zapewnia prokreację. Prokreacja zapewnia przetrwanie.

- W pewien prymitywny sposób to nawet romantyczne - uznała. - Moim zdaniem nie masz dotąd wystarczających dowodów, aby jednoznacznie stwierdzić, że bicie rywala należało do godowych rytuałów tego szczepu.

- Nieźle. - Pokiwał głową, pełen uznania dla łatwości, z jaką obróciła przeciw niemu jego własny argument. - Masz rację.

- Del, powiedz mi, tylko szczerze, czy jest szansa, żebym mogła zobaczyć te wykopaliska?

- Po co?

- Chciałabym zobaczyć to wszystko na własne oczy.

- No to masz na to sześć miesięcy.

- Jak mam to rozumieć?

- Jeśli w ciągu tych sześciu miesięcy materiały, które opracowuję, nie zainteresują nikogo na tyle wpływowego, że mógłby zorganizować sporą gotówkę, badania zostaną zakończone.

- Zakończone? Chcesz powiedzieć, że przestaniecie prowadzić prace wykopaliskowe?

- Nie tak od razu. Tyle że państwo nie będzie mogło wyłożyć więcej funduszy na ten cel. Biurokraci - westchnął. - Od pierwszych odkryć minęło już tyle czasu, że media przestały się nami interesować. A to oznacza brak kamer, do których mogliby uśmiechać się politycy przyznający dotacje. Uniwersytet już dawno wyczerpał wszystkie dostępne środki. A ponieważ pieniędzy od prywatnych sponsorów starczy jeszcze na pół roku, po tym czasie będziemy musieli zwinąć żagle.

Pomysł zamykania wykopalisk wydał jej się tak bulwersujący, że nie potrafiła ukryć oburzenia.

- Ale przecież nie możecie zawiesić prac, dopóki nie zbadacie wszystkiego!

- Pieniądze, siostrzo, pieniądze. To one rządzą światem - rzucił ponuro. Sam utopił ich niemało w czarnym torfie. Dokładnie rzecz biorąc, utopił dokładnie tyle, ile mógł.

- O pieniądze się nie martw - rzekła lekko. - Dostaniesz je. Każdy, kto przeczyta twoje artykuły, chętnie wspomocze dalsze badania. Jestem tego pewna. Sama mogłabym...

Urwała w pół słowa. To nie jest odpowiednia chwila, by opowiadać mu o tym, że była etatową organizatorką zbiórek na szczytne cele, gdyż ludzie z największą ochotą wspierali akcje, w które się włączała. Zainteresowanie ze strony mediów? Z tym też nigdy nie było problemu.

Poza tym miała coś znacznie cenniejszego niż uwaga dziennikarzy. Kontakty. Natychmiast pomyślała o swojej matce chrzestnej, żonie senatora z Teksasu, która wspierała finansowo różne przedsięwzięcia artystyczne i naukowe.

- Gdybyś przypadkiem miała na zbyciu milion dolarów, daj mi znać, a ja już będę wiedział, co z nim zrobić - zadrwił.

Sięgnął po butelkę wina, ale widocznie zrobił to zbyt gwałtownie, bo aż skrzywił się z bólu. A potem zaklął.

- Uważaj, żebyś się nie przeforsował - odcięła się. - Niestety, nie mam wolnego miliona, ale mam coś lepszego. - Uśmiechnęła się zagadkowo i stuknęła kieliszkiem w jego kieliszek. - Pomysły. Jestem w tym naprawdę dobra. Na pewno coś wymyślę.

- Byle szybko.

Zignorowała tę uwagę, a on zaraz o tym zapomniał.

Ledwie skończyli posiłek, natychmiast się ulotnił. Camilla doszła do wniosku, że miał wybitny talent do znikania akurat wtedy, kiedy trzeba było zmyć naczynia. Sama również nie przepadała za tym zajęciem, które nawet w połowie nie było tak przyjemne, jak robienie bałaganu. Często powtarzała, że gotowanie jest sztuką, zaś zmywanie bezsensowną czynnością, którą najchętniej zostawiała komuś innemu.

Niestety, w chacie tym kimś była ona.

Doskonale wiedziała, że Del nie wróci, póki nie ucichnie szcęk talerzy, postanowiła więc skorzystać z okazji i zadzwonić do domu. Z jednym uchem przy słuchawce, a drugim nasłuchując odgłosów dobiegających z sieni, czekała na połączenie z Wirginią.

Odebrał jej młodszy brat, Dorian. W normalnej sytuacji z chęcią by z nim porozmawiała, wypytała o rodzinę i znajomych, jednak teraz nie miała na to czasu.

- Muszę pilnie pomówić z mamą - oznajmiła.

- Nie dość, że włączysz się po świecie jak jakaś Cyganka, to jeszcze nie chce ci się zamienić z bratem dwóch słów.

- Obiecuję, że po powrocie zanudzę cię na śmierć gadaniem. Tęsknię za tobą, wiesz? - roześmiała się cicho. - Nie sądziłam, że kiedykolwiek to powiem, a tu proszę. Tęsknię za wami wszystkimi.

- Co nie przeszkadza ci dobrze się bawić. Słyszę to po twoim głosie.

- To prawda, bawię się doskonale.

- Czyli przebolełaś już rozstanie z francuskim gwiazdorem?

Syknęła do słuchawki, co Dorian skwitował salwą śmiechu. Natrząsanie się ze starszej siostry uważał za swój książęcy obowiązek.

- Cofam to, co powiedziałam o tęsknocie - mknęła. - A teraz poproś mamę.

- Za chwilę. Najpierw muszę cię oświecić, że mama staje na głowie, byle tylko powstrzymać ojca od wysłania za tobą ekspedycji ratunkowej. Jak wrócisz, będziesz musiała nieźle koło niego tańczyć, - bo on ci łatwo nie zapomni tej eskapady.

- Wiem. I jest mi bardzo przykro, ale nie jestem już małym dzieckiem.

- To samo mówi mu mama. A on wtedy krzyczy, że małym czy dużym, jego dzieckiem będziesz do końca życia. Miej to na uwadze. A teraz zaczekaj, poszukam mamy.

Dorian lubił jej dokuczać, ale wiedziała, że ma złote serce. I na pewno zrobi wszystko, by dyskretnie poprosić matkę do telefonu. Ciekawe, gdzie ona teraz jest? Przed oczami stanął jej rozległy dom na farmie w Wirginii. Może siedzi w swojej bawialni? Nie, raczej w ogrodzie, gdzie tak bardzo lubi spędzać wieczory. Czy u nich też pada?

A może mama przyjmuje gości? Nie, Dorian powiedziałby jej o tym. Przedłużająca się cisza w słuchawce zaczęła ją niepokoić. Wtedy usłyszała spokojny głos matki:

- Camillo, tak się cieszę, że dzwonisz. Właśnie o tobie rozmawialiśmy.

- Czy tata jest bardzo zły?

- Powoli oswaja się z sytuacją.

- Mamo, tak mi przykro, ale ja naprawdę musiałam...

- Nie musisz się tłumaczyć. Sama doskonale pamiętam, jak to jest. Niepokoiły się o ciebie, bo chcemy, żebyś była bezpieczna i szczęśliwa.

- Jestem, naprawdę. Pamiętasz, jak mówiłam ci o chacie i Delaneyu? Jego badania są takie ważne i ciekawe - mówiła, machinalnie przechodząc na francuski, który wydawał jej się bardziej odpowiedni do wyrażania jej nowej fascynacji.

- Mówisz jak naukowiec - roześmiała się Gabriella.

- Naukowiec? Mamo, ja czuję się jak studentka. Jak ktoś, kto nie jest w stanie chłonąć wiedzy wystarczająco szybko. Chciałabym powiedzieć ci jeszcze o tym, co usłyszałam od Dela i co mnie bardzo zaniepokoiło - zaczęła, po czym zwięźle zrelacjonowała trudną sytuację, w jakiej znaleźli się badacze.

- To rzeczywiście niewesoła sprawa - przytaknęła Gabriella. - Wyobrażam sobie, że perspektywa przymusowego zakończenia wykopalisk bardzo martwi twojego przyjaciela.

- Chciałabym mu pomóc. Pomyślałam, że poproszę cię, żebyś uruchomiła swoje kontakty. Czy mogłabyś na przykład porozmawiać z ciotką Christine? Wiesz, teraz, kiedy wreszcie znalazłam coś, co mnie naprawdę interesuje, co jest dla mnie osobiście ważne, jestem gotowa zrobić wszystko, byle tylko otworzyły się odpowiednie portfele.

- Obiecuję, że przeprowadzę prywatne śledztwo - odrzekła Gabriella. - Mówisz, że te wykopaliska są na Florydzie? Program badawczy Bardville, doktor Delaney Caine, tak? Za kilka dni powinnam coś wiedzieć.

- Dziękuję ci bardzo, mamo. Będziesz dyskretna, prawda? Wolę, żeby Del się nie dowiedział, iż Jej Wysokość Gabriella de Cordina zainteresowała się jego pracą. Świetnie się czuję jako zwykła Camilla, dlatego nie chcę za szybko zdradzać się z tym, kim naprawdę jestem. Jeszcze nie teraz.

- Nie martw się, będę działać ostrożnie. Za parę dni wyjeżdżamy do Cordiny. Miałam nadzieję, że do nas dołączysz.

- Jeszcze kilka tygodni. Proszę. Kiedy będą gotowa. .. wyjechać stąd, skontaktuję się z tobą.

- Jak sobie życzysz. Dbaj o naszą córeczkę. Bardzo ją kochamy.

- Ona też was kocha. Wkrótce się zobaczymy. Ach, mam, tyle mam ci do powiedzenia.

Odwiesiła słuchawkę i ze śpiewem na ustach przystąpiła do porządkowania kuchni. Czuła, że ma prawo być z siebie zadowolona. W krótkim czasie zdołała osiągnąć to, co było celem jej wyprawy. Przez te wszystkie trudne miesiące nie zdarzyło jej się ani razu poczuć takiej satysfakcji z własnych dokonań. A przecież wykonywała najzwyklejsze codzienne czynności. Tyle że robiła to pierwszy raz od czasów dzieciństwa.

Kiedy była mała, rodzice bardzo dbali, by ona i jej rodzeństwo wiedli normalne życie. Niestety, w miarę jak dorastała, przybywało jej obowiązków związanych z noszeniem tytułu. Na dodatek zainteresowanie mediów skupiło się właśnie na niej. Gazety nazwały ją „najpiękniejszym klejnotem korony” i uczyniły ulubioną bohaterką zdjęć i artykułów. Od tamtej pory materia, z której utkana jest rzeczywistość, zaczęła przecierać się na szwach, aż wreszcie porwała się na strzępy.

Początkowo całe to zamieszanie wydawało jej się pochlebne, ekscytujące, a nawet zabawne. Po jakimś czasie zaczęło jej trochę przeszkadzać, ale nie stanowiło poważnego problemu. Jednak po dziesięciu latach miała już serdecznie dość.

Dni spędzone w chacie Dela pomogły jej na nowo złapać oddech. Czuła, że wróci do dawnego życia dużo silniejsza i bardziej odporna.

Najważniejsze, że odkryła pasję, którą zamierzała w sobie podsycić. Dzięki nowym zainteresowaniom uda jej się zachować wewnętrzną równowagę. Odtąd będzie mogła żyć tak, jak jej matka i ciotki, które prócz swych książęcych obowiązków miały własny, bogaty świat, a w nim miejsce dla całego mnóstwa prywatnych zainteresowań. Ona też może tak żyć.

A nawet musi.

Pewnego dnia pojedzie na wykopaliska jako członek ekspedycji odkrywców. Będzie razem z nimi poszukiwała wiedzy i świętowała jej zdobycie. I niech jedzie za nią cała chmara dziennikarzy, a ich zainteresowanie niech trwa jak najdłużej, byle tylko służyło dobrej sprawie.

To nie do pomyślenia, by ten program został przedwcześnie zakończony ze względu na brak funduszy. Bo teraz te badania są już ich wspólną sprawą, pomyślała z westchnieniem. Jej i Dela. Dzielili go, tak jak dzielili chatę, wkładając weń swoją pracę, talent i umiejętności. To są ich cegielki, dzięki którym rosła całość.

Wszystko to jest takie... wspaniałe!

A może, pomyślała rozmarzona, jej nowe zamiłowanie zapoczątkuje modę na archeologię? I setki młodych, wykształconych kobiet z takim samym zapałem jak ona zaczną badać dawne cywilizacje, kultury i zwyczaje?

Rozśmieszyły ją te pomysły. Nigdy nie była zwolenniczką metody małych kroków. Zawsze pragnęła więcej.

Nalała świeżą kawę do kubków i poszła do izby, gdzie, jak się domyślała, jest już Del. Rzeczywiście siedział na swojej koszmarnej kanapie, zajęty przeglądaniem notatek, które prócz jego kolan zajmowały wszystkie poduszki i część podłogi.

W chwili, gdy na niego spojrzała, przeniknęło ją gwałtowne uczucie, które było mieszaniną pożądania, tęsknoty i miłości. Tylko dlaczego miałyby się zakochać właśnie w nim, pomyślała zaskoczona. A swoją drogą, czy nie jest to na swój sposób niezwykle, że już na początku swej potajemnej eskapady zakochała się? I to w kim? W zdziwczalym naukowcu, który częściej na nią burczał, niż się do niej uśmiechał.

Był gburowaty, wymagający, nerwowy, niecierpliwy. A przy tym genialny, pełen pasji oraz, co pokazywał wyjątkowo niechętnie, dobroci. Nic dziwnego, że przy tak złożonej osobowości był człowiekiem naprawdę wyjątkowym. Co do tego nie miała cienia wątpliwości.

Poza tym posiadał jeszcze jedną cechę, którą ceniła u przyjaciół i kochanków. Był człowiekiem honoru. Nigdy nie próbował wykorzystać tego, że byli zupełnie sami, na kompletnym odludziu. Właściwie w ogóle jej nie dotykał, nawet w najbardziej naturalny, pozbawiony jakichkolwiek podtekstów sposób. Wiedziała, że mu się podoba, lecz wrodzony kodeks postępowania nie pozwalał mu wykorzystać sytuacji.

Uśmiechnęła się leciutko, cały czas obserwując go ze swego miejsca pod ścianą. Zdaje się, że mimo wszystko jest dżentelmenem. Ależ by się zezłościł, gdyby wiedział, że go tak nazwała. Tak więc zakochała się w gburowatym dżentelmenie, który na dodatek nigdy nie pozwoliłby sobie uwieść swej asystentki. Nie pozostawało jej więc nic innego, jak wziąć sprawy w swoje ręce. I uwieść chlebodawcę.

Pomysł, który do tej pory był wyłącznie fantazją, teraz stał się intrygujący. Miłość dawała jej olbrzymią przewagę.

Będzie pan miał ze mną do czynienia, doktorze Caine, szepnęła. I święty Boże nie pomoże...

Już miała wrócić do kuchni, by zamienić kawę na wino, gdy w ostatniej chwili przyszło jej do głowy, że kofeina będzie bardziej... pobudzająca. Plan ataku powinien być prosty. I subtelny. Podeszła więc do Dela i podała mu kawę.

- Z czym się zmagasz? - zapytała.

- Słucham?

- Z czym się zmagasz? - powtórzyła, wskazując stos papierów.

- Ech, muszę to wszystko przemyśleć. Chciałbym mieć już za sobą tę cholerną papierkową robotę. Muszę wrócić w teren - odparł, podnosząc ostrożnie ramię. - Do laboratorium.

Niepokój ścisnął jej serce. Skoro myśli o tym, by wracać na wykopaliska, ona musi szybko zmienić plan. W tej sytuacji nie ma czasu na żadne subtelności.

Zwłaszcza że dawno już postanowiła jechać razem z nim. Jako jego studentka i asystentka. Oraz kochanka.

- To, co robisz w domu, jest równie ważne i potrzebne. Tyle że nie daje ci satysfakcji. Rozumiem to.

- Nie nadaję się na gryzipiórka - rzekł w taki sposób, jakby uważał to za coś niegodnego.

- Cierpliwości. Już niedługo będziesz w terenie. Musisz tylko skończyć pisanie i nabrać sił.

Wyprostował się i ostrożnie ściągnął łopatki. Ból żeber był nadal dokuczliwy. Po godzinie kopania pełzałby na kolanach jak dziecko. Ale w laboratorium...

- Szkoda czasu - odezwał się energicznie. - Weźmy się do pracy - rzucił, wstając. Ponieważ jednak zrobił to zbyt gwałtownie, zabolalo go tak mocno, że aż zacisnął zęby.

- Wiesz co - zaczęła łagodnie, zabierając mu kubek - zostawmy pracę. Najpierw zrobię ci masaż. Jestem pewna, że to pomoże ci się rozluźnić. A potem popracujemy, jeśli zechcesz.

- Nic mi nie jest.

- Nieprawda. Pomyśl o tym, że jeśli nie będziesz na siebie uważał, nie odzyskasz formy. A przez to opóźni się powrót na wykopaliska - mówiła z ożywieniem, idąc w stronę schodów. - Chodź, potraktujemy to jak fizjoterapię.

Ból go drażnił. Mógł wprawdzie wziąć środek przeciwbólowy, ale po nim na pewno nie byłby w stanie pracować. Mógł założyć temblak, ale o tym nawet nie chciał myśleć. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak skorzystać z jej propozycji. Trzeba tylko spokojnie znieść dotyk jej dłoni na swojej skórze. Cóż, mężczyzna powinien mieć dość silnej woli, by zapanować nad własnym ciałem.

W dodatku to ona ma kawę, więc czy chce, czy nie, i tak musi pójść za nią na górę.

- Nie możemy zrobić masażu tutaj? - Wskazał kanapę.

- Chyba żartujesz! To istne madejowe łożo, na dodatek za małe. W sypialni będzie nam wygodniej. Usiądziesz na łóżku i zdejmiesz koszulę.

Oto słowa, pomyślał, o jakich marzy każdy facet.

Nie będzie bawił się w żadne nieprzyzwoite skojarzenia. Będzie cały czas pamiętał, że poddaje się tylko i wyłącznie zabiegowi leczniczemu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Camilla poszła na chwilę do swojego pokoju, gdzie delikatnie skropiła się perfumami i rozpięła dwa guziki bluzki. Skoro Del twierdzi, że uwodzenie jest tylko narzędziem, to ona przystąpi do działania w pełnym rynsztunku.

Zabrała z łazienki balsam, czyste ręczniki i pachnące świece. Wiedziała, że knuje intrygę, ale szybko udzieliła sobie rozgrzeszenia. Zakochana kobieta ma prawo do paru niewinnych sztuczek. Podobnie jak nieufny mężczyzna do obrony, pomyślała z rozbawieniem, gdy po powrocie do sypialni zauważyła, że palą się wszystkie możliwe światła.

Uznała, że środki ostrożności, które Del przedsięwziął, są naprawdę urocze. I łatwe do obejścia.

- Pokaż, co tu mamy - mruknęła, stając za jego plecami. - Del! - zawołała ze współczuciem - ale się poharatałeś!

- Teraz i tak wygląda to dużo lepiej.

- Wiem, ale... - Ramię nadal było opuchnięte, a liczne zielonożółte sińce pokrywały cały bok.

Widok był tak przejmujący, że na chwilę zapomniała o swoim chytrym planie. Zapragnęła zaopiekować się Delem, przynieść mu ulgę i uwolnić od bólu.

- Nie pomyślałam o opuchliznie - szepnęła, dotykając delikatnie ramienia.

- Już prawie zesza. - Poruszył ręką, jakby sprawdzał, czy może to zrobić. Chciał przy tym uwolnić się od jej dotyku, na który, musiał to uczciwie przyznać, nie był jeszcze gotowy.

- To nic. Musimy zrobić parę zimnych okładów - stwierdziła, mimowolnie przypominając sobie, co się stało, gdy po raz pierwszy próbowała leczyć go w ten sposób.

Przede wszystkim chciała go pielęgnować i koić jego ból. Tyle że poza tym pragnęła czegoś zupełnie innego.

- Odpręż się - poprosiła, kładąc na nocnym stoliku ręcznik i balsam. - Zobaczysz, zaraz poczujesz się lepiej.

Spokojnie obserwował jej przygotowania, kiedy jednak zaczęła zapalać świece, zaniepokoił się.

- Po co to?

Na nieufność w jego głosie zareagowała lekkim uśmiechem.

- Nie słyszałeś o aromaterapii? Usiądź sobie wygodnie, zrelaksuj się. Zaczniemy od masażu ręki. Właściwie nigdy mi nie powiedziałaś, jak to się stało.

- Zwyczajnie. Pozwoliłem jakiemuś baranowi usiąść za kierownicą. Potem okazało się, że dzieciak nie ma zielonego pojęcia, jak zachować się podczas jazdy po śliskiej nawierzchni. Niektórzy po prostu tego nie potrafią. No i dachowaliśmy.

- Dachowaliście! - Świadomość, że mogło mu się przydarzyć coś dużo gorszego niż poobijany bok, tak ją przeraziła, że zignorowała oczywistą aluzję do własnych wyczynów za kierownicą. - Boże! Przecież mogliście się zabić!

- On wyszedł z tego z paroma zadrapaniami - odrzekł kwaśno. - Swoją drogą miał szczęście, że nie skręciłem mu karku. A ja od ponad trzech tygodni jestem na LK.

- Na LK? - zapytała, gasząc światło.

- Zdaje się, że w twoim świecie nie istnieje coś takiego jak baseball, co, siostrze? LK to lista kontuzjowanych.

Potrzebował jakiegoś tematu zastępczego. Mógł to być baseball albo każdy inny sport. Mogła być praca albo światowa polityka. Wszystko jedno. Byle tylko nie myśleć o tym, jak pięknie Camilla wygląda w blasku świateł.

- Przecież po ciemku nie będziesz nic widziała.

- Nie bój się, widzę wszystko co trzeba. Poza tym jasne światło nie sprzyja relaksowi - tłumaczyła.

Trochę żałowała, że nie ma radia albo sprzętu stereo. Trudno, bez muzyki też sobie poradzi.

Weszła na łóżko i uklękła tuż za jego plecami. Gdy poczuł, jak pod ciężarem ugina się materac, instynktownie napiął mięśnie brzucha, jakby szykował się do przyjęcia ciosu.

- Tylko proszę cię, nie udawaj, że nic cię nie boli - powiedziała, rozgrzewając dłonie. Potem roztała na nich balsam i delikatnie dotknęła jego barku.

- Wiesz, co myślę? - rzekła. - Powinniśmy od czasu do czasu zmienić coś w codziennym rozkładzie zajęć. A kiedy natkniemy się na jakiś problem, zostawić go i zająć się czymś innym. Dzięki temu zyskamy jaśniejszy obraz całości.

- Możliwe. - Sam musiał przyznać, że po powrocie z wykopalisk spojrzał na nie z zupełnie innej perspektywy. Dostrzegł to, czego dotąd nie widział bądź widzieć nie chciał. Ot, choćby problem z pieniędzmi.

- Nie napinaj mięśni. Zamknij oczy - szepnęła, gładząc i lekko uciskając jego mięśnie - i pozwól myślom spokojnie płynąć. Kiedy byłeś chłopcem, bawiłeś się w tym lesie?

Baseball, myśl o baseballu, powtarzał jak zaklęcie. Tylko jak to zrobić, gdy do ucha sączy mu się ten seksowny głos?

- Pływałeś w jeziorze? Łowiłeś ryby?

- Moja matka łowi ryby.

- Naprawdę?

Uśmiechnął się na wspomnienie matki, która w jednym ze swych koszmarnych kapeluszy i sfatygowanych gumowcach cierpliwie moczy w wodzie kij. Potem zamknął oczy. To dobry trop. Matka jest lepszym tematem niż baseball. Myśląc o niej, na pewno łatwiej okiełzna szalejące hormony.

- Nigdy nie udało jej się namówić ani mnie, ani ojca na wędkowanie. Okropnie nas to nudziło.

- Cóż, obawiam się, że ze mną też nie poszłoby jej łatwo. Do wędkowania podchodzę jak typowa baba: ryby są oślizłe i strasznie się trzepoczą. Osobiście najbardziej lubię je z patelni z odrobiną masła ziołowego. Masz rodzeństwo?

- Nie.

- Czujesz to? - zapytała, dotykając stwardnienia na jego karku. - To dlatego jesteś taki zrzędlivy.

- Nie jestem.

- Pewnie! Masz wyjątkowo pogodne usposobienie. Jesteś słodki jak miód.

- Auu!

- Przepraszam.

Ech, ten facet ma cudne plecy, westchnęła z zachwytem. Szerokie i pięknie opalone, naznaczone kilkoma bliznami. Prawdziwe plecy wojownika. Miała wielką ochotę przesunąć wargami po wgłębieniu kręgosłupa. Wiedziała jednak, że jeszcze na to za wcześnie.

Najpierw chciała mu pomóc, złagodzić dolegliwości. A dopiero potem się do niego dobrać.

Póki co powinna czymś go zająć. I siebie też.

- Czy książka, którą czytasz, jest dobra?

- Niezła.

- Zauważyłam, że twój księgozbiór nie jest duży, za to bardzo zróżnicowany.

W porządku, niech będzie literatura, uznał. Temat dobry jak każdy inny. W każdym razie nie gorszy niż baseball.

- Powieści potrafią odprężyć umysł albo go pobudzić. W tej chwili nie umiał powiedzieć, którą z tych dwóch rzeczy odczuwał. Jej dłonie były naprawdę boskie. Miękkie i

mocne. Kojące i pobudzające. Rozgrzewały w nim krew. A przy tym powodowały, że stopniowo znikał ból i napięcie.

Zapach świec, perfum, łagodny ton jej głosu, półmrok uspokoiły go i sprawiły, że stało się to, o co prosiła. Jego myśli zaczęły dryfować.

Materac ugiął się lekko, gdy zmieniła pozycję. Po chwili ciepłe dłonie przesunęły się pieszczotliwie po jego barkach, a twarde piersi przyłgnęły na moment do jego pleców. Pomyślał sennie, że chciałby ich dotknąć. Ciekawe, jakie są. Twarde, drobne, gładkie. I jak smakują, gdyby wziąć je do ust. Pewnie słodko. I pachną kobietą.

Deszcz stukał o dach, migotały świece. Kiedy zamykał oczy, widział ich blask w postaci purpurowych i żółtych plam na tle gęstej czerni.

- Połóż się. - Gorący szept musnął mu szyję.

- Hm?

Uśmiechnęła się. Zdaje się, że zanadto się odprężył.

A przecież nie może pozwolić na to, by jej tu zasnął. Im dłużej go dotyka i patrzy na jego ciało, tym mocniej go pragnie. Pożądanie jest jak mocny skurcz w dole brzucha.

- Połóż się - powtórzyła, z trudem hamując się, by nie ugryźć go w ucho. - Żebyś mogła dosięgnąć...

W jednej chwili szeroko otworzył oczy. Już miał odrzec, że to niezbyt dobry pomysł, ale zaczęła delikatnie ciągnąć go w dół. Najgorsze, że sam miał wielką ochotę wyciągnąć się wygodnie na łóżku.

- Wciąż cię bolą zebra, prawda? Zaraz się nimi zajmiemy. To naprawdę cud, że żadnego nie złamałeś.

- Widocznie miałem wtedy swój szczęśliwy dzień - mruknął. Chciał jej powiedzieć, że już wystarczy, ale, Bóg mu świadkiem, był tak rozkojarzony, iż z trudem zbierał myśli. A kiedy sięgając po balsam musnęła biustem jego twarz, poczuł w głowie pustkę.

- To prawda. Mogło się skończyć dużo gorzej - mówiła, rozcierając balsam na dłoniach. Patrzyła mu przy tym prosto w oczy. - Na pewno pomogło to, że jesteś w doskonałej formie. Zdrowy, silny mężczyzna - szepnęła z uznaniem. - Ile masz lat?

- Trzydzieści. Nie, trzydzieści jeden. - Jak do diabła ma się skupić, gdy ona wpatruje się w niego z takim uśmiechem?

- Młody, silny, zdrowy. Mmm... - Zakończyła tę wyliczankę głębokim westchnieniem, które wcale nie było wyreżyserowane. - To dlatego tak szybko wyzdrowiałeś.

Wcale nie czuł się zdrowy, tylko słaby i głupi. Napięcie, zgoła innego rodzaju, coraz mocniej pulsowało mu w żyłach. Camilla klęczała pomiędzy jego rozsuniętymi nogami i

kołysała się rytmicznie w górę i w dół. Robiła to tak sugestywnie, że mimo woli zaczął wyobrażać ją sobie nagą. I myśleć o tym, jakby to było, gdyby ją posiadał. Zaciśnął pięści, bo niewiele brakowało, a chwyciłby ją za biodra.

- Wystarczy - mruknął ochryłym głosem. Niech Bóg ma go w swojej opiece.

Patrzyła mu prosto w oczy, które pociemniały i lśniły jak w gorączce.

- Jeszcze nie skończyłam... - Wolno przesunęła dłońmi po jego piersi, aż dotarła do paska spodni. Potem powędrowała w górę. Czuła, jak pod jej palcami Del napina mięśnie brzucha. - Nie da się tego zrobić szybko. Jesteś taki duży, napięty i... twardy.

Zaklął, ale nie było w tym gniewu.

- Przestań. Torturujesz mnie.

- Naprawdę? - Uniosła głowę, zadowolona, że wreszcie słyszy te słowa. Oznaczały bowiem, że pierwszy raz w życiu udało jej się uwieść mężczyznę. - Zaraz cię pocałuję i od razu będzie lepiej.

Uniosła się na łokciach, a potem wolno pochyliła głowę i po sekundzie wahania dotknęła ustami jego piersi, w której serce tłukło się jak szalone.

- Tak jest lepiej? - szeptała, wodząc wilgotnymi wargami po jego szyi. Kiedy odsunęła się na milimetr, usłyszała stłumione westchnienie.

- Zwariowałaś - wydusił. - Włazisz na mnie i myślisz, że będę trzymał ręce przy sobie?

- Skąd ci przyszło do głowy, że masz to robić? - Lekko pocałowała go w policzek. - Czy ja coś takiego mówiłam? - Pieszczotliwie pocałowała kącik jego ust. - Zdaje mi się, że wyraźnie daję ci do zrozumienia, czego pragnę.

- Robisz błąd.

- Możliwe. - Kiedy poczuła, że chwytają mocno za kostkę, a potem przesuwa dłońią aż do uda, uśmiechnęła się triumfalnie. - I co z tego?

Nie potrafił odpowiedzieć. Nie w chwili, kiedy pragnął jej każdym nerwem. Chwycił ją najpierw za biodra, a potem za tę seksowną, śliczną pupę.

- Wykorzystujesz mnie? - rzucił przez zęby.

- Owszem. - Przysunęła twarz do jego twarzy. - Mam przestać? W tym momencie? Czy może chcesz... - chwyciła zębami jego dolną wargę, posąsała i wypuściła - więcej?

Jedno i drugie może go zabić. Skoro więc ma umierać, wolał być przy tym w stanie euforii.

- Wszystko albo nic - szepnął. Nie wahała się ani chwili.

- Wszystko - szepnęła i pocałowała go mocno w usta.

Pierwsza fala gorąca była tak potężna, że na chwilę odebrała mu oddech. Odruchowo podniósł zdrowe ramię i położył dłoń na jej plecach. Zaciśnął palce na bluzce i niecierpliwie szarpnął z całych sił. Tym nieostrożnym ruchem zadał sobie taki ból, że aż zaklął.

- Czekaj, pozwól. Ja to zrobię. Ja sama - szepnęła pomiędzy pocałunkami. - Oszalałam na twoim punkcie.

Myślał tylko o tym, by jak najszybciej jej dotknąć, więc wsunął dłoń pomiędzy ich zwarte ciała i odnalazł piersi. Oddech jej się rwał, po plecach przebiegały dreszcze, ale odsunęła się od niego. Uśmiechnęła się zmysłowo i patrząc mu w oczy, zaczęła wolno rozpinąć guziki bluzki. Jeden, drugi, potem trzeci.

- Teraz ja tu rządzę - powiedziała, zsuwając ją z ramion. - A ty masz tylko leżeć i patrzeć.

- Zaplanowałaś to, prawda? Po to zaciągnęłaś mnie do sypialni.

- Prawda. I co? - Przechyliła głowę i sięgnęła do zapięcia stanika. Gdy opadł, Del wziął głęboki oddech.

- I powiem, że podoba mi się twój pomysł - jęknął.

- Więc mnie dotknij. Całe noce marzyłam o tym, żebyś to wreszcie zrobił.

- Nie chciałem tego - rzekł, przesuwając dłońmi po jej ciele.

- Ale ja chciałam, więc byłeś bez szans - mówiła, kładąc na nich ręce.

Przyszło mu do głowy, że Camilla wygląda dokładnie tak, jak ją sobie wyobrażał. Chciał być delikatny i łagodny, ale nie potrafił opanować pożądania. Kiedy pochyliła się, żeby go pocałować, z całych sił przycisnął ją do siebie.

Ignorując ból, zdołał obrócić się na brzuch, bo zapragnął poczuć ją pod sobą.

- Ostrożnie! Jeszcze sobie coś zrobisz... - szepnęła.

- Przestań gadać, przestań - powtarzał, chwytając zębami jej ramię. Głęboko wciągnął jej zapach, niczym wilk wietrzący swą partnerkę.

Ich ciała tak płonęły, jakby oboje mieli gorączkę. Serca były im szaleńczo, rwały się oddechy. Ciężar jego ciała wgniatał ją w cienki materac i było jej z tym wspaniale. Świadomość, że sama pragnie i jest pożądana, bez względu na to, kim jest, upajała ją i dawała poczucie potęgi.

Deszcz dzwonił miarowo o szyby, w wilgotnym powietrzu tańczyły płomyki świec. Mokra skóra lgnęła do skóry, kiedy próbowali oswobodzić się z resztek ubrań.

Jest taka piękna, gładka, ponętna. I gotowa na wszystko, zachwycał się Del. Poruszała się rytmicznie, gdy niecierpliwie rozsuwał suwak jej dzinsów. Słyszając jej ciche westchnienia,

pragnął Camilli coraz mocniej. Chciał w nieskończoność chłonąć jej zapach i smak. Poznawać to smukłe ciało i pieścić każdy jego skrawek.

Wsunął dłoń za pasek jej spodni, a potem pod cieniutką bieliznę i odszukał gorący, wilgotny punkt. Wtedy jej westchnienia zmieniły się w jęk, głośny i przejmujący. Gdy poczuł, że chwytają ekstatyczny dreszcz, przytulił twarz do jej brzucha i drżał razem z nią. Zaczekał, aż oboje trochę ochłoną, a potem zaczął ściągać dzinsy z jej bioder. Podniecony do granic rozsądku, przestał zwracać uwagę na chore ramię i zadał sobie tak silny ból, że nagle opadł na nią bezwładnie, niezdolny ruszyć nawet palcem. I podczas gdy kłął z bezsilnej złości, ona zaczęła się śmiać.

- Nic się nie stało. Ale kręci mi się w głowie. Zaraz ci pomogę.

- Do cholery, zaczekaj chwilę!

- Nie mogę! - Roześmiała się i zwinnie wydostała spod niego. Nie zważając na protesty, pomogła mu położyć się na plecach. A kiedy rzucał jej wściekłe spojrzenia, śmiała się jeszcze głośniej.

- Zobaczysz, co ci zrobię, jak tylko dojdę do siebie - groził.

- Domyślam się. I już się boję! - wołała, błyskawicznie uwalniając się z dzinsów. Kiedy jednym, szybkim ruchem pozbyła się majtek, musiał przyznać, że w takich okolicznościach złość jest głupią stratą czasu.

- Chodź tutaj!

- Już idę. Jeszcze tylko to... - powiedziała, chwytając za nogawki jego spodni. - Okropnie trzęsą mi się ręce. Zresztą przez ciebie. Wiesz, uwielbiam, kiedy mnie dotykasz - mówiła, nie przestając go rozbierać.

Potem obejrzała go od stóp do głów. W skupieniu i z wyraźnym podziwem.

- Ojej! - Nabrała głęboko powietrza i wypuściła je ze świstem. - Nie pomyliłam się, mówiąc, że jesteś duży. Proszę, dotknij mnie. Pocałuj!

- Straszna z ciebie despotka. - Uśmiechnął się i otoczywszy ją ramieniem, przyciągnął do siebie.

Jego dłonie błądziły po jej plecach, ramionach, udach. Pocałunek, na początku łagodny, stawał się coraz bardziej namiętny.

- Powiedz, że mnie pragniesz - szeptała. - I wymów moje imię. Zrób to dla mnie!

- Camillo, pragnę cię.

Uniosła się na łokciach, uklękła nad nim i patrząc mu prosto w oczy pozwoliła, żeby w nią wszedł. Pierwsza fala rozkoszy uderzyła ją tak mocno, że zakołysała się i wygięła w tył. Chciała przeżywać ją jak najdłużej, więc na chwilę zastygła w bezruchu. Dopiero gdy poczuła

na piersiach jego dłonie, położyła na nich ręce i poruszyła wolno biodrami. Kołysała się rytmicznie, coraz szybciej i szybciej, póki oboje całkiem nie zatracili się w szaleństwie.

Nie potrafił znaleźć słów, by powiedzieć, jak bardzo jest piękna. Rozpalona miłością, otulona złotym blaskiem świec, półprzytomna z rozkoszy. Spod przymkniętych powiek obserwował, jak szczytuje, a potem opada na niego miękko, wstrząsana dreszczami. Gdyby mógł, otoczyłby ją ramionami i przytulił do siebie z całych sił. Nie pozwalał mu na to ból, ani ona, wciąż domagająca się nowej dawki rozkoszy.

Dość długo udawało mu się panować nad własnym ciałem, lecz w końcu przyszedł moment, kiedy podniecenie stało się tak silne, że aż bolesne. Każdym nerwem czuł ogromne pragnienie spełnienia i ulgi. Poruszył się w niej, mocno i gwałtownie, a kiedy osiągnął szczyt, jak przez mgłę dotarł do niego jej krótki, triumfalny krzyk.

Łakoma kotka wylizująca ostatnią kroplę śmietanki nie mogła czuć się bardziej ukontentowana niż Camilla wygrzewająca się w rozkosznym cieple miłości. Del był dla niej absolutnie idealny. Najchętniej położyłaby się na nim i pozwoliła tej cudnej chwili trwać i trwać.

Ponieważ jednak leżał spokojnie, a ona bała się, że nadweręży jego bolący bok, przytuliła się do niego z drugiej, zdrowej strony.

- Bolało cię? - szepnęła, całując jego twarde ramię. Bolało. Jak diabli. Pulsujący ból dosłownie rozrywał mu bok. I mieszał się z tak boskim uczuciem całkowitego zaspokojenia, że Del sam już nie wiedział, czy jedno jest możliwe bez drugiego. Dlatego nie odpowiedział jej wprost, tylko burknął coś niewyraźnie.

Uniosła się na łokciu i spojrzała na niego z góry. Chyba znowu powinna pomóc mu się ogolić. Szkoda, bo bardzo ją podniecało, gdy czuła na nagiej skórze drobne igiełki zarostu.

Musiał wyczuć, że mu się przygląda, bo otworzył oczy.

- O co chodzi?

- Udajesz, że złości cię to, co się stało. To bez sensu. Postanowił, że innym razem rozstrzygnie, czy fakt, że ta kobieta tak łatwo czyta w jego myślach, bardziej go fascynuje czy niepokoi.

- Skąd ci przyszło do głowy, że udaję? Przecież wiesz, że łatwo się złościę.

- O, tak. Powinni przyznać ci za to specjalną nagrodę. Jestem pewna, że kiedy tylko dojdiesz do siebie, znowu zechcesz się ze mną kochać. I wcale nie będziesz się złościł.

- Nie brak ci pewności siebie, co?

- W niektórych sytuacjach - przyznała i nachyliła się, żeby go pocałować. - Na przykład teraz.

- Cóż, tak się składa, że się mylisz, mądralo - stwierdził.

Ponieważ zajęta była dąsami, nie zauważyła, że jego dłoń sunie w stronę jej piersi.

- Chcę się z tobą kochać już teraz - powiedział, gładząc ją pieszczotliwie. - I wcale nie zamierzam czekać, aż wydobrzeję po pierwszej rundzie. Zresztą to może nigdy nie nastąpić.

- Bez przesady. Ale przykro mi, że cię boli, więc lepiej zejść na dół i przygotuję ci okład z lodu.

- Wolałbym, żebyś tu została i przez pięć minut była cicho - oznajmił i by ułatwić jej decyzję, podciął łokieć, na którym się opierała. Opadła na niego i z lubością przesunęła dłonią po jego torsie.

- Hm - mruknęła zachęcająco - jesteś twardy jak skała.

- Nie prowokuj mnie, siostrze. Mam zamiar uciąć sobie krótką drzemkę.

- Dobrze, ale najpierw...

- Ciii - syknął i rozwiązał problem, kładąc dłoń na jej ustach.

Tego było za wiele. Zmrużyła oczy i już była gotowa go ugryźć, gdy nagle jego dłoń straciła czucie. Zaskoczona Camilla spojrzała na niego i zorientowała się, że opadł na plecy i zasnął. Mniej więcej pół godziny później, ledwie zdołała zapanować nad konsternacją i zapaść w ciężki sen, obudził ją gwałtownym, pożądlwym pocałunkiem. Z trudem wynurzyła się z oparów snu, lecz nim zdążyła wypłynąć na powierzchnię, Del znowu pociągnął ją za sobą w głębinę.

Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło, nim znowu mogła wyciągnąć się wygodnie w chłodnej pościeli. Czuła się oszołomiona, wykorzystana i absolutnie szczęśliwa. Chwilę wcześniej Del ułożył się na zdrowym boku i burknąwszy coś na temat zgaszenia tych idiotycznych świec, natychmiast zasnął.

Tymczasem ona długo leżała bezsennie i, wpatrując się w sufit, uśmiechała się do swoich myśli. Zupełnie niespodziewanie odkryła w sobie nową pasję, która zwała się Delaney Caine. Spotkała człowieka, którego zamierzała poślubić, nie oglądając się na to, czy mu się to podoba, czy nie.

Rankiem jak zwykle pierwsza wstała z łóżka. Z przyzwyczajenia zaparzyła kawę i z kubkiem w dłoni poszła pospacerować nad jeziorem. Nie budziła Delę, bo uznała, że zasłużył na to, by się porządnie wyspać.

Idąc leśną ścieżką, myślała o tym, że będą musieli dzielić swój wspólny czas pomiędzy Vermont, Wykopaliska, Wirginię i Cordinę. Co oznaczało, że będą wiedli bardzo ruchliwe, a przez to bogate życie.

Była pewna, że Del polubi jej najbliższych i wierzyła, że sam również przypadnie im do gustu. Szkopuł w tym, że najpierw musi ich ze sobą poznać. Nie przypuszczała, by bardzo przejął się dworskim protokołem oraz powinnościami wypływającymi z faktu, iż jest księżniczką i siostrzenicą króla. Na pewno będzie umiał dostosować się do sytuacji. W końcu małżeństwo polega na tym, by nie tylko brać, lecz także dawać.

Oczywiście najpierw będzie musiała przekonać go, że chce się z nią ożenić z własnej i nieprzymuszonej woli. A przedtem uzmysłwić mu, że ją kocha. Bo on musi ją kochać. Przecież instynkt nie pozwoliłby jej żywić tak głębokich uczuć wobec człowieka, który nie odwzajemniałby ich choćby częściowo.

Wędrowała przez las, obserwując, jak nieśmiałe promienie wczesnego słońca przedzierają się przez gęste korony drzew. Pomyślała, że powinna cieszyć się chwilą i nie sięgać myślami wstecz ani nie wybiegać w przyszłość. Najważniejsze, by umiała czerpać radość ze swych nowych odkryć, z miłosnych godów, z romansu. Fakt, iż sama zakochała się tak szybko, nie uprawniał do tego, by zaczęła wywierać presję na Dela. Przecież ma czas, może zaczekać i nacieszyć się nową rolą zakochanej kobiety.

Przysiadła na pniu i pomyślała o tym, że musi zadbać, by dokładnie w tym miejscu stanęła ławka. A przy brzegu zakwitły lilie wodne. Żadnej rewolucji, jedynie kilka drobnych zmian. Nie miała zamiaru zanadto ingerować w świat Dela, tak jak nie chciała zmieniać jego samego.

Owszem, zaznaczyła swoją obecność w jego chacie, ale uważała, że zrobiła to bardzo subtelnie, bez szkody dla charakteru i nastroju tego miejsca. Życzyłaby sobie, by on traktował ją w taki sposób, w jaki ona potraktowała jego dom. Tak naprawdę wcale nie chciała, żeby się zmieniał. Lubiała go dokładnie takim, jakim jest.

Kiedy oboje przywykną do nowej sytuacji, znajdzie sposób, by wyjawić mu prawdę o swym pochodzeniu. Nie wcześniej jednak niż za tydzień. Przecież ma prawo do jeszcze jednego beztroskiego tygodnia. Musi tylko odpowiednio zacząć swą opowieść. Może od historii ojca, byłego detektywa, który odszedł ze służby i zajął się ochroną osób i mienia? A potem kupił ziemię w Wirginii, bo zawsze marzył o tym, by zostać farmerem. Musi też nadmienić, że dziadkowie ze strony ojca i matki byli zaprzyjaźnieni, i właśnie dlatego w trudnej chwili dziadek zwrócił się o pomoc do syna swego przyjaciela.

Tak, Camilla uznała, że ta historia, choć nieco zagmatwana, doskonale nadaje się na początek. A potem, jak gdyby nigdy nic zapyta: „Czy wspominałam już o tym, że moja matka pochodzi z Cordiny?” I to będzie odpowiednie przejście do zasadniczego tematu. Być może

Del zainteresuje się i sam ją o coś zapyta, a wtedy będzie mogła powiedzieć mu bez zbędnych wstępów, że brat jej matki to ksiązę Aleksander de Cordina.

Wtedy Del na pewno zacznie się śmiać i powie coś w stylu: „Jasne, siostrze, a ty pewnie jesteś śpiącą królową”. Ona również się roześmieje i powie mu: „Nie królową, tylko księżniczką na krótkich, nieplanowanych wakacjach”.

Tyle że to się nie ma prawa udać.

Sfrustrowana, zaklęła po francusku i smętnie oparła brodę na zaciśniętej pięści.

- Chciało ci się iść taki kawał tylko po to, żeby usiąść na pieńku i wymyślać kaczkom?

Zakrzuszyła się kawą i zerwała na równe nogi. Tuż za jej plecami stał Del.

- Zdecydowanie wolę, kiedy poruszasz się jak słoń w składzie porcelany - wydusiła.

On natomiast zdecydowanie wolał nie myśleć o tym, jak bardzo wydaje mu się piękna.

Jeszcze się dobrze nie obudził, a już jej szukał, macając ręką zimną pościel. Zdawało mu się, że gdy już baba włązi mu do łóżka, to mogłaby zostać tam trochę dłużej, a nie zniknąć bladym świtem. Był pewien, że krząta się w kuchni, gdy jej tam jednak nie znalazł, wpadł w panikę. Wskoczył przed dom i nie zważając na bolące zębra, biegł przed siebie, póki się nie uspokoił.

Teraz zaś, gdy okazało się, że wcale nie odeszła, poczuł się sto razy gorzej. Stała przed nim na tle jeziora, oświetlona złocistym blaskiem porannego słońca, i wyglądała jakby wyszła z kart jakiejś baśni. Promienie tworzyły wokół niej poświatę, która lśniła we włosach niczym korona. W jej brązowych oczach pojawił się złocisty blask, na pełnych, zmysłowych ustach błąkał się ciepły uśmiech.

Jak minionej nocy, tak i teraz zapragnął otoczyć ją ramionami. I już nigdy z nich nie wypuścić.

Co oczywiście było szaleństwem.

- Nie czułem zapachu śniadania.

- Bo jeszcze nie zaczęłam go robić. Myślałam, że będziesz chciał dłużej pospać.

- Przecież umówiliśmy się, że dziś zaczniemy pracę wcześniej.

- Pamiętam o tym - odparła z uśmiechem. - Tylko nie byłam pewna, czy po ostatniej nocy ta umowa jest nadal aktualna. - Ponieważ nie zbliżył się do niej, sama do niego podeszła i przeczesała dłonią jego włosy. - Jak się czujesz?

- Dobrze. Posłuchaj, co do minionej nocy, to...

- Co takiego? - szepnęła, i wspiąwszy się na place, pocałowała go lekko w usta.

- Nie ustaliliśmy żadnych... Słuchaj, potraktujmy to jak układ bez zobowiązań.

Złość ścisnęła ją za gardło, ale zdołała ją przełknąć.

- A czy ja o nich wspomniałam? Chyba nie przywiązałam się do ciebie sznurkiem, kiedy spałeś...

- Ja nie mówię, że... - Bardzo nie lubił się bronić. - Chcę, żebyś miała jasność co do naszej sytuacji. Dobrze nam razem, więc cieszymy się tym. A potem każde z nas pójdzie w swoją stronę.

- To rzeczywiście bardzo jasny układ. - Miała ochotę dać mu w twarz, ale takie zachowanie było poniżej jej godności. Poza tym była przeciwna stosowaniu przemocy, zwłaszcza wobec osób niepełnosprawnych umysłowo. Posłała mu więc niefrasobliwy uśmiech i rzekła lekkim tonem:

- Skoro wszystko sobie wyjaśniliśmy, nie ma powodów do niepokoju.

Spojrzała mu głęboko w oczy i oparła dłonie o jego pierś. Potem przeniosła je na ramiona i kark, aż w końcu wsunęła palce w jego gęste włosy i przywarła ustami do jego ust. Odczekała, aż chwyci ją mocno za bluzkę na plecach, i wtedy z premedytacją przerwała pocałunek i odsunęła się od niego.

- Najpierw usmażę nam omlet, a potem możemy wziąć się do pracy - oznajmiła beztróskim tonem.

Kiedy odwróciła się i ruszyła pod górę wąską ścieżką, jej oczy miały błyskawice. Po kilku krokach odwróciła się, uśmiechnęła przyjaźnie i wyciągnęła do niego rękę.

Ty małpiszonie, pomyślała z odrobiną czułości, gdy trzymając się za ręce, szli do chaty. Lepiej szykuj się do twardej walki.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ten tydzień upłynął we względnym spokoju. Camilla powoli godziła się z myślą, że z Delem spokój inny być nie może. Zręczliwość była tą cechą jego charakteru, którą koniecznie należało brać pod uwagę, planując wspólną przyszłość.

W wolnych chwilach wertowała książki poświęcone archeologii. I choć swym zwyczajem gderał, że robi bałagan w jego rzeczach, wiedziała, że cieszy go jej szczerze zainteresowanie tematem. Kiedy po przeczytaniu jakiegoś fragmentu zadawała mu pytania, odpowiadał na nie - coraz chętniej i bardziej szczegółowo, więc szybko omawianie jej lektur stało się zwyczajem.

Pewnego dnia podarował jej mały toporek, relikw kultury aszelskiej. Przyjęła go ze wzruszeniem, czując, że to prymitywne narzędzie z krzemienia ma dla niej większą wartość niż brylanty. Uznała bowiem, że jest czymś więcej niż prezentem, więcej nawet niż pamiątką. Jest ważnym symbolem.

Gdy jej samochód był wreszcie gotowy, Del bez protestu zawiózł ją do miasta. Widocznie przeczuwał, że bez względu na swoje wcześniejsze plany, i tak zostanie z nim na dłużej.

Camilla dochodziła do wniosku, że coraz więcej ich łączy. Przy okazji udało jej się poznać nieco faktów z przeszłości Dela. Dowiedziała się więc, że jego ojciec, Anglik z pochodzenia, również studiował w Oksfordzie. Doktor Caine senior poznał matkę Dela, Amerykankę, podczas wykopalisk w Montanie, którymi kierował.

Del spędził część dzieciństwa w Anglii, a część w Vermoncie. Jego domem były najczęściej przyczepy kempingowe oraz namioty, z którymi rodzice zjeżdżili wykopaliska we wszystkich rejonach świata.

Toporek, który jej podarował, został znaleziony w hrabstwie Kent i był pierwszy samodzielny odkryciem małego Dela. Ta informacja wystarczyła, by podarunek stał się dla niej podwójnie drogi.

Del znał sanskryt i grekę, i został kiedyś pogryziony przez jadowitego węża. Blizna pod lewą łopatką była pamiątką po jakimś pijaku, który w kairskim barze niespodziewanie zaatakował go nożem. Czowała, że zachowuje się jak naiwna nastolatka, ale nie potrafiła nic poradzić na to, że takie opowieści wydają jej się szalenie romantyczne.

Jeśli chodzi o pracę nad artykułami i raportem, to tworzyli naprawdę zgrany tandem. Wkrótce też mogła odwieźć na pocztę pierwszą partię ukończonych materiałów. Ich materiałów.

Gdy się kochali, zdawało im się, że poza nimi dwojgiem nie istnieje świat. Nie liczyła się przeszłość ani przyszłość, gdyż obie bladły w konfrontacji z cudowną chwilą, w której trwali. Gdy Del na nią patrzył, jego oczy mówiły jej, że on czuje dokładnie to samo.

Nigdy dotąd żaden z mężczyzn, którzy przewinęli się przez jej życie, nie wywarł na nie tak ogromnego wpływu. Żaden nie posiadał w takim stopniu jej serca, ciała i umysłu. Miała nadzieję, że jest dla niego tak samo ważna, jak on dla niej.

Żadnych zobowiązań, przebiegło jej przez myśl. Typowe, prychnęła. Skoro nie chce się wiązać, to po co chodzi z nią na spacer do lasu? I dlaczego odpowiada tak cierpliwie - no, powiedzmy, stosunkowo cierpliwie - na wszystkie pytania? I czemu przyłapuje go czasem na tym, że przygląda jej się w pewien szczególny sposób? Intensywny i przenikliwy, zupełnie jakby była łamigłówką, którą próbuje rozwiązać? I wreszcie z jakiego powodu w najmniej oczekiwanych momentach pochyla się nad nią, by ją pocałować?

Facet zakochał się w niej po same uszy, tego była pewna. Tyle że wrodzona zatwardziałość nie pozwalała mu tego dostrzec. Ani się do tego przyznać. Nie szkodzi, da mu jeszcze trochę czasu, a potem pierwsza wyzna mu miłość. I dopiero kiedy on to przetrawi, powie mu całą resztę.

Zadowolona z siebie przemierzała miasteczko, wstępując kolejno do sklepów, w których miała coś do załatwienia. Kiedy wreszcie stanęła w progu antykwariatu, wprost tryskała radością i optymizmem. Postanowiła sprzedać zegarek. Nie mogła dłużej znieść upokarzającego braku gotówki i proszenia o pieniądze, ilekroć chciała zrobić zakupy. Poza tym wymyśliła, że mając więcej własnych środków, będzie mogła płacić za siebie, a co za tym idzie wymagać, by Del włączył się w wykonywanie domowych obowiązków. Uznała bowiem, że korona z głowy mu nie spadnie, jeśli od czasu do czasu zmyje naczynia.

- Dzień dobry! - Uśmiechnęła się do Sarah i ruszyła w jej stronę pomiędzy rzędami starych mebli i półkami pełnymi bibelotów.

Kobieta podniosła wzrok znad kolorowego pisma.

- Dzień dobry. Ach, to pani, panno... Breen.

- Zauważyłam, że sprzedają państwo używaną biżuterię i zegarki.

- Owszem - potaknęła, przyglądając się Camilli uważnie.

- Czy byłaby pani zainteresowana kupnem czegoś takiego? - zapytała, zdejmując zegarek.

- Och, to piękna rzecz... - Sarah z wahaniem wzięła go i zaczęła obracać w dłoniach. Przejechała paznokciem po gładkiej złotej kopercie i przyjrzała się drobnym brylancikom. - Zwykle nie przyjmujemy tego typu wyrobów... - zaczęła, ale nagle urwała i bez słowa zaczęła wpatrywać się w Camillę.

- Rozumiem. Pójdę z tym do jubilera.

- To naprawdę pani! - wydusiła wreszcie półgłosem. Szeroko otwarte oczy aż błyszczały z przejęcia.

Camilla poczuła niepokój.

- Przepraszam, ale nie rozumiem, o czym pani mówi.

- Już wtedy, kiedy była tu pani pierwszy raz, pomyślałam, że jest pani do kogoś bardzo podobna.

- Każdy z nas jest do kogoś podobny - odparła swobodnie i sięgnęła po zegarek. - Dziękuję pani.

- Księżniczka Camilla. - Sarah przycisnęła obie dłonie do ust. - To niewiarygodne. Księżniczka Camilla w moim sklepie! Pani tu naprawdę jest. O, i tutaj! - zawołała, podsuwając jej pismo.

Kiedy Camilla ujrzała na okładce własną twarz, serce jej zamarło. Wielki tytuł głosił, że właśnie uznano ją za jedną z najpiękniejszych kobiet świata.

- Obcięła pani włosy! Mój Boże, te cudowne loki!

- Cóż... - westchnęła z rezygnacją. - Doszłam do wniosku, że pora coś zmienić.

- Wygląda pani wspaniale. Nawet lepiej niż poprzednio - entuzjasmowała się Sarah, lecz chyba dotarła do niej niestosowność własnego zachowania, bo nagle umilkła speszona. Błada z wrażenie, wykonała przed Camilla niezgrabny ukłon. - Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość...

- Och, nie! Tylko nie to! Proszę przestać. - Camilla uśmiechnęła się z przymusem, zerkając kątem oka w stronę drzwi. Modliła się, by nie stanął w nich żaden nowy klient. - Odbywam prywatną podróż i naprawdę bardzo mi zależy, żeby nikt się o tym nie dowiedział.

- Jak w telewizji pokazywali film dokumentalny o rodzinie książęcej, nagrałam go sobie na magnetowid. Po pani pierwszej wizycie bezustannie myślałam o tym, kogo pani mi przypomina. Aż wreszcie mnie olśniło. Jeszcze raz obejrzałam reportaż, ale pomyślałam sobie, że na pewno się mylę. Przecież to niemożliwe, żeby kobieta nazywana najpiękniejszym klejnotem korony wstąpiła, ot tak, po prostu, do mojego sklepu i kupiła kilka starych butelek. Teraz jednak wiem, że miałam rację. To naprawdę pani!

- Tak, to ja. Sarah...

- Ech, ten Del! - Sarah najwyraźniej poniosły emocje, bo zaczęła paplać jak najęta. - Dobrze go znam i wiem, że trzeba wyciągać od niego każde słówko. Ale żeby nawet nie powiedział, że ma u siebie takiego niezwykłego gościa!

• - On nie ma pojęcia, kim jestem. I życzyłabym sobie, żeby tak pozostało. Przynajmniej dopóki... Och, Sarah...

Gościć w swoim sklepie prawdziwą księżniczkę, to jedno. Ale gościć kogoś, kto wygląda na bardzo strapionego, to już całkiem inna historia.

- Ojej! - Sarah wyszła zza kontuaru i dosłownie w ostatniej chwili powstrzymała się, by nie ująć Camilli pod ramię. Pomyślała sobie, że byłoby to nadmierną poufałością. Dlatego przybrała oficjalny ton i zapytała, czy Jej Wysokość życzy sobie coś do picia.

- Tak, chętnie się czegoś napiję.

- Mam... sama nie wiem, co. Kompletnie straciłam głowę. Aha, na zapleczu mam mrożoną herbatę.

- Doskonale. Dziękuję pani.

- Nie ma za co. Zaraz, tylko zamknę sklep - zawołała i pobiegła do drzwi. Nie mogła się powstrzymać, by przechodząc obok Camilli nie wykonać jeszcze jednego ukłonu. Potem zaprosiła ją do niewielkiego pomieszczenia, przepaszając przy tym, iż jest ono tak skromne. Kiedy wyjmowała z lodówki butelkę herbaty, drżały jej ręce.

- Proszę się tak nie denerwować - rzekła Camilla łagodnie, siadając na obrotowym krześle. - Przecież jestem tą samą osobą, z którą rozmawiała pani przed tygodniem.

- Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość, ale nie mogę się z panią zgodzić.

- Wolałabym, żeby zwracając się do mnie, nie używała pani mojego tytułu. A w ogóle byłoby najlepiej, gdyby mówiła mi pani po imieniu.

- Nie jestem pewna, czy potrafię. Już jako dziewczynka czytałam o pani w kolorowych pismach. Jesteśmy rówieśnicami, więc wyobrażałam sobie, że ja też mieszkam w pałacu, noszę te wszystkie piękne suknie. Że, jak pani, jestem księżniczką - mówiła podniecona. - Proszę mi powiedzieć, to cudowne, prawda? Księżniczki wiodą bajkowe życie.

- Czasami. Sarah, chciałabym prosić panią o przysługę.

- Oczywiście. Co tylko pani zechce.

- Czy może pani nie mówić nikomu o naszym spotkaniu?

Sarah mrugnęła oczami.

- Nikomu? Ani jednej osobie?

- Przynajmniej na razie. Bardzo proszę. Miło jest być księżniczką, ale pamiętam, że gdy byłam dzieckiem, marzyłam o tym, by choć przez jeden dzień być zwykłą, małą dziewczynką. Akurat teraz to dziecięce marzenie się spełnia.

- Naprawdę? - Brzmiało to bardzo romantycznie. - Zdaje się, że zawsze marzymy o tym, czego nie mamy albo nie możemy mieć. - Zadumała się, podając Camilli szklankę. - Obiecuję, że nic nie powiem, choć nie ukrywam, że będzie to dla mnie torturą - wyznała ze śmiechem. - Ja też mam do pani prośbę. Zachce pani dać mi swój autograf? - zapytała nieśmiało, posuwając jej pismo.

- Naturalnie. Proszę bardzo. I dziękuję za dyskrecję.

- Muszę powiedzieć, że jest pani dużo sympatyczniejsza, niż sądziłam. Zawsze myślałam, że księżniczki to okropne snobki.

- Och, bo to prawda. - Camilla uśmiechnęła się ponad brzegiem szklanki. - Wszystko zależy od sytuacji.

- Z pewnością ma pani rację, ale, proszę mi wybaczyć, pani jest taka... normalna!

Oczy Camilli nabrały ciepłego wyrazu, na ustach pojawił się uśmiech.

- To dla mnie najmiłszy komplement - powiedziała.

- Od razu widać po pani wielką klasę - paplała Sarah, i najwyraźniej ośmielona, zapytała: - Del naprawdę nic nie wie?

Poczucie winy nieprzyjemnie połaskotało ją w kark.

- Nie miałam okazji mu o tym powiedzieć...

- Cały Del! - Sarah załamała ręce. - Nic nie wie o bożym świecie. Jest kompletnie roztrągniony. Kiedy się spotykaliśmy, parę razy zdarzyło mu się zapomnieć, jak mam na imię. Nawet nie miał pojęcia, jakiego koloru mam oczy. Byłam na niego taka zła! A on się wtedy uśmiechał albo mówił coś, czym mnie natychmiast rozbrajał.

- Doskonale rozumiem, co pani ma na myśli.

- W pewnych sprawach jest szalenie mądry, w innych strasznie nieporadny - zirytowała się Sarah. Zmierziała napić się herbaty, gdy jednak spostrzegła rozmarzony wyraz oczu Camilli, szklanka omal nie wypadła jej z rąk. - Wielkie nieba! Pani się w nim zakochała?

- Tak Ale potrzebuję czasu, aby go z tym oswoić. Sarah pomyślała sobie, że to historia całkiem jak z filmu.

- To niewiarygodne. I wspaniałe. Naprawdę.

- Też tak sądzę - zgodziła się Camilla, po czym zaczęła zbierać się do wyjścia. - Mam wobec pani dług wdzięczności i na pewno o nim nie zapomnę - obiecała, wyciągając dłoń.

Ta najpierw wytarła rękę o spodnie, a dopiero potem podała ją Camilli.

- Cieszę się, że mogę pani pomóc - zapewniła żarliwie.

- Zanim stąd wyjadę, przyjdę się z panią pożegnać. Gdy znalazły się w sklepie, wzięła z kontuaru swój zegarek. Sarah zagryzła wargi i spojrzała na nią pytająco.

- Naprawdę chce pani to sprzedać?

- Owszem. Chwilowo doskwiera mi żenujący brak gotówki.

- Żałuję, że nie mogę zaproponować pani tyle, ile jest wart. Szczerze mówiąc, nie posiadam nawet połowy tej sumy. Jedyne, co mogę zrobić, to pożyczyć pani pięćset dolarów. I dać kałamarz, który tak bardzo się pani podoba.

Camilla spojrzała na nią przeciągle. Kobieta, która przed nią stała, była zdenerwowana, skrępowana i zbита z tropu. A mimo to bez wahania ofiarowała pomoc. Camilla pomyślała, że oto otrzymuje kolejny bezcenny dar od losu.

- Gdy rozpoczynałam swoje poszukiwania - wyznała cicho - miałam nadzieję odnaleźć... siebie. A przy okazji zobaczyć... w tej chwili nawet nie wiem, co dokładnie. Być może najprostsze rzeczy, za to z innej perspektywy. To taka wspaniała niespodzianka, spotkać na swej drodze przyjaciela. Proszę wziąć mój zegarek. Potraktujmy to jako wymianę pomiędzy przyjaciółmi.

Del wyszedł przed chatę i zaczął wpatrywać się w wyboistą drogę. Kolejny raz. Ile czasu może zająć załatwienie paru spraw? Kłopot z kobietami polega na tym, że z najprostszej wyprawy po zakupy robią całą pielgrzymkę.

Od dawna miał ochotę zjeść lunch, napić się świeżej kawy i odpowiedzieć na wszystkie maile, które przyszły rano. Musiał uczciwie przyznać, że wszystko to może zrobić sam, tak jak do tej pory. Więc tak naprawdę potrzebna mu była sama Camilla. Niech to szlag!

Jego życie, pomyślał smętnie, wpychając ręce do kieszeni spodni, całkiem się pochrzaniło. Przez nią. Zburzyła jego ład, zakłóciła spokój i rozkład zajęć. Powinien był zostawić ją samą na środku drogi. A tak?

Pozwolił, żeby się rozpanoszyła, zaśmieciła jego przestrzeń. I umysł.

Kim ona do diabła jest? W tym bystrym, pogmatwanym umyśle kryje się mnóstwo zagadek. Jeżeli ma jakieś kłopoty, czemu o tym nie powie? Przecież z największą chęcią by jej pomógł.

Musi mu o wszystkim powiedzieć, musi mu zaufać i zacząć na nim polegać. Tylko wtedy będzie mógł jej pomóc. O, do jasnej cholery! Od kiedy to zaczął widzieć siebie w roli księcia na białym rumaku, przybywającego na ratunek? Co za bzdura! Jaki banał! Tyle że

naprawdę chciał wyjaśnić pewne niejasności. A jeszcze bardziej pragnął, żeby mu zaufała na tyle, by wyznać całą prawdę. Żeby w ogóle chciała cokolwiek wyjaśnić.

I dlaczego? Dlatego, że złamał swoje zasady i zakochał się jak sztubak. Właściwie nie obchodzi go, jakie to uczucie, pomyślał, odruchowo kładąc rękę na sercu. Na pewno bardziej przykre niż ból poobijanych żeber. I co gorsza, dużo bardziej trwałe. Zdaje się, że nie kto inny jak on sam wyskoczył z rewelacją, że nie chce żadnych zobowiązań. A ona to kupiła, przypomniał sobie z goryczą. Widocznie odpowiada jej taki luźny układ. Cóż...

Ale przecież brak zobowiązań nie oznacza braku zaufania. Skoro Camilla nie ufa mu na tyle, by podać mu swoje prawdziwe nazwisko, to jaką przyszłość może mieć taka historia?

Wrócił do domu, by za chwilę znowu stanąć na ganku. Może powinien zacząć jej szukać? W końcu minęły już dwie godziny. Dopiero co miała wypadek, równie dobrze mógł jej się przydarzyć drugi. A jeśli rozbiła się na jakiś drzewie? Leży teraz nieprzytomna i wykrwawia się na śmierć? Albo...

Gdy tak się powoli nakręcał, usłyszał warkot silnika. Jak niepyszny czmychnął więc do środka, nie dając jej szans na to, by zobaczyła, jak niecierpliwie jej wygląda.

Dwa razy okrążył całą izbę, po czym zatrzymał się i zaczął dumać. Przystosowanie. Związek.

Zdaje się, stwierdziła kiedyś, że to najistotniejsze elementy wszelkich kultur. Może powinien rozpocząć dyskusję na ten temat i zobaczyć, co z niej wyniknie?

Wszedł do kuchni w chwili, gdy wykładała na stół zakupy.

- Mam dla ciebie dowód nadania przesyłki - oznajmiła.

- Dobrze - potaknął, przesuwając dłonią po jej włosach.

Uśmiechnęła się do niego i zaczęła wkładać jedzenie do lodówki.

- Odebrałam twoją pocztę. Ale chyba zostawiłam wszystko w samochodzie— dodała, przykładając palce do skroni, w których pulsował nieprzyjemny ból.

- Nie szkodzi. - Podszedł bliżej i przysunął nos do jej szyi. - Pięknie pachniesz.

- Pięknie, co? - zapytała z roztargnieniem, wpatrzona torbę młodych ziemniaków z taką uwagą, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie. - Ach, pachnę. Dziękuję.

Niezrażony postanowił brnąć dalej. Co to kobiety chcą zawsze usłyszeć?

- Czy mi się zdaje, czy ostatnio schudłaś? - zagadnął, dziękując w duchu stwórcy za inspirację.

- Wręcz przeciwnie. Przytyłam - oznajmiła, zabierając się do parzenia kawy.

Za jej plecami Del zmarszczył nos i przymrużył oczy.

Pudło. Skoro słowa na nią nie działają, musi przejść do czynów. Bez uprzedzenia wziął ją na ręce i wyniósł z kuchni.

- Co ty wyprawiasz?

- Biorę cię do łóżka.

- No wiesz! Mógłbyś chociaż zapytać... Poza tym nie wypakowałam jeszcze wszystkich zakupów.

Zatrzymał się u podnóża schodów i gorącym pocałunkiem zamknął jej usta.

- Istnieje społeczność - rzekł po chwili - w której kobiety manifestują swoje pożądanie poprzez gromadzenie zapasów w spiżarni. Ja po prostu odczytuję pierwotne sygnały.

- To ciekawe - stwierdziła, zadowolona, że choć na chwilę może zapomnieć o dręczącym niepokojem. - Można wiedzieć, co to za społeczność?

- Moja własna. Właśnie odkryłem nowy obyczaj.

- Sprytnie - mruknęła, całując go w szyję. - Chyba stęskniłeś się za mną.

- Stęskniłem? To gdzieś wychodziłaś?

Syknęła zniecierpliwiona, ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo wylądowała na łóżku.

- Taka jesteś ciężka, że aż mi zdrętwiała ręka. Naprawdę przytyłaś.

- Co ty powiesz? - burknęła, unosząc się na łokciach.

- Nie martw się. Zaraz pomogę ci spalić zbędne kilogramy.

Roześmiała się, zaskoczona jego zachowaniem. Tego typu żarty nie leżały w jego naturze, lecz najważniejsze, że miały na nią zbawienny wpływ. Pomagały zagłuszyć wyrzuty sumienia.

- Ciężki jesteś! - zawołała, kiedy na nią skoczył.

- Nie ogolony! I na dodatek pakujesz się do łóżka w butach.

- Zrzęda - mruknął, strojąc miny, a potem przełożył jej ręce za głowę, przytrzymał za nadgarstki i mocno pocałował ją w usta. Poczuli, jak jej ciało staje się cudownie uległe. - Chcesz coś powiedzieć? - zapytał, przerywając pocałunek.

- Tak. Żebyś tyle nie gadał i całował mnie dalej. Jedną ręką przytrzymał ją za nadgarstki, drugą zaś zaczął rozpinąć bluzkę.

- Przyznajesz, że miałaś ochotę na seks? - spytał, wodząc palcem po jej brzuchu. - Chcę mieć pewność, że dobrze zinterpretowałem twoje sygnały.

- Odkąd tu jestem, spiżarnia jest zawsze pełna - wykrztusiła, nie panując nad rwącym się oddechem.

- Fakt. - Pokiwał głową, rozpinając jej spodnie. - To znaczy, że od samego początku masz na mnie ochotę. No, przyznaj się!

- Jeśli masz zamiar być arogancki...

- Pewnie miałaś nadzieję, że któreś nocy przyjdę do twojej sypialni - ciągnął, wsuwając dłoń między jej uda.

- Nigdy nie... - Urwała, porażona siłą swoich doznań. - Del, co ty robisz?

- Nie wiesz? To, o czym oboje marzyliśmy podczas bezsennych nocy.

Spali, wtuleni w siebie jak zmęczone zabawą dzieci. A kiedy się obudzili, poszli do łazienki i kochali się znowu w strumieniach ciepłej wody.

Gdy Camilla zorientowała się, że Del ma zamiar zrobić coś, co dotąd było nie do pomyslenia, czyli nie zasiadać do pracy, szybko spakowała piknikowy koszyk. Ku swemu zaskoczeniu bez trudu namówiła go, by poszli nad jezioro i zjedli tam późny lunch. Nie opierał się, bo nawet taki analfabeta w miłości jak on wiedział, że pikniki są bardzo romantyczne i należą do kanonu zalotów. A przecież właśnie o to teraz chodziło. Gdy usiedli nad wodą, przyjrzał jej się dyskretnie i uznał, że wygląda na zadowoloną i odprężoną. Jej twarz promieniała, oczy tchnęły błogim spokojem. Gdyby był malarzem, sportretowałby ją właśnie taką. Zdobył się nawet na to, by jej o tym powiedzieć. I wcale nie czuł się śmieszny, no, w każdym razie nie bardzo.

- Trafiłeś. Ja rzeczywiście tak się teraz czuję - przyznała. - Kocham to miejsce, wiesz... - Położyła się na plecach i śledziła płynące po niebie obłoki. - Tak tu cicho, jakbyśmy byli sami na świecie. - Odwróciła się do niego z uśmiechem. - To idealne miejsce dla pustelnika.

- Nie jestem pustelnikiem - zaprotestował, sięgając po ostatnią z kanapek, które przygotowała. - Po prostu nie lubię, jak wokół kręci się dużo ludzi.

- A ja lubię ludzi - wyznała, przewracając się na brzuch. - Często są fajniejsi, niż nam się zdaje - dodała, myśląc o Sarah. - Niestety, jeśli nie mamy miejsca, w którym moglibyśmy pobycć sami, zapominamy o tym. Nie dostrzegamy sympatii ludzi, a tylko nie kończące się żądania, wymagania i oczekiwania wysuwane pod naszym adresem.

- Jeżeli człowiek nie ma miejsca, w którym może być sam, nie jest w stanie niczego zdziałać.

- Ty masz swoją pracę, swój cel. To cenny dar. Nie każdy go posiada - rzekła z powagą, która zgasiła blask i w jej oczach. - Są ludzie, którzy wciąż za coś gonią, jednak po drodze zaczynają rozmieniać się na drobne i efekt jest taki, że zostają z niczym.

- Nie wyglądasz mi na kogoś takiego.

- Hm. Uwierz lub nie, ale czasem skuteczność jest większą wadą niż zaletą. Jeśli ktoś nie potrafi zajrzeć w głąb własnej duszy, przestaje dostrzegać nie tylko swoje wady, lecz

także zalety. Zapomina, kim jest i kim pragnie być. - Spojrzała mu w oczy, a potem przysunęła się i położyła głowę na jego kolanach. - Lubię to miejsce, bo pomaga mi przypomnieć sobie o tym, co w życiu najważniejsze.

- Kim ty naprawdę jesteś, Camillo?

Wiedziała, że Del oczekuje prawdziwej odpowiedzi. I pojęła, że nie potrafi mu jej udzielić. Konsekwencje byłyby natychmiastowe i nieodwołalne. A ona pragnęła, aby ta chwila trwała jak najdłużej. Zasłoniła się więc w metaforą.

- Jestem kobietą, która już nigdy nie zapomni.

- Sięgnęła po śliwkę, podzieliła ją i podała mu połowę.

- Lubię naszą samotność we dwoje, Delaney - powiedziała.

I dlatego podaruje im obojgu jeszcze jedno długie, leniwe popołudnie. Dopiero potem pozwoli, by weszła między nich Camilla de Cordina.

Przysięgał sobie, że będzie cierpliwy, ale to nie leżało w jego naturze. Czuł, że Camilla jest gotowa wyznać prawdę. Co powinien zrobić mężczyzna, by zachęcić kobietę do zwierzeń? Ciekawy problem, zwłaszcza że większość ludzi pod byle pretekstem zaczyna się wywnętrzać i szczegółowo omawia całe swoje życie. Ale nie ona. Nie zdołał wyciągnąć z niej niczego prócz paru filozoficznych refleksji, by nie powiedzieć ogólników. Po których nabrała wody w usta.

Więc choć się przed tym wzdragał, uznał, że musi ją trochę przycisnąć. By jednak mieć do tego prawo, musi przedtem dać jej jasno do zrozumienia, że oni... że on...

Nigdy w życiu nie wyznawał miłości. Jako dorosły człowiek nie miał ku temu okazji ani nie czuł takiej potrzeby, więc problem nie istniał. Aż do teraz.

Gdy o tym myślał, widział dwie możliwości. Pierwsza była taka, że wejdzie do kuchni, wyrzuci to z siebie i będzie miał z głowy. Cała sprawa kojarzyła mu się ze zrywaniem opatrunku; jeden szybki, zdecydowany ruch, i po bólu. Druga możliwość była przeciwieństwem pierwszej. Nim cokolwiek powie, najpierw przygotowuje psychicznie siebie i ją. Będzie to robił stopniowo, jak człowiek, który centymetr po centymetrze zanurza się w lodowatej wodzie, próbując uniknąć szoku.

Na przykład któregoś dnia napomknie, że jest mu z nią dobrze. Może więc zostałyby trochę dłużej...

To będzie pierwszy etap, po którym pójdzie krok dalej. „Wiesz, zależy mi na tobie”, czy coś w tym rodzaju, powinno wystarczyć. Camilla na pewno jakoś zareaguje. Przecież zawsze ma tyle do powiedzenia! I kto by to pomyślał, że on tak się będzie liczył z jej opinią?

Po jakimś czasie załatwi sprawę do końca.

- Kocham cię. - Aż się wzdrygnął, słysząc swój nienaturalnie zmieniony głos. Spłoszony, nerwowo zerknął w stronę kuchni. Nie, takie wyznanie w ogóle do niego nie pasuje. Z trudem przechodzi mu przez gardło. - Kocham cię - powtórzył, nie dając za wygraną.

Tym razem wziął głęboki oddech i poszło lepiej.

- Opowiedz mi o swoich kłopotach, a ja to jakoś załatwię i będziemy mieli spokój.

Prosto. Bezpośrednio. Z uczuciem. Ponoć kobiety lubią facetów, którzy gotowi są je wspierać. Dobry Boże! Czuję, że bez dużej whisky raczej przez to nie przebranie.

- Wiem, że jest środek nocy. - Camilla przytrzymała słuchawkę ramieniem i zerknęła na zegar kuchenny. Uwzględniając różnicę czasu, wyliczyła, że w Cordinie dochodzi pierwsza w nocy. Nic dziwnego, że zerwała Marian z łóżka.

- Nie ma sprawy - mruknęła tamta niechętnie. - W końcu ja przecież tylko spałam.

- Przepraszam, ale naprawdę muszę z kimś porozmawiać.

- W porządku. Pozwól mi tylko trochę oprzytomnieć. Wracasz do domu?

- Już niedługo. Obiecuję.

- Zawaliłaś pierwszą przymiarkę sukni. Krawcowa była naprawdę niezadowolona.

- Przymiarkę? - W pierwszej chwili w ogóle nie zrozumiała, o co chodzi. - Aha, tej na Jesienny Bal. Nic się nie stało, wciąż mamy dużo czasu. Marian, posłuchaj ... Jestem zakochana.

- Łatwo ci powiedzieć, ale gdybyś widziała minę tej kobiety i słyszała, jak zgrzyta zębami... Zaraz, zaraz, co ty mówisz?!

- Zakochałam się. To cudowne uczucie i najbardziej nieprawdopodobna rzecz, jaka mogła mnie kiedykolwiek spotkać. Marian, on jest ideałem. Co prawda jest strasznie irytujący, ale ja nawet to w nim lubię. Przy tym jest taki mądry i zabawny. I bardzo oddany pracy.

- Camillo...

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki jest przystojny! Ja wiem, że to nie jest najważniejsze, ale naprawdę miło jest pokochać kogoś, kto prócz ciekawej osobowości ma jeszcze wspaniałe ciało.

- Camillo...

- On też mnie kocha, wiesz? Dopiero zaczyna to sobie uświadamiać, więc pewnie zajmie mu trochę czasu, zanim...

- Camillo!

- Słucham?

- Kto to jest?

- Ach, to ten człowiek, u którego pracuję. Delaney Caine.

- Archeolog? Indiana Jones? I w nim się zadurzyłaś?

- Marian, daj spokój! Ja mówię poważnie.

- Dobrze, dobrze. A chociaż jest podobny do Indiany?

- Nie! No, może odrobinę. Ale nie w tym rzecz. To nie jest żaden film ani gra komputerowa, tylko moje życie. Ta miłość jest tym, czego pragnę. Czymś bardzo dobrym i prawdziwym.

- Domyślam się. Słyszę to w twoim głosie. I naprawdę z całego serca się cieszę. Kiedy go poznam?

- Tego jeszcze nie wiem - przyznała zaszępiła, nerwowo owijając kabel wokół palca. - Widzisz, na tym polega problem. Muszę mu jeszcze wszystko wyjaśnić...

- Wyjaśnić? - Po pytaniu zapadła długa cisza. - Chcesz przez to powiedzieć, że on nie wie, kim jesteś?

- Jeszcze nie. Skąd mogłam wiedzieć, że tak się to potoczy? Poza tym chciałam... - Urwała, słysząc za plecami kroki Dela.

- Jak mogłaś pozwolić, żeby sprawy zaszły tak daleko i nie powiedzieć mu prawdy? Jeśli ten człowiek cię kocha.

- Tego nie jestem pewna - szepnęła, przechodząc na francuski. - I nie chciałam wszystkiego komplikować.

Ponieważ Del wyszedł właśnie ze spiżarni z butelką whisky, zawiesiła głos. Czuła się bardzo niezręcznie, gdyż ani nie mogła rozłączyć się z Marian, ani poprosić go, by zostawił ją samą. Postanowiła więc kontynuować rozmowę po francusku, starając się przy tym, by jej głos brzmiał ciepło i naturalnie.

- Marian, ja także mam prawo do prywatności. Gdybym już na wstępie oznajmiła, z jakiej rodziny pochodzę, nie mogłabym tu zostać. A mnie przecież chodziło o to, żeby choć na kilka tygodni uwolnić się od Camilli de Cordina.

- Tylko że teraz wszystko wygląda inaczej.

- Wiem. I wiem również, że kiedy ludzie dowiedzą się, kim jestem, będę musiała stąd wyjechać. Chatę zaatakują hordy paparazzich i powtórzy się to, przed czym chciałam uciec.

- Myślisz, że on zawiadomi prasę?

- Ależ nie! Oczywiście, że nie! Marian, nie dzwonię, żeby się z tobą spierać. Postąpiłam tak, a nie inaczej, bo uznałam, że to jest dla mnie najlepsze wyjście z sytuacji -

tłumaczyła, zerkając przez ramię na Dela, który napełniał szklanę. - Tak czy owak, jakoś to załatwię.

- Camillo, jestem twoją przyjaciółką. Pamiętaj, że bardzo cię kocham i nie chcę, żebyś poczuła się zraniona czy wykorzystana.

- Nie bój się, nic podobnego się nie stanie. Powiedz rodzinie, że niedługo wracam.

- A co z krawcową? Camilla westchnęła ciężko.

- Poinformuj madame Monique, że Jej Księżęca Wysokość nie przyniesie jej wstydu podczas Jesiennego Balu. A teraz kładź się spać. Dobranoc, Marian.

Odłożyła słuchawkę i poszła do lodówki po coś zimnego do picia. Del bez słowa mieszał w szklance trunk.

- Chyba nie masz nic przeciwko temu, że skorzystałam z telefonu? - zagadnęła.

- Nie.

- Dzwoniłam na koszt odbiorcy.

- To dobrze, bo gdybym zobaczył na rachunku, że ktoś dzwonił stąd do Cordiny, pewnie dostałbym zawału.

- Niewykluczone. Ja... - Urwała w pół słowa. Dłoń, którą sięgała po napój, opadła jej bezwładnie.

- *Je parle francais aussi* - oznajmił, podnosząc do ust szklanę. - Wasza Księżęca Wysokość - dodał drwiąco, patrząc jej prosto w oczy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Czuła, jak krew odpływa jej z twarzy, a serce skacze do gardła. Kiedy w skroniach zaczęło się nieprzyjemne pulsowanie, odruchowo wyprostowała plecy i zaczerpnęła powietrza.

- Nigdy nie wspominałeś, że mówisz po francusku.

- Widocznie wyleciało mi z głowy - odparł. - Tak jak tobie fakt, że pochodzisz z rodziny książęcej. Człowiek łatwo zapomina o takich drobiazgach.

- Ja nigdy nie zapominam o swoim rodowodzie. Nie wolno mi. Delaney...

- Więc co to za farsa? - przerwał jej i zatoczył ręką szeroki łuk. - Czyżby nowa wersja księcia i żebraka? A może ekstrawaganckie wakacje, których główną atrakcją jest bratanie się z ludem?

- Przestań. Znasz mnie, więc nie możesz tak myśleć.

- Doprawdy? Zastanówmy się więc, co innego mogłoby przyjść mi do głowy? - Odkręcił butelkę i dolał sobie whisky. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego ma ochotę cisnąć szklanką o ścianę. - A może ukrywasz się przed kochankiem, który za szybko chciał się dobrać do rodowych skarbów?

- Jesteś niesprawiedliwy. Wiesz, że poza tobą nie mam nikogo innego?

- Fakt, ostatnio. Szkoda, że nie uprzedziłaś mnie, że spiam z księżniczką. To dodałoby naszym stosunkom pikanterii.

Nie chciała, by widział, jak drżą jej usta, więc zacisnęła je tak mocno, że zmieniły się w wąską, twardą linię.

- Teraz jesteś wobec mnie nieuprzejmy - syknęła.

- Domagasz się sprawiedliwości? Chcesz, żebym był uprzejmy? - Jego głos z łagodnego zmienił się w złowrogi. - No to wybrałaś sobie niewłaściwego faceta, siostrze. Wkurza mnie, jak ktoś robi ze mnie głupka.

- Nie mów tak! Nigdy nie miałam zamiaru...

- Żeby co? Oszczędź mi słuchania tych bzdur. Ty nigdy nie robisz tego, czego nie chcesz. Przyjechałaś tu, bo zachciało ci się udawać kogoś innego. A przy okazji zabawić się.

- To nieprawda! - zawołała. - Obrażasz nas oboje.

- Czujesz się obrażona? - Z wściekłością uderzył szklanką o stół. - Przychodzisz do mojego domu i udajesz kogoś, kim nie jesteś. Okłamujesz mnie. Opowiadasz bzdury o swojej rodzinie. Wiejska dziewczyna z Wirginii! Myślałby kto!

- Mój ojciec naprawdę ma tam farmę - wrzasnęła, próbując zagłuszyć strach. - Spędzam na niej co najmniej pół roku.

- A przez drugą połowę rezydujesz w pałacu. I nie trudno zgadnąć, że w diademie bardziej ci do twarzy niż w słomkowym kapeluszu.

- Tak. Nie! - W panice sama nie wiedziała, co mówi. - W Cordinie też mamy farmę. Moja matka...

- Ach, twoja „francuska” matka - zauważył z przekąsem.

- To ty mówisz o Francji. Ja mówiłam o Europie - próbowała się bronić, choć czuła, że to słaby argument. - Delaney, czy ty nie widzisz, że jestem tą samą osobą co dziesięć minut temu? Ja tylko pragnęłam prywatności...

- Prywatności? Chyba żartujesz. Przespałaś się ze mną. Właściwie to sama wlażałaś mi do łóżka. Szukałaś odmiany, bo znudził ci się seks w wykonaniu arystokratów. Czy przyznawałaś sobie dodatkowe punkty za każdego „zwykłego” faceta, którego udało ci się złapać w czasie tej małej wycieczki?

Poczuła, że ogarniają furia.

- Jak śmiesz! Jak możesz być tak podły i okrutny! Jak możesz zmieniać coś naprawdę pięknego w tanią, plugawą historię! Nie będę rozmawiać z tobą w ten sposób. I nie będę niczego wyjaśniać, dopóki się nie opamiętasz. A teraz odejdz.

- Hola, Wasza Wysokość! Nie jesteśmy w pałacu - rzucił ze złością, a kiedy chciała go ominąć, chwycił ją za ramię. - Nie zamierzam słuchać twoich rozkazów. Wykorzystałaś mnie!

- To nieprawda - szepnęła, czując napływające do oczu łzy. - A już na pewno nie w taki sposób, o jakim myślisz. Del, ja tylko chciałam odnaleźć swoje miejsce. Potrzebowałam czasu.

- A dostałaś dużo więcej, prawda? Zabawa się skończyła, księżniczko. Zwykle tłumaczenia nie wystarczą.

- Puść mnie - powiedziała chłodno. - Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Nie teraz. I proszę, żebyś mnie puścił.

- Ależ proszę bardzo! Idź i nie wracaj! Powiedzieliśmy już sobie wszystko, więc pakuj walizki i uciekaj, bo chyba tylko to potrafisz.

Ani wściekłość, ani piekący wstyd nie były w stanie zagłuszyć żalu, który chwycił ją za serce po tych słowach.

- Naprawdę mam odejść?

- Dostałaś to, czego chciałaś, prawda?

Ruszył do drzwi, a ona patrzyła za nim odrętwiała.

- Del! - zwołała łamiącym się głosem. - Proszę, nie rób mi tego. Ja cię kocham.

Niespodziewany ból na moment go ogłuszył. Otrząsnął się jednak szybko i odwrócił do niej z chłodnym uśmiechem.

- Łamiesz mi serce, siostró - warknął z drwiną. - Wiesz, co ci powiem? Poszukaj idioty, który ci uwierzy, a mnie zostaw w spokoju. Idź do diabła! - powiedział, akcentując każde słowo, a potem trzasnął drzwiami.

Ponad godzinę ciskał się po lesie, przeklinając w duchu kobietę, której nigdy nie powinien był spotkać. Potrzebował kolejnej godziny, by dzika furia przeszła w stłumioną złość.

Zakochała się w nim? Coś podobnego! Że też była na tyle bezczelna, by próbować na nim swoich tanich sztuczek. I jeszcze te łzy! Niewiele brakowało, a naprawdę zaczęłyby szlochać. Widział, na co się zanoszą i na szczęście zdążył wyjść, zanim to się stało. Nie znosił łkających kobiet.

Cóż, zastosowała wszystkie sztuczki. Wyciągała je jedną po drugiej, niczym magik króliki z kapelusza. A raczej z królewskiej korony. I po co to wszystko? Żeby przez parę tygodni móc bez przeszkód folgować swoim zachciankom? A niech ją! Kopciuszek na łonie natury!

Zatrzymał się i zaczął masować brzuch, w którym skupił się cały ból. Przez chwilę patrzył na jezioro, szukając w jego toni ukojenia i spokoju.

Kocham to miejsce, powiedziała. Wciąż słyszał jej słowa, widział radość na twarzy, gdy leżała obok niego na trawie. Widocznie kocha przyrodę. Wielkie rzeczy.

Czy nigdy nie czułeś, że musisz odetchnąć?

Przypomniał sobie, że kiedyś powiedziała coś takiego. Zdaje się, że pierwszego dnia. Stała obok niego bardzo spięta, ze zmęczoną twarzą. Zupełnie jakby balansowała na niewidocznej granicy i z całych sił walczyła o to, by minio wszystko utrzymać równowagę. W porządku, może i ma swoje problemy. Kto ich nie ma? To jednak nie tłumaczy sposobu, w jaki z nim postąpiła. Od samego początku stwarzała pozory, odgrywała przed nim żalosalną komedię. A co najgorsze, pozwoliła, by się w niej zakochał. Zastawiła na niego sidła i patrzyła, jak w nie wpada, choć dobrze wiedziała, że nie będzie dla niego ratunku.

Zapłaci mu za to.

Obrócił się na pięcie i poszedł w stronę chaty. Dobrze, najpierw wysłucha jej wyjaśnień. Co nie znaczy, że od razu w nie uwierzy. A potem...

Potem będzie się zastanawiał, co zrobić z tym fantem.

Szedł przed siebie ze spuszczoną głową, ze wzrokiem wbitym w czubki butów. Dlatego dopiero gdy stanął przed drzwiami, zorientował się, że nie ma samochodu Camilli. Przez ponad minutę wpatrywał się w ślady opon na zgniecionej trawie.

Potem jak burza wpadł do chaty i przeskakując po dwa stopnie pognął na górę. Zniknęły jej ubrania. Na wszelki wypadek przeszukał obie garderoby, bo przez moment miał nadzieję, że chcąc zagrać mu na nerwach, przeniosła swoje rzeczy do drugiego pokoju. Niestety. Zabrała nawet słóiczki i tubki z szafki w łazience.

Wściekły do tego stopnia, że zbierało mu się na płacz, przetrząsał chatę w poszukiwaniu listu. Bez skutku.

Mimo to nie mógł powiedzieć, że przepadła bez śladu. Zostały po niej pachnące świece, polne kwiaty w butelkach. Został jej zapach, unoszący się dosłownie wszędzie.

Więc to tak! Odeszła! Tylko dlatego, że kazał pakować jej walizki. Skoro nie potrafi znieść konfliktowej sytuacji...

Nie, nie tędy droga, pomyślał. Nie ma sensu tego roztrząsać. Lepiej powtarzać sobie, że odeszła do swojego świata tam, gdzie jej miejsce. A on zamiast wściekać się na nią, powinien natychmiast wracać do pracy. I cieszyć się, że wreszcie nie będzie mu w tym przeszkadzała.

Nerwowo przerzucił notatki i na chybił trafił wyciągnął ciasno zapisany arkusz papieru. Spojrzał nań, a potem cisnął w kąt i zasepiony usiadł na kanapie.

Wróci. W miarę jak w butelce ubywało whisky, rosła jego wiara, że tak się stanie. Zezłościła się na niego, ale przejdzie jej. Wszystkie kobiety lubią się dąsać. Nie to co on. Dwie godziny biegania po lesie są naturalnym sposobem zmanifestowania głębokiego wzburzenia. Przynajmniej się nie dąsał.

Następnego ranka obudził go paskudny kac. Czuł się wyjątkowo podle, ale i tak cały czas o niej myślał. Tyle że teraz wmówił sobie, iż wcale nie chce jej powrotu. Pragnął, by jego życie znowu wyglądało jak dawniej, zanim wlaźła w nie z butami i wszystko zepsuła. Nade wszystko jednak chciał się pozbyć tego żalosego poczucia straty, które prześladowało go od wczoraj. Przez nią!

Po dwóch dniach był tak rozdrażniony, że z byle powodu wpadał w złość. Jak mogła uciec, zanim zdążył jej wszystko wygarnąć! Cała ona. Tylko to potrafi. Unieść do góry brodę, prychnąć i odwrócić się plecami. Od razu powinien był rozpoznać te wielkopańskie maniery.

Jak trochę ochłonie i do niego wróci, dowie się, co on o niej myśli. Tylko dlaczego wciąż nie wraca?

Nie powinno go to obchodzić. Ma mnóstwo pracy i na tym musi się skoncentrować. A ona niech się dąsa Jej problem. Swoją drogą, on też nie musi siedzieć w Vermoncie. Może przecież wziąć parę niezbędnych rzeczy i pojechać na wykopaliska, gdzie jego miejsce.

Myśl o powrocie na Florydę obudziła kolejną falę goryczy, przypomniała mu bowiem, że chciał wziąć tam Camillę. Cieszył się, że będzie mógł pokazać jej stanowiska i patrzeć, jak w jej mądrych oczach budzi się zainteresowanie. Chciał, by razem pracowali nad programem, który od tak dawna był jego oczkiem w głowie. Pragnął dzielić z nią wszystko. I wprost nie mógł uwierzyć, że samo myślenie o tym może być tak bolesne.

Kiedy tak siedział pochłonięty niewesołymi myślami, usłyszał warkot silnika. Po chwili przed chatą zatrzymał się samochód. A jednak! Wiedział, że do niego wróci! To, co w tej chwili czuł, było przedziwną mieszaną radości, ulgi, żalu i złości. Podniecony, skoczył na równe nogi i jednym susem dopadł drzwi. Już miał je otworzyć mocnym szarpnięciem, gdy nagle przyszło mu do głowy, że źle robi. Nie powinien zachowywać się w ten sposób. Przecież nie może jak gdyby nigdy nic wybiec jej na powitanie. Nie po tym, co mu zrobiła. Postanowił, że wyjrzy na dwór, ot tak, zwyczajnie, by zobaczyć, kto przyjechał. A potem pozwoli się przeprosić.

Podbudowany własną roztropnością i wielkodusznością, spokojnie wyszedł na ganek - i serce w nim zamarło. To nie była Camilla.

- Niespodzianka! - zawołała Alice Caine i energicznie ruszyła w jego stronę.

Ubrana w znoszone terenowe buty i traperski kapelusz, spod którego wymykały się gęste kosmyki szpakowatych włosów, z daleka wyglądała jak dziewczyna. Zawdzięczała to szczupłej figurze, która nie zmieniła się od lat. Jej pokryta piegami i ogorzała od słońca twarz promieniała radością, gdy zbliżywszy się do syna, hałaśliwie pocałowała go w oba policzki.

- Niles! - zawołała, zwracając się do męża - zostaw te torby. Chłopak je przecież wniesie. Po co komu duży, silny syn, jeśli nie do pracy fizycznej? Del, jak tam twoje ramię? I cała reszta?

- Dobrze. Całkiem dobrze - mruknął oszołomiony.

- Nie spodziewałem się was...

- I o to chodziło. Inaczej nie byłoby niespodzianki - oznajmiła, zsuwając na czubek nosa ciemne okulary w drucianej oprawie. Uśmiech na moment nie zniknął z jej twarzy, mimo że dostrzegła wyraz rozczarowania w oczach Dela. - Masz kawę?

- Jasne. - Zawstydzony swoim zachowaniem, pochylił się i szybko pocałował matkę w policzek.

- Przejechaliśmy dziś trzysta piętnaście mil - mrucał pod nosem Niles Caine i skrętnie zapisywał coś w zniszczonym notesie. - Ha! Całkiem niezły czas! - ucieszył się.

Choć zbliżał się do siedemdziesiątki, wciąż był wysokim, postawnym i uderzająco przystojnym mężczyzną. Włosy dawno mu posiwiały, ale pozostały mocne i gęste. Piękne zielone oczy, identyczne jak oczy Dela, błyszczały na tle mocno opalonej, szczupłej twarzy. Doktor Caine pieczołowicie schował notes do kieszeni spranej koszuli i dopiero wtedy zamknął syna w niedźwiedzim uścisku.

- Jak ręka? - zagadnął.

- W porządku. Powiedz lepiej, jak wasze wykopaliska?

- Właśnie postanowiliśmy trochę od nich odpocząć - wtrąciła Alice. - Od czasu do czasu trzeba odświeżyć umysł - dodała, rzucając mężowi ostrzegawcze spojrzenie i nie czekając na zaproszenie, weszła do chaty. Po kilku krokach zatrzymała się jednak i kładąc dłonie na szczupłych biodrach, rozejrzała się uważnie. - Del, ty masz jakąś kobietę - zawyrokowała.

- Co takiego?

- Proszę, proszę. Kwiaty - powiedziała, ruchem głowy wskazując bukiety w butelkach.

- Pachnidła - dodała, pochylając się nad miseczką z potpourri. - Porządek.

- Przejechała palcem po kuchennym stole. - Ślady kobiety. Gdzie ona jest?

- Tu jej nie ma.

Aha, mruknęła domyślnie. Biedaczysko.

- Niles, mój bohaterze - zwróciła się do męża z przymilnym uśmiechem - nie skoczyłbyś do miasteczka po lody?

- Skoczyć do miasteczka? - Zdumiony doktor Caine spojrzał na żonę. - Przecież dopiero co przyjechaliśmy. Nawet nie zdążyłem usiąść.

- Posiedzisz sobie w samochodzie, jadąc po lody.

- Kobieto, czyś ty rozum straciła? Dlaczego nie powiedziałaś, że chce ci się lodów, jak tu jechaliśmy?

- Bo wtedy jeszcze mi się nie chciało - odparła rezolutnie. - Kup czekoladowe, dobrze? - Wspięła się na palce i pocałowała męża w wykrzywione ze złości usta.

- Mam wielką ochotę na czekoladę.

- Kobieto, puchu mamy, ty wietrzna istoto... - mruknął pod nosem i zrezygowany powlókł się do samochodu.

Ledwie zaniknęły się za nim drzwi, Alice rozsiadła się na kanapie. Położyła nogi na stoliku, po czym uśmiechnęła się ciepło i klepnąwszy miejsce obok siebie, skinęła na Dela.

- Siadaj, synu. Kawa może poczekać. Opowiedz mi o tej kobiecie.

- Nie ma o czym mówić. Była, ale się zmyła - burknął. - I dobrze, bo tylko mi przeszkadzała.

Zdziwaczały, zraniony niedźwiedź, pomyślała czule. Identyczny jak jego ojciec.

- Siadaj! - powtórzyła ostro. Dobrze wiedziała, jak postępować ze swoimi mężczyznami. - Mów, dlaczego cię zostawiła?

- Wcale mnie nie zostawiła. - Posłusznie usiadł obok matki. - Pracowała dla mnie, ale krótko.

Skupienie, z jakim Alice słuchała jego słów, sprawiło, że zdecydował się przed nią otworzyć.

- Tak naprawdę, to sam ją wygoniłem - przyznał.

- Ona jest zbyt dumna, żeby tak po prostu wrócić, a ja... Wcale jej tu nie potrzebuję.

- Dobrze, dobrze - mruknęła, głaszcząc go po głowie. - Opowiedz mamusi o tej strasznej babie.

- Przestań! - nastroszył się.

- Dobrze. Czekał, już wiem! Była brzydka, tak?

- Nie.

- To pewnie głupia.

- Nie - westchnął.

- Nie? A więc to jakaś tania cizia.

- Mamo! - Teraz już musiał się roześmiać.

- A więc o to chodzi! - Domyślnie pokiwała głową i poklepała go po udzie. - Jakaś tania cizia wykorzystała mojego słodkiego, dobrego i naiwnego chłopczyka. Już ja jej dam! Powiedz mamie, jak ona się nazywa? Znajdę ją choćby na końcu świata.

- Nie musisz chodzić tak daleko. - Uśmiechnął się półgębkiem. - Łatwo ją znaleźć. Ma na imię Camilla. Jej Książęca Wysokość Camilla de Cordina. Bóg mi świadkiem, że z chęcią skrzyłbym jej kark.

Alice zdjęła okulary i kapelusz. Rzuciwszy je na stół, powiedziała z powagą:

- Opowiedz mi o wszystkim.

Słuchała cierpliwie, obserwując, jak jej syn miota się między wściekłością a głuchym zalem. Często zrywał się z miejsca i zaczynał przemierzać izbę wielkimi krokami, jakby chciał dogonić własne myśli. Wyłaniający się z jego opisu obraz Camilli - oczywiście poza niepochlebnyimi uwagami o tym, jak bardzo jest irytująca i kłopotliwa - w większości

pokrywał się z jej własną opinią, którą wyrobiła sobie na podstawie uroczego listu, który zaledwie parę dni wcześniej otrzymała od Jej Wysokości Gabrielli de Cordina.

W kilku miłych i mądrych słowach księżna wyrażała swą wdzięczności za pomoc i gościnę, której Del udzielił jej córce. Przeczytawszy list, Alice nie była pewna, czy bardziej zdumiewa ją fakt, iż ktoś nazwał jej syna gościnnym, czy też to, że zachował się w tak nietypowy sposób wobec księżniczki.

Alice posiadała cenną umiejętność dostosowywania się do najbardziej zaskakujących sytuacji i zawsze wiedziała, co należy zrobić. Zaintrygowana treścią listu, bez wahania wyciągnęła męża z wykopalisk w samym sercu Arizony i kazała zawieźć się do domu, by na własne oczy zobaczyć, co się święci. Jej czujne, matczyne oczy natychmiast poznały, że jej syn jest zakochany po uszy.

Nareszcie, bo był ku temu najwyższy czas.

- No i odeszła - Del kończył swą opowieść. - Co w tej sytuacji jest bodaj najlepszym wyjściem.

- Zapewne - zgodziła się Alice. - To bardzo nierozsądne z jej strony, że nie była z tobą całkowicie szczerą. A przecież mogła, a nawet powinna była się na to zdobyć po tym, jak opowiedziałeś jej o swoim rodowodzie.

- Co takiego?

- Ja oczywiście rozumiem, że wicehrabia ma niższą pozycję niż księżę, ale uważam, że po tym, jak powiedziałeś jej prawdę o sobie, miała obowiązek zrewanżować się tym samym. - Widząc zaskoczenie na twarzy syna, uśmiechnęła się leciutko i ciągnęła: - Bo z pewnością powiedziałeś jej, że twój ociec jest hrabią Brigston, ty zaś nosisz tytuł wicehrabiego.

- Nie rozmawialiśmy o tym - przyznał niechętnie.

- Jakoś nie było okazji. Poza tym - dodał gniewnie - kogo dziś obchodzą takie bzdury? Przecież wiesz, że nie używam tytułu.

Chyba że masz w tym jakiś interes, pomyślała, patrząc na niego chłodno. Nie zamierzała jednak drążyć tematu. Uznała, że na dziś wystarczy. Ziarno niepokoju zostało posiane.

- Zdaje się, że wrócił ojciec - oznajmiła, wyglądając na podwórze. - Zjedzmy więc lody i napijmy się kawy.

Postanowiła dać Delowi dzień na przemyślenie sprawy. Częściowo dlatego, że znając go, wiedziała, że sam musi wszystko spokojnie przetrwać. Z drugiej zaś strony nie miała jeszcze pomysłu, jak go zawiadomić, że jest w kontakcie z matką Camilli.

- Obawiam się, że dopiero wtedy się zatnie - zasępiła się, wpatrzona w tańczący na wodzie splawik. - To byłoby w jego stylu.

Ponieważ jej małżonek zareagował jedynie niewyraźnym pomrukiem, czujnie zerknęła w jego stronę. A widząc, że jest pochłonięty czytaniem, odezwała się nieco głośniej:

- Niles, słuchaj, co mówię!

- Mhm... Słucham? Do diabła, Alice, nie widzisz, że pracuję?

- Tu chodzi o twojego syna.

- A dajże mu święty spokój! Dorosły mężczyzna sam załatwia swoje sprawy i nie potrzebuje, żeby ktoś się w nie wtrącał.

- Tak? To samo powiedziałeś mi jakieś trzydzieści trzy lata temu. I zobacz, co ci to dało.

- Ciebie. Chyba mam rację?

Uśmiechnęła się do swego odbicia w zielonkawej tafli. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, pomyślała. Obaj jej mężczyźni są jednakowo uparci.

Nim zdążyła zdecydować, w jaki sposób podejść do problemu, ten przestał istnieć. Stało się to za sprawą Dela, który wyszedł z zarośli, robiąc przy tym taki szum, że wypłoszył wszystkie ryby w promieniu dziesięciu mil.

- Mój zespół dokonał nowego odkrycia - zawołał triumfalnie.

- Świetnie. Szkoda tylko, że przez to nie zjemy na lunch ryby - odkrzyknęła, ale kiedy do niej podszedł, uściśnęła go na powitanie. - Kto i co znalazł?

- Nie znam szczegółów. Przed chwilą dzwonił z uniwersytetu. Muszę jechać na Florydę. Przepraszam, że was tu zostawiam, ale chcę tam jak najszybciej dotrzeć.

- Nie ma sprawy. - Matka uśmiechnęła się, klepiąc go po ramieniu. Już wiedziała, co powinna zrobić. Wszystko szło w dobrym kierunku. - Zadzwoń, jak dojedziesz.

- Oczywiście. Idę się pakować.

Tego samego wieczoru, gdy jej syn dostawał furii na wieść o tym, że jego program będzie kontynuowany dzięki zainteresowaniu młodej księżniczki, Alice zredagowała zgrabny list do Jej Księżęcej Wysokości, Gabrielli de Cordina.

W paru oficjalnych zdaniach zawiadamiała, że hrabia i hrabina Brigston oraz ich syn, lord Delaney, wicehrabia Brigston, z największą radością przyjmują zaproszenie na Jesienny Bal.

- To, co do mnie pisze, jest obraźliwe - oznajmiła Camilla i zde gustowana machnęła kartką, na której wydrukowała ostatnią wiadomość od Dela. - Nieuprzejme i obraźliwe, czyli takie jak on sam.

Gabriella przyjęła tę uwagę w milczeniu. Siedząc przed lustrem, wkładała kolczyki z pojedynczych pereł. Za chwilę miała powitać gości, których zaproszono do pozostania w pałacu przed i po balu.

- Czy ty nie przesadzasz, kochanie? - zapytała. - Moim zdaniem ta wiadomość jest całkiem neutralna - dodała.

Choć Camilla była w Cordinie już od miesiąca, nadal gwałtownie reagowała na każdą wzmiankę o Delu. Gabriella uznała ten fakt za wiele znaczący.

- Mówisz tak, bo go nie znasz - odparła Camilla.

- Zachowuje się nieznośnie. Píše do mnie w takim tonie, jakbym była jakąś księgową. Rozlicza się z każdego wydanego dolara i ani słowem nie wspomina o ostatnich znaleziskach. A przecież wie, że właśnie to interesuje mnie najbardziej. Tylko spójrz, jak się podpisał. Doktor Delaney Caine. Zupełnie jakbyśmy się nie znali. To obrzydliwe.

- Skoro tak twierdzisz... - Gabriella odwróciła się od toaletki. Włosy zaczesła gładko do tyłu, tak by nie zasłaniały twarzy, która zdaniem jej męża z biegiem lat stawała się coraz piękniejsza.

Rzecz jasna, nie wierzyła tym pochlebstwom, ale miło było usłyszeć takie słowa od kochanego mężczyzny.

- Jestem pewna, że Del jest ci wdzięczny za finansowe wsparcie - powiedziała, patrząc na córkę z powagą. Jej oczy miały ten sam złotawy odcień co oczy Camilli.

- Pamiętaj, że rozstaliście się w burzliwy i przykry sposób. Jestem pewna, że Del czuje się teraz niezręcznie.

- Słusznie. Powinien tak się czuć. Powinien wiedzieć, jak bardzo jest mały i żaloszny - powiedziała z pasją. Przez chwilę nerwowo krążyła po pokoju matki, by w końcu stanąć przy oknie, z którego roztaczał się wspaniały widok na pałacowe ogrody, odcinające się intensywną zielenią od szafirowego morza. - Zresztą to nie ze względu na niego zaczęłam zbierać fundusze. Chodziło mi wyłącznie o program. Uważam te odkrycia za wyjątkowo cenne, dlatego zrobię wszystko, aby prace zostały ukończone.

Gabriella spojrzała na córkę kątem oka. Czas płynął, a jej zainteresowanie archeologią wcale nie słabło. Wręcz przeciwnie, jakby przybierało na sile. Godzinami przeglądała książki i publikacje, pojechała na uniwersytet, by spotkać się ze specjalistami w tej dziedzinie.

Przy tym wszystkim nie zaniedbywała obowiązków. Gabriella wolałaby nawet, by Camilla była trochę mniej sumienna. Gdy jej córka wyruszyła w swoją podróż, pomimo niepokoju była na swój sposób zadowolona z jej decyzji. A kiedy okazało się, że jej mała dziewczynka wróciła do domu ze złamanym sercem, cierpiała razem z nią. Wtedy w pełni

doceniła fakt, iż ma z córką na tyle dobre relacje, że ta nie waha się jej zaufać i opowiedzieć o tym, że zakochała się w Delaneyu. Gabriella doskonale wiedziała, że nic tak nie pomaga nieszczęśliwej kobiecie, jak szczerza rozmowa z drugą kobietą.

Choć martwiła się, widząc, jak Camilla cierpi, cieszyło ją, że córka jest stała w uczuciach. Nadal kochała Dela. Dlatego Gabriella postanowiła zrobić wszystko, by Camilla dostała to, czego pragnie. Nawet za cenę drobnej, naprawdę drobnej, powtórzyła, uspokajając własne sumienie, intrygi.

Wstała z fotela i podeszła do córki. Pocałowała ją w głowę i kładąc dłonie na jej ramionach, rzekła ciepło:

- Miłość nie zawsze jest uprzejma.

- On mnie nie kocha! - oznajmiła Camilla twardo. - Mamo, gdybyś wiedziała, z jaką pogardą na mnie patrzył. Usunął mnie z drogi z taką bezwzględnością, z jaką porządny człowiek nie potraktowałby nawet bezdomnego psa.

I kiedyś za to odpowie, pomyślała Gabriella gniewnie. Miała nadzieję, że już niedługo jej córka sama się przekona, jak bardzo Del żałuje swego postępuku.

- Musisz pamiętać, że nie byłeś z nim szczerza - przypomniała.

- Za to próbowałam być uczciwa wobec samej siebie. Być może postąpiłam źle, ale w takim przypadku powinnam dostać szansę... Zresztą nieważne. - Wyprostowała się. - Ja mam swoje życie i obowiązki, on ma swoje. Chciałabym mieć już za sobą ten cały bal.

- Rozumiem cię. Niecierpliwisz się, bo zaraz po tym masz jechać na swoje pierwsze wykopaliska.

- Cały czas o tym myślę - przyznała. Złożyła list od Dela i odsunęła na bok. To samo pragnęła zrobić z myślami o nim. - Wyobrażasz sobie, że studiuję we Francji znaleziska pochodzące z dolnego paleolitu? Doktor Lesuer był dla mnie taki miły. Zgodził się przyjąć mnie do zespołu i jestem pewna, że wiele się od niego nauczę. Na razie jednak muszę skupić się na teraźniejszości. Jestem już trochę spóźniona. Wiesz, że za parę godzin przyjeżdża tu Sarah Lattimer? Chyba ci o niej wspominałam? To ta dziewczyna z antykwariatu...

- Tak, pamiętam. Chętnie ją poznam.

- Zależy mi na tym, żeby spędziła u nas niezapomniane dni.

- Na pewno wszystko się uda. Chcę, żebyś przywitała ze mną gości, którzy przybyli do Cordiny na moje osobiste zaproszenie. To hrabia i hrabina Brigston oraz ich syn. Za pół godziny przyjmę ich z złotym salonie.

- A czy Adrienne nie mogłaby mnie zastąpić?

- Nie sędę. Jest teraz z dziećmi. Obiecuję, że wszystko nie potrwa dłużej niż kwadras.

- Świetnie. Do zobaczenia za pół godziny - powiedziała, zbierając się do wyjścia. Zawróciła jednak spod drzwi i sięgnęła po list od Dela. - Schowam to do kartoteki - mruknęła, po czym pospiesznie odeszła do swoich zajęć.

Dokładnie dwadzieścia dziewięć minut później zbiegła pospiesznie głównymi schodami. Po drodze mijala mnóstwo zapracowanej służby, co oznaczało, że przygotowania do balu idą pełną parą. Majordomus dwoił się i troił, by dopilnować wszystkich szczegółów. A gdyby przypadkiem jakiś przeoczył, na pewno nie umknąłby on sokolemu wzrokowi ciotki Eve.

Jej Książęca Wysokość Eve de Cordina była panią pałacu i wierną towarzyszką swego męża, który po śmierci księcia Armanda wziął na siebie ciężar rządzenia państwem. Zawsze wspierała go dobrą radą, bo żywo obchodziły ją sprawy państwowe i potrafiła ustosunkować się do każdej kwestii. Eve dzieliła swój czas pomiędzy obowiązki oficjalne i te związane z jej karierą zawodową. Prowadzony przez nią zespół teatralny, Hamilton Company, cieszył się w świecie opinią jednego z najlepszych, ona zaś sama uchodziła za niezwykle utalentowaną dramatopisarkę.

Camilla często myślała o tym, że jej ciotka jest najlepszym przykładem tego, iż mądra, ambitna i pracowita kobieta może osiągnąć wszystko. Nawet przybyć dość punktualnie na powitanie gości, i to mimo bardzo napiętego planu dnia.

Zbliżała się już do podnóża schodów, gdy z dołu ruszył szybko w jej stronę mężczyzna przystojny jak grzech. Kiedy się zrównali, poczuła bijący od niego zapach koni.

- Dokąd tak się spieszysz? - zawołał, łapiąc ją za ramiona.

- Bennett! Nie wiedziałam, że już wujek przyjechał - roześmiała się, całując w policzek młodszego brata swej matki. - Czuję, że zdążyłeś odwiedzić stajnie.

- Jakże by inaczej. Dzieciaki jeszcze tam zostały. Proszę, proszę - powiedział, dotykając jej krótkich włosów. - Bardzo korzystna odmiana - pochwalił.

- Jak się wujkowi udała podróż do Anglii?

- Bardzo dobrze. Znalazłem odpowiednią klacz dla mojego ogiera.

- Chętnie ją obejrzę, ale później. Jestem już spóźniona.

- Powiedz mi, co to za Amerykanin, któremu trzeba porządnie skopać tyłek?

Camilla wzniosła oczy do nieba.

- Rozmawiał wujek z ojcem.

- Spotkałem go w drodze do stajni. Powiedziałem, że zawsze może na mnie liczyć. Z chęcią potrzymam mu marynarke.

- Myślę, że nic z tego nie wyjdzie. Tyłek, który ojciec tak bardzo chce skopać, jest w tej chwili poza zasięgiem. I tak już pewnie zostanie. *A bientôt.*

- Ale przecież... - Nim zdumiony Bennett zdążył dokończyć, Camilla pobiegła dalej. Patrząc za nią, pomyślał sobie, że ktoś tu ma nieaktualne wiadomości.

Idąc na górę, uśmiechnął się do siebie. Reeve MacGee na pewno będzie doskonale poinformowany.

Camilla uznała, że nie wypada biec truchcikiem, zwolniła więc i ruszyła przed siebie dostojnym, choć nadal szybkim krokiem. Nie znosiła się spóźniać.

Niestety, kiedy dotarła pod drzwi złotego salonu, było już sześć minut po czasie. Ze środka dobiegał szmer głosów, dała więc sobie jeszcze parę sekund na wyrównanie oddechu i wygładzenie sukni. Poprawiła włosy, odetchnęła głęboko i z uprzejmym uśmiechem na ustach weszła do salonu.

Księżna Gabriella nalewała właśnie herbatę do filiżanek z miśnieńskiej porcelany. Naprzeciw niej siedzieli dwójce ludzi z średnim wiekiem. Camilla od razu zwróciła uwagę na kobietę. Co za intrygująca powierzchowność, przemknęło jej przez myśl. Nietypowa uroda połączona z zamierzoną niedbałością stroju tworzyła niezwykle ciekawą całość. Wprawdzie nieco bezkształtny tweedowy kostium nie mógł uchodzić za ostatni krzyk mody, ale pasował do osoby, która go nosiła.

Na widok Camilli mężczyzna wstał i uklonił się. Natychmiast zaczęła przeproszać za spóźnienie, lecz po chwili głos uwiązał jej w gardle. Ze zdumieniem odkryła bowiem, że stojący przed nią człowiek jest starszą i nieco szlachetniejszą wersją Dela. To niedopuszczalne, pomyślała ze złością. Musi zapomnieć o tym mężczyźnie. Już chyba całkiem z nią źle, skoro widzi go nawet w osobie dostojnego angielskiego hrabiego.

- Camillo, oto hrabia i hrabina Brigston. Milordzie i lady Brigston, to moja córka, Camilla de Cordina.

- Witam państwa. Jeszcze raz przeproszam, że musieli państwo na mnie czekać. Bardzo proszę, niech państwo siadają. Jak minęła podróż?

- Dziękuję, doskonale. Cieszymy się, że możemy poznać Cordinę. - Alice wykonała przepisowy ukłon, po czym uściśnęła dłoń Camilli. - Pozwoli pani, że przedstawię naszego syna. Oto Lord Delaney, wicehrabia Brigston.

Widząc Dela idącego ku niej od strony wysokiego okna, Camilla poczuła w głowie straszny zamęt. Jej serce zaczęło bić jak oszalałe. Najpierw z radości, że wreszcie go widzi, potem ze zdziwienia. A w końcu ze złości.

Wicehrabia Brigston, powtórzyła w myślach. O co tu chodzi? Jakim cudem amerykański naukowiec przedzierzgnął się w angielskiego arystokratę? Ten to ma tupet!

Skinęła mu oficjalnie głowę.

- Milordzie - rzekła lodowato.

- Madame - odparł i z wyraźną niechęcią pochylił się, by pocałować dłoń, którą mu podała.

Jakoś to przetrwała. Była zbyt dumna, zbyt dobrze wychowana, by się wycofać. Ale pół godziny, które spędziła w jego towarzystwie, stanowiło prawdziwą torturę. Mimo to trzymała się dzielnie i brała udział w rozmowie. Czego nie można powiedzieć o wicehrabim, pomyślała z mroczną satysfakcją. Del prawie się nie odzywał, a jeśli już coś burknął, to były to ledwie zrozumiałe monosylaby.

Tylko czy musi być taki przystojny? Postawny, elegancki, męski? Garnitur i krawat powinny go zmienić, wygładzić, pomniejszyć. Nic takiego się nie stało.

- Mój syn - odezwała się w pewnej chwili Alice - jest pani ogromnie wdzięczny za utworzenie fundacji na rzecz programu Bardville'a. Prawda, Del?

- Owszem - odrzekł chłodno, wierząc się w fotelu.

- Zresztą drogą listowną wyraziłem już wdzięczność własną i całego zespołu. Przesłałem też finansowe sprawozdanie.

- To prawda. Nie dalej jak tego ranka otrzymałam jeden z pańskich... listów, lordzie Delaney - potwierdziła z uśmiechem, który nie objął jej oczu. - Jakie to dziwne, że nie wspomniał pan nawet słowem o przyjeździe do Cordiny.

Nie wspomniał, bo gdyby miał jakiś wybór, na pewno by go tu nie było. Niestety, w jego matkę wstąpił diabeł i tropiła go jak wilczyca, by w końcu za uszy zaciągnąć do samolotu.

- Do ostatniej chwili nie miałem pewności, czy napięty grafik pozwoli mi na tę podróż.

- Tym bardziej cieszymy się, że jest pan tu z nami - wtrąciła Gabriella. Postanowiła interweniować, gdyż gniewne błyski w oczach Camilli nie wróżyły niczego dobrego. Wiedziała, że gdy jej córka wpadnie w złość, staje się nieprzyjemna i popędliwa. - Oboje z mężem pragniemy podziękować panu za pomoc, jakiej udzielił pan Camilli. Wiemy, że

znalazła schronienie pod pańskim gościnnym dachem w Vermoncie, który jest ponoć jednym z najpiękniejszych zakątków Ameryki. Żałuję, że nie miałam okazji zwiedzić tego stanu.

Gabriella mogłaby śmiało zagrać w orła i reszkę o to, kto jest bardziej zaskoczony, księżniczka czy wicehrabia. Na jej swobodną wzmiankę o tym, że poznali się już wcześniej, oboje zareagowali spłoszonym spojrzeniem i wyrazem osłupienia na twarzach. Tymczasem ona spokojnie piła herbatę i, obserwując ich znad brzegu filiżanki, zastanawiała się, jak długo wytrzymają w roli uprzejmych nieznajomych.

- Dzięki panu Camilla żywo zainteresowała się archeologią - zwróciła się do Dela. - To wielka radość dla matki widzieć dziecko tak czymś przejęte.

- Tak jak dla dziecka dać matce powód do radości - rzekła Camilla z uśmiechem, w którym tylko Gabriella dopatrzyła się sarkazmu. - Co za... ciekawa niespodzianka, że zaprosiła mama lorda Delaneya i jego rodziców i nie wspomniała mi o tym słowem.

- Zrobiłam to świadomie. Mam nadzieję, że pokażesz gościom, czym jest nasza słynna gościnność - odparła Gabriella.

- Naturalnie, mam. Z największą chęcią zrewanżuję się lordowi Delaneyowi za... wszystko, co dla mnie zrobił.

- Domyślam się, że chcą państwo odpocząć po podróży - zwróciła się Gabriella do Nilesa i Alice. - A ty, Camillo, oprowadź lorda Delaneya po ogrodach.

- Nie jestem... - zaczął Del, ale widząc morderczy wzrok matki, zagryzł usta. - Nie chcę odciągać pani od zajęć - dodał po chwili.

- Proszę mi wierzyć, że to żaden kłopot. - Gabriella położyła dłoń na ramieniu córki i uścisnęła ją znacząco.

Camilla zrozumiała, że jest w sytuacji bez wyjścia. Zebrała się więc w sobie, a gdy Gabriella oraz rodzice Delaneya opuścili salon, wstała i spojrzała mu prosto w oczy.

- Po pierwsze - odezwała się urzędowym tonem - chcę, żebyś miał całkowitą jasność co do tego, że nie wiedziałam o tym, że tu będziesz. A gdybym wiedziała, zrobiłabym wszystko, żeby nie wziąć udziału w tym spotkaniu.

- Jasne. Ja zaś, gdybym mógł uniknąć tej podróży, na pewno bym tu nie przyjechał. Możesz mi wierzyć.

- Po drugie - ciągnęła, nie zmieniając intonacji - nie mam najmniejszej ochoty oprowadzać cię po ogrodach, tak jak ty nie masz ochoty ich oglądać. Ponieważ jednak nie chcę denerwować matki i twoich rodziców, proponuję, żebyśmy załatwili to w dziesięć minut. Myślę, że wytrzymamy ze sobą przez tak krótki czas. Milordzie... - zawiesiła głos.

- Nie zaczynaj ze mną - ostrzegł ją, wstając, ale nie zamierzała go słuchać. Nie czekając na niego, ruszyła przodem, więc mówił do jej pleców.

Wcisnął ręce do kieszeni spodni i poszedł za nią w stronę drzwi prowadzących na taras. Po drodze myślał posępnie, że czekają go najdłuższe cztery dni w życiu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Na trzecim piętrze skrzydła przeznaczonego dla gości Alice zatrzymała się przed drzwiami apartamentu, który wyznaczono jej rodzinie. Uznała, iż nadeszła pora, by przekonać się, czy jej pierwsze wrażenie o Gabrielli jest trafne.

- Madame, czy mogłaby pani poświęcić mi kilka minut?

- Oczywiście. - Gabriella od początku zastanawiała się, w jaki sposób porozmawiać na osobności z Alice. - Zapraszam do mojego prywatnego salonu. Tam nikt nam nie przeszkodzi.

Poprowadziła Alice przez korytarze, opowiadając po drodze o historii pałacu i znajdujących się w nim dziełach sztuki. Utrzymała ten niezobowiązujący ton do chwili, gdy znalazły się za zamkniętymi drzwiami przytulnego saloniku urządzonego w różu i błękitach.

- Czy mogę zaproponować pani coś do picia?

- Nie, dziękuję - rzekła Alice, siadając w fotelu. - Widzę, że obydwie jesteście świadome, co wydarzyło się pomiędzy naszymi dziećmi. I wiemy, w jak przykry sposób zakończyła się ich znajomość.

- Tak. Pani syn wykazał wielką uprzejmość, udzielając mojej córce schronienia.

- Wybaczy pani, ale to... nonsens. Del nie zrobił tego z wrodzonej uprzejmości, a jeśli nawet, to nie wyłącznie. On nie jest niezycliwy, tylko dumny.

Gabriella poprawiła się w fotelu.

- Lady Brigston... Alice - odezwała się ciepło, zadowolona, że jej opinia o tej kobiecie okazuje się trafna. - Nie miałam pewności, czy dobrze robię, zapraszając państwa bez wiedzy Camilli. I nie wspominając jej arystokratycznym pochodzeniu pani syna. Miałam wszakże swoje powody. Po pierwsze, chciałam dać jej czas, aby dobrze rozeznała się w swoich uczuciach. Po drugie, chciałam na własne oczy zobaczyć, jak zareaguje, gdy znowu ujrzy Delaneyę. Dziś wiem, że postąpiłam właściwie.

- Pani też zauważyła, jak na siebie patrzyli. Oczywiście, zanim przypomnieli sobie o dawnych urazach.

- Tak, ja też widziałam to spojrzenie. Kochają się, ale nie potrafią zapomnieć o zranionej dumie.

- W przypadku Dela to nie tylko duma. Jest bardzo podobny do ojca. Niech mu ktoś podrzuci kilka starych kości, a godzinami będzie mówił o kobiecie, do której należały przed trzema tysiącami lat. Za to z kobietą z krwi i kości w ogóle nie umie postępować. Staje się bezradny jak dziecko. Problem nie w tym, że jest głupi, madame, ale...

- Mówmy sobie po imieniu - zaproponowała Gabriella Alice wzięła głębszy oddech i poprawiła się w fotelu.

Podobnie jak Del znała wymogi dworskiego protokołu i podobnie jak on, uważała je za trochę nedorzeczne. Dlatego bardzo ucieszył ją fakt, że Jej Książęca Wysokość nie jest zwolenniczką sztywnych reguł.

- A więc Gabriello - podjęła po chwili - jak mówiłam, Del nie jest głupi. To po prostu nieodrodny Caine.

- Nie lubię się wtrącać w sprawy moich dzieci - zauważyła Gabriella.

- Ani ja. Zasadniczo...

Milczały przez chwilę, po czym uśmiechnęły się do siebie.

- Co powiesz na kieliszek brandy? - zapytała Gabriella.

Alice skinęła głową.

- Czemu nie?

Pomyślała przy tym, że dobrze jest ujrzeć wybrankę syna w oczach jej matki. I polubić je obie. Gabriella sięgnęła po karafkę i rozlała trunku do kieliszków.

- Mam pewien pomysł - oznajmiła, podając Alice kieliszek - który pozwoli uniknąć bezpośredniej ingerencji, lecz na pewno pomoże naszej wspólnej sprawie. Moi synowie nazywają to „podwójnym kryciem”.

- Ciekawe. Zamieniam się w słuch.

Po dziesięciu minutach Alice z aprobatą skinęła głową.

- Podoba mi się twój styl. Myślę, że to dobrze, skoro mamy zostać teściami.

Kiedy z ogrodów dobiegł czyjś podniesiony głos, zerknęła w stronę uchylonego okna.

- To Del. Kiedy się zezłości, ryczy jak tur.

Obie jednocześnie podniosły się z miejsc i wyszły na balkon. Tam wzięły się pod rękę i spojrzały na swoje dzieci.

- Kłóć się - szepnęła Gabriella z przejęciem.

- Świetnie. Nie sądzisz?

- Nie powinniśmy podsłuchiwać.

- Niczego takiego nie robimy. Wyszliśmy na balkon zaczerpnąć powietrza. To nie nasza wina, że na siebie wrzeszczą.

- Masz rację. - Gabriella przechyliła się nieco przez balustradę, lecz w tej samej chwili usłyszała, że ktoś otwiera, a potem z hukiem zamyka drzwi do salonu.

- Czy ten dureń Caine już tu jest? Zażenowana Gabriella przymknęła oczy. Otworzyła je dopiero wtedy, gdy w balkonowych drzwiach stanął jej mąż.

- Reeve... - szepnęła.

- Domyślam się, że mam przyjemność poznać ojca Camilli. - Rozbawiona Alice wysunęła się naprzód i wymieniała z nim mocny uścisk dłoni. - Jestem matką durnia, o którym pan wspomniał. Ja i pańska żona właśnie udajemy, że wcale nie podsłuchujemy, jak nasze dzieci wrzeszczą na siebie. Przyłączy się pan do nas?

Reeve nie odezwał się słowem i tylko patrzył, jak jego żona wybucha bezradnym śmiechem.

- A, do diabła z tym! - Tylko na taki komentarz potrafił się zdobyć.

Nie miała zamiaru wdawać się w dyskusje. Mało tego, obiecała sobie, że nie da się sprowokować. Dureń, myślała kąśliwie, oprowadzając go po ogrodach w takim tempie, jakby zaliczali bieg. Gdy dotarli do rosarium, zarzuciła go informacjami na temat odmian znajdujących się w uprawie.

- Nie obchodzą mnie róże.

- Rozumiem. Wobec tego proponuję, żebyśmy zwiedzili tarasy. Jest tam zwłaszcza jeden wyjątkowej urody zakątek...

- Przestań! - Chwycił ją za ramię i zmusił, by na niego spojrzała.

- Nie dostał pan pozwolenia, aby mnie dotykać. Sir!

- Powiedz to temu, kto cię nie widział nago.

Blade rumieńce wypłynęły na jej policzki, lecz głos wciąż miała spokojny.

- Nie życzę sobie, aby mi przypominano o błędach przeszłości.

- Więc tym jest dla ciebie nasza historia? Błędem przeszłości...

- To tyją zakończyłeś.

- A ty uciekłaś.

- Bo mi kazałeś odejść.

- Myślałby kto, że tak chętnie robisz to, co ci powiem. Gdybyś od początku była ze mną szczerą...

- I ty masz czelność to mówić? - syknęła i wyszarpnęła się z jego uścisku. - Oczekuje pan szczerości, milordzie?

Teraz on się zaczerwienił.

- Mój tytuł nie ma tu nic do rzeczy. Nie wspominałem ci również o tym, że w wieku dziesięciu lat chorowałem na ospę.

- Szlachecki tytuł to nie wysypka.

- Zgoda. To coś, co odziedziczyłem po ojcu, a co nie ma wpływu...

- Aha! - przerwała mu ostro. - Tytuły i rodowody są bez znaczenia, o ile należą do ciebie. Z moimi sprawa ma się całkiem inaczej. Ty durny osle!

- Uważaj, co mówisz! - warknął. - Dobrze wiesz, że w twoim przypadku sprawa ma się inaczej. Ja nie myślę o sobie jak o arystokracji. Nie używam tytułu, najczęściej w ogóle nie pamiętam, że go mam. I nie mieszkam w pałacu...

- Ja też nie! Mieszkam na farmie, o, tu jest dom mojego wuja. Mówisz, że najczęściej wcale nie pamiętasz o tytule. Ja nie mogę pozwolić sobie na taki luksus.

Muszę pamiętać o swoim rodowodzie w dzień i w nocy. Wtedy, kiedy występuję publicznie, i w sytuacjach prywatnych. Pragnęłam wykraść dla siebie trochę czasu, żeby choć przez tydzień zakosztować życia, które dla ciebie jest czymś oczywistym. Tęskniłam do wolności. I zdobyłam ją - mówiła z pasją. - Nieważne, czy zrobiłam źle, czy dobrze. Wiem, że musiałam tak postąpić, gdyż obawiałam się, że w przeciwnym razie...

- Czego się obawiałaś?

- To już bez znaczenia. Problem przestał istnieć. Przyjmijmy że nasze spotkanie w tamtą burzliwą noc było pechowym zbiegiem okoliczności - wyrzuciła z siebie jednym tchem, po czym szybko się opanowała. - Nie zamierzam kompromitować dłużej mojej rodziny haniebną awanturą z oficjalnym gościem. Proponuję, żebyśmy przez czas twojego pobytu w pałacu schodzili sobie z drogi - oznajmiła. - To wszystko, co mam ci do powiedzenia.

- Cóż za gościnność. W stylu Cordiny! Poruszona do granic tą cyniczną uwagą, obróciła się ku niemu z ogniem w oczach.

- Moja matka... - zaczęła, krztusząc się ze złości. Moja matka zaprosiła ciebie i twoich rodziców do naszej ojczyzny, przyjęła was pod dach domu swojego brata. Możesz być pewien, że w sytuacjach oficjalnych będę się do was odnosiła z należnym szacunkiem. Ale prywatnie... - Obelga, którą wyszeptwała przez zaciśnięte zęby, bardziej pasowała do rynsztoka niż ogrodu. Słyszając ją, Del uniósł lekko brwi.

- Wasza Wysokość, co za elokwencja...

- Dość tego. Uznaję rozmowę za zakończoną.

- Natomiast ja, siostrze, wciąż mam ci mnóstwo do powiedzenia.

Ton jego głosu i znajomy zwrot sprawiły, że poczuła przykry ucisk w gardle, a do oczu napłynęły jej łzy. Czym prędzej odwróciła głowę i usiłowała się nie rozplakać.

- Może pan odejść, sir.

- Wypchaj się! - syknął zniecierpliwiony i mocnym szarpnięciem zmusił ją, żeby stanęła z nim twarzą w twarz. Kiedy zaś spojrział w jej szkliste oczy, zamarł. - Co ty wyprawiasz? - bąknął. - Przestań. Jeśli ci się wydaje, że łzami zmusisz mnie, żebym poczuł

się jak kanalia, to się mylisz - oznajmił butnie, ale na wszelki wypadek zaczął przeszukiwać kieszenie. - Posłuchaj... Boże, nawet nie mam chusteczki, więc lepiej przestań.

- Odejdź! - Kiedy po jej policzku potoczyła się pierwszą łza, poczuła się równie niezręcznie jak on. - Wracaj do pałacu albo do Ameryki. Albo idź do diabła. Wszystko jedno, bylebyś zszedł mi z oczu.

- Camillo... - Przejęty tak bardzo, że zapomniał o złości, zrobił krok w jej stronę.

- Wasza Wysokość... - Marian, oficjalna z uwagi na obecność gościa, a jednocześnie umierająca z ciekawości, wysunęła się zza gęstych krzewów i stanęła na ścieżce parę metrów od nich. - Nie chciałabym przeszkadzać, ale właśnie przyjechała panna Lattimer.

- Sarah? - Zaskoczony Del spojrzał pytająco na Camillę. - Zaprosiłaś ją do siebie?

- Owszem. Marian, wróć teraz do pałacu, a ty, jeśli możesz, zaprowadź lorda Delaney'a do jego pokoi lub tam, dokąd zechce pójść. Pan wybaczy, milordzie.

- Milordzie? - Marian przyglądała mu się z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony miała ochotę wdeptać go w ziemię za to, że tak boleśnie zranił jej najdroższą przyjaciółkę. Gdy jednak ujrzała jego nieszczęśliwą minę, nie potrafiła mu nie współczuć. - Życzy pan sobie zobaczyć dalsze ogrody?

- Nie, bardzo dziękuję. Chyba że pokaże mi pani staw albo fontannę, w której mógłbym zmoczyć głowę.

Marion uśmiechnęła się lekko.

- Z przyjemnością spełnimy pańskie życzenie.

Zastanawiał się, czy wyjeżdżając z Cordiny, nie wyświadczy komuś przysługi. Matka będzie wściekła, ojciec zakłopotany, ale za to Camilla odetchnie z ulgą. Sobie samemu również oszczędzi przykrości. Przynajmniej nie będzie musiał codziennie na nią patrzeć i przypominać sobie, jak to było, gdy mieszkali w chacie. Ot, choćby tego, jak ubrana w dzinsy i podkoszulek smażyła mu jajecznicę. Swoją drogą Camilla, którą teraz widział, w niczym nie przypominała tamtej.

Była elegancka i olśniewająca jak brylanty, które nosiła w uszach. Próbował wmówić sobie, że jest tak jak one zimna.

Po długich przemyśleniach doszedł do wniosku, że jednak nie wyjedzie. Nie pozwoli się przegnać, nie ucieknie tak jak ona. Zostanie choćby tylko po to, by pokazać jej, co to znaczy mieć charakter. Nie chce, by wchodził jej w drogę, więc będzie się trzymał z daleka. W tym olbrzymim pałacu nie jest to trudne. Poza tym musiał przyznać, że w jakiś przedziwny sposób naprawdę dobrze się tu czuł. Nawet polubił jej braci i kuzynów. Gdy ich obserwował, młodych, przystojnych, eleganckich, myślał o sforcie baraszkujących wilków. Jako jednak,

nie miał pojęcia, czym jest duża, hałaśliwa rodzina. A oni, razem ze swymi tytułami i wielkoświatowym szykiem, właśnie tym byli. Rodziną. Na dodatek bardzo zżytą.

Kilku z nich namówiło go na wyprawę do stajni. Ledwie przyznał się im, że umie jeździć konno, już siedział w siodle. Właśnie wtedy poznał księcia Aleksandra, władcę Cordiny, a także jego brata, księcia Bennetta Reeve'a MacGee, ojca Camilli.

- Sir. - Jeden z młodych książąt, zdaje się, że Dorian, dokonał oficjalnej prezentacji.

Del poprawił się w siodle. Oczywiście uczono go dworskiej etykiety, ale minęły lata, kiedy ostatni raz musiał stosować się do jej wymogów. Nie spodobało mu się ani to, że musi teraz odgrzebywać zapomnianą wiedzę, ani fakt, że prześwietlają go na wylot trzy pary czujnych, chłodnych oczu.

- Witamy w Cordinie, lordzie Brigston - odezwał się Aleksander powściągliwie. I pod naszym dachem.

- Dziękuję, sir. - Del wykonał coś, to od biedy mogło uchodzić za elegancki ukłon, zepsuty przez płochliwość konia.

- Cieszymy się, że możemy pana gościć i na swój sposób odplacić panu za gościnność okazaną naszej siostrzenicy. - Uprzejme słowa podszyte były lekkim, ale wyczuwalnym sarkazmem, o który Aleksander specjalnie się postarał.

- Pański wierzchowiec chce się wyhasać - zauważył Bennett, ogarnięty niespodziewanym współczuciem. Biedny drań. Wobec takiej przewagi liczebnej stoi na straconej pozycji. - Wygląda mi pan na kogoś, kto potrafi utrzymać się w siodle.

Del, który słowa Aleksandra odczuł jak draśnięcie końcem ostrej szpady, z ulgą przeniósł wzrok na młodszego i ewidentnie bardziej przyjaznego z braci.

- Ten ogier to prawdziwe cudo - pochwalił.

- Życzę panu przyjemnej jazdy. W dogodnej chwili chętnie porozmawiam z panem o pańskiej pracy - rzekł Aleksander. - Zwłaszcza że stała się ona prawdziwą pasją Camilli.

- Jestem do pańskich usług, sir.

Aleksander skinął głową, po czym skierował konia ku stajniom Bennett z wyraźnym żalem podążył za bratem. Natomiast Reeve zawrócił i zrównał się z Delem.

- Wy - powiedział ostro, wskazując swoich synów i bratanków - znikajcie. A my - rzekł, zwracając się do Dela - pojedziemy sobie na przejażdżkę. Pora, żebyśmy zamienili ze sobą parę zdań. - Zaczekał, aż nieco ucichnie tętent oddalających się koni, i dodał: - Ciekaw jestem, Caine, czy zdołasz mnie przekonać, że jednak nie powinienem skrócić ci karku.

Cóż, przynajmniej nie trzeba się bawić w konwenanse i szukać gładkich słówek, pocieszył się Del. Gorzej, że ojciec Camilli wyglądał na kogoś, kto ma sporą wprawę w

skręcaniu karku. Pomimo swego wieku był wciąż bardzo sprawny, a jego szerokie bary i mocne ręce mogły przestraszyć największego twardziela. Na pewno bliżej mu do żołnierza niż rolnika, pomyślał Del, przypominając sobie wszystkich spotkanych wcześniej farmerów.

- Nie sądzę, żebym zdołał pana przekonać - odrzekł. - Chce pan to zrobić tutaj, czy poszukamy ustronnego miejsca?

Reeve uśmiechnął się nieznacznie.

- Na razie po prostu jedźmy przed siebie. Powiedz mi, Caine, często przygarniasz pod swój dach zagubione kobiety?

- Nie. Camilla była pierwsza. I na pewno ostatnia.

Dzień był ciepły, lecz wietrzny, Del mimo to pocił się obficie. Oczy ojca Camilli cięły go niczym laser.

- Naprawdę chcesz, żebym uwierzył, że zaopiekowałeś się moją córką z wrodzonej dobroci serca? I nie miałeś pojęcia, z kim masz do czynienia, mimo że twarz jej można zobaczyć wszędzie? W prasie, w telewizji, w każdym zakątku świata? I nie chciałeś wykorzystać ani jej, ani jej wpływów dla swoich celów? I nie przyszło ci do głowy, żeby zbić fortunę, opowiadając brukowcom, jak zaciągnąłeś ją do łóżka? Tak?

- O, do cholery, bardzo przepraszam! - Del mocnym szarpnięciem osadził konia w miejscu. - Ja nie wykorzystuję kobiet. To po pierwsze. Po drugie, nawet gdybym bardzo chciał wykorzystać pańską córkę, nic by z tego na pewno nie wyszło, bo o ile ją znam, jednym celnym kopniakiem wybiłaby mi zęby. Po trzecie, nie mam czasu czytać plotkarskich magazynów ani oglądać telewizji. Po czwarte, nie spodziewałem się, że w czasie burzy znajdę na szosie księżniczkę, której zachciało się uciec z domu. Powiedziała, że nie ma pieniędzy, więc zaproponowałem jej nocleg i pracę. A potem ani nie zdawałem zbędnych pytań, ani nie zwracałem na nią wiele uwagi.

- Mimo to wylądowała w twoim łóżku.

- Owszem. I nie powinno nikogo obchodzić, jak do tego doszło. To nasza prywatna sprawa. Chce pan mnie skopać, proszę bardzo. Ale jeśli będzie mnie pan oskarżał, że chciałem zrobić z tego tanią historię dla brukowców, dam panu w zęby.

Prawidłowa odpowiedź. Nawet bardzo prawidłowa, ucieszył się Reeve. Chłopak ma charakter. Co nie znaczy, że można już zakończyć tortury.

- Dobrze, Caine. A teraz powiedz mi, jakie masz zamiary wobec mojej córki?

Wypieki, które wściekłość wymalowała na twarzy Dela, zaczęły gwałtownie blednąć.

- Jakie mam co... ? Co, przepraszam?

- Synu, zrozumiałeś pytanie. Więc nie udawaj, że zapomniałeś języka w gębie. Słucham.

- Nie mam żadnych zamiarów. Camilla nawet nie chce ze mną rozmawiać. Powiedziała, żebym nie wchodził jej w drogę, więc nie wchodzę.

- I mówisz mi to w chwili, gdy już zaczynałem wierzyć, że nie jesteś skończonym durniem - westchnął Reeve, po czym zawrócił konia. - Daj temu zwierzakowi porządną ostrogę, bo aż się rwie do galopu. I uważaj, żebyś czasem nie spadł i nie skręcił sobie tego sztywnego karku - poradził, po czym ruszył z kopyta.

Jadąc do stajni, stwierdził, że ta wymiana zdań raczej nie była tym, co miała na myśli Gabriella, prosząc go, by wziął Dela na męską rozmowę. Niemniej czuł się usatysfakcjonowany.

Camilla z największą przyjemnością pogalopowała po wzgórzach. Musiała jednak wziąć udział w popołudniowej herbatce dla pań, którą z powodu pięknej pogody urządzono na południowym tarasie obok różanego ogrodu. Dzięki temu uczestniczki spotkania mogły jednocześnie napawać się wspaniałym śródziemnomorskim widokiem i cudnym zapachem róż.

Gospodyni przyjęcia, ciotka Eve, była zwolenniczką prostej elegancji, dlatego na stołach nakrytych obrusami w kolorze brzoskwini kazała ustawić zastawę z kobaltowego szkła. Pomiędzy nią pyszniły się egzotyczne kwiaty w kulistych wazonach. Ubrani na biało kelnerzy nalewali szampana do smukłych kieliszków i podawali herbatę. Harfistka siedząca w cienistej altanie okrytej kaskadą białych róż delikatnie trącała struny swego instrumentu. Camilla nie pierwszy raz pomyślała, że ciotka Eve potrafi pięknie przygotować scenę.

Kobiety w zwiewnych sukniach przechadzały się alejkami lub rozmawiały w małych grupach. Camilla przechodziła od jednej do drugiej, uśmiechała się, wymieniała grzeczności i komplementy, zabawiała panie rozmową. Myśli o Delu odsunęła daleko od siebie i bardzo pilnowała, by żadna z nich nie zakłóciła jej wewnętrznego spokoju.

- Nawet nie miałam chwili, żeby spokojnie z tobą porozmawiać. - Eve wzięła ją pod rękę i odciągnęła na bok. - Teraz nie ma na to czasu, ale później bardzo chciałabym usłyszeć o twoich przygodach.

- Mama na pewno wszystko już cioci powiedziała.

- Oczywiście. - Eve roześmiała się i pocałowała ją w policzek. Gabriella nie tylko zdała jej relację, lecz także wciągnęła ją do spisku. - Tyle że to były informacje z drugiej ręki, a ja zdecydowanie wolę te pochodzące z samego źródła.

- Tylko czekam, kiedy wuj Aleks wezwie mnie na dywanik - westchnęła Camilla.

Eve uniosła brwi.

- Martwi cię to?

- Nie lubię sprawiać wujowi kłopotów.

- Gdybym ja była aż tak wrażliwa na tym punkcie, spędziłabym życie, nerwowo obgryzając paznokcie - roześmiała się Eve, zerkając na swe wypielęgnowane dłonie. - Cóż, Aleks jest taki, jaki być musi - dodała trzeźwo, spoglądając na szafirową taflę morza. - Spoczywa na nim ogromna odpowiedzialność, ale przecież od zawsze wiedział, że tak będzie. Został tak wychowany, aby jej sprostać. Podobnie jak ty, kochanie. Uwierz mi, Aleks naprawdę ci ufa. Jest bardzo ciekaw twojego młodego przyjaciela.

- To nie jest żaden mój przyjaciel.

- Cóż... - Eve doskonale pamiętała, jak kiedyś z uporem wmawiała sobie, że ona i Aleks, następca tronu, nie mogą mieć ze sobą nic wspólnego. - Powiedzmy więc, że Aleks interesuje się pracą lorda Delaney'a. Która, jak słyszałam, stała się również twoją pasją.

- Pomoc ciotki Chris była naprawdę nieoceniona - odparła Camilla wymijająco, szukając wzrokiem starszej siostry Eve.

- Wyobrażam sobie. Dla Chris nie ma większej przyjemności, niż zorganizowanie kampanii na czyjaś rzecz.

- Ja w każdym razie jestem jej bardzo wdzięczna. I zaraz muszę jej powiedzieć, że wspaniale wygląda.

- Prawda? Małżeństwo z senatorem bardzo jej służy. Od ich ślubu minęło już pięć lat, a oni wciąż kochają się jak nowożeńcy. Chris zawsze powtarzała, że czeka na idealnego mężczyznę. Cieszę się, że go wreszcie znalazła. Nieważne, czy czekasz pięć minut, czy pięćdziesiąt lat - rzekła, ściskając dłoń Camilli. - Gdy się wreszcie pojawi na twojej drodze, od razu wiesz, że to on. Mądra kobieta, gdy to zrozumie, nie rezygnuje łatwo, choćby przeszkody zdawały się być nie do pokonania. O miłość warto i trzeba walczyć. Ale dość filozofowania, pora wracać do pracy.

Ledwie Camilla wróciła na taras, ciotka Hannah, żona wuja Bennetta, przywołała ją do stolika, przy którym piła herbatę w towarzystwie matki Dela.

- Lady Brigston i ja mamy wielu wspólnych znajomych - oznajmiła Hannah. - Na dodatek opowiada o swojej pracy w tak zajmujący sposób, że wprost marzę o tym, aby wziąć udział w ekspedycji poszukującej kości dinozaurów.

Był czas, gdy jako agentka brytyjskiego wywiadu Hannah wiodła życie pełne przygód. Gdy zaś została księżną i matką dwóch bardzo energicznych chłopców, zamieniła dawne wyzwania na nowe. Będąc tajną agentką, musiała ukrywać swą wyjątkową urodę i tłumić

miłość do pięknych strojów. Teraz zaś mogła do woli folgować swym słabostkom. Tego dnia upięła włosy w gładki kok i włożyła elegancką suknię bez rękawów. Prosty krój podkreślał urodę jej wysportowanej sylwetki, a intensywna zieleń jedwabiu wspaniale współgrała z barwą oczu.

- Doskonale ciocię rozumiem - uśmiechnęła się Camilla i posłusznie usiadła na krześle, które ta jej wskazała. - Sama z chęcią pojechałabym na wykopaliska, choć domyślam się, że to bardzo mozolna praca. Musi pani bardzo kochać swoje zajęcie - zwróciła się do Alice.

- Odkąd pamiętam, zawsze chciałam to robić. Nawet jako dziecko. Moje koleżanki zbierały lalki, a ja skamieliny.

- Wyobrażam sobie, jaka to ogromna satysfakcja, mieć swój cel i konsekwentnie go realizować.

- Owszem - przyznała Alice. - Tym większa, jeśli przy okazji człowiek odkrywa swoje powołanie i podąża za jego głosem.

- Przepraszam was na chwilę. - Hannah bezbłędnie odczytała sygnał i szybko wstała z miejsca. - Muszę zamienić kilka słów z panią Cartwright. Do zobaczenia.

- Skinęła ręką i wymieniwszy porozumiewawcze spojrzenie z Alice, dyskretnie się oddaliła.

- Ma pani wspaniałą rodzinę, Wasza Wysokość.

- Dziękuję. I powiem nieskromnie, że w zupełności się z panią zgadzam.

- Z reguły wolę towarzystwo mężczyzn — wyznała zniecierpliwiona Alice. - Pewnie dlatego, że z kobietami nie mam za wiele wspólnego. Większość z nich poświęca mnóstwo uwagi sprawom, których ja zupełnie nie rozumiem. - Roześmiała się, czyniąc niedbały gest dłonią, której jedyną ozdobą była prosta złota obrączka. - Tymczasem z pani matką i ciotkami znajduję wspólny język. Nic więc dziwnego, że panią też polubiłam.

- Dziękuję. Miło to słyszeć - odparła Camilla, nieco zbity z tropu.

- Czy jest pani bardzo zła na mojego syna?

- Ja...

- Doskonale panią rozumiem - ciągnęła, nim Camilla zdążyła wymyślić jakąś dyplomatyczną odpowiedź. - Del potrafi być kompletnym... Boże, po co ja próbuję dobierać słówka? Potrafi być skończonym durniem. Odziedziczył to po ojcu, więc nie można go winić. Domyślam się, jak było pani trudno z nim wytrzymać.

- Ależ nie! Wcale nie.

- Nie musi pani być wobec mnie taktowna. - Ze zrozumieniem poklepała ją po dłoni. - Po pierwsze, nikt nas nie słyszy, a po drugie znam Dela na wylot. Ma fatalne maniery, przyznaję, częściowo z mojej winy. Nigdy nie przywiązywałam wagi do takich subtelności. Z kolei gwałtowne usposobienie to spadek po ojcu. Mój mąż też ciągle huczy. Co gorsza, pięć minut po największej awanturze już nie pamięta, o co poszło, co wpędza mnie w nerwy i frustrację. Pani też tak to odczuwa?

- Owszem. - Na ustach Camilli pojawił się półuśmiech. - Lady Brigston, stawia mnie pani w dość niezręcznej sytuacji. Powiem tylko, że podziwiam pani syna za jego intelekt i pasję, z jaką podchodzi do pracy. Natomiast na gruncie osobistym mamy, że tak powiem, konflikt osobowości i postaw.

- Nie pomyłę się, jeśli powiem, że jest pani znakomicie wychowaną młodą damą, prawda? - oceniła Alice. Gabriella uprzedzała ją, że niełatwo będzie przebić się przez pancierz dobrych manier i wyuczonego opanowania Camilli. - Jeśli pani pozwoli, opowiem pewną historię, dobrze? Otóż była sobie raz młoda dziewczyna, Amerykanka, która w wieku dwudziestu jeden lat rozpoczynała samodzielne życie ze świeżym dyplomem wyższej uczelni w kieszeni. Od środka spalała ją ambicja, żeby wybić się w swej ukochanej dziedzinie, paleontologii. Większość ludzi sądziła, że dziewczyna postradała zmysły. Czegóż bowiem może szukać młoda kobieta pośród kupy kości prehistorycznych gadów? Ona jednak nie zważała na takie gadanie i niemal siłą wkręciła się do naukowej ekspedycji, która wyruszała na wykopaliska. Zależało jej na tym bardzo, bowiem na czele wyprawy stał człowiek, którego od dawna podziwiała.

Alice zrobiła pauzę. Po chwili uśmiechnęła się i upiwszy łyk herbaty, ciągnęła swoją opowieść:

- Dziewczyna przeczytała wszystko, co kiedykolwiek zostało napisane przez niego lub o nim. W jej pojęciu ten człowiek był żywą legendą. Proszę więc wyobrazić sobie, jakie było jej rozczarowanie, gdy okazało się, że jej bohater jest wielkim, denerwującym, niecierpliwym gburem, który ledwie dostrzega jej obecność. A jeśli już zwraca na nią uwagę, to tylko po to, by ją zbesztać.

- O, tak - szepnęła Camilla. - Del jest taki sam.

- Niestety, są podobni jak dwie krople wody - przyznała Alice z dumą. - Wracając jednak do naszej historii, ów nieznośny uczony i zadziorna dziewczyna bezustannie skakali sobie do oczu. A raczej to ona skakała, bo on nic sobie z tego nie robił. Co oczywiście doprowadzało ją do szału.

- Skąd ja to znam... - Camilla pokiwała głową.

- Przy całym swym trudnym charakterze, był naprawdę fascynujący. Inteligentny, przystojny i w tak oczywisty sposób w ogóle nią nie zainteresowany, że zaczęło ją to drażnić. Po pewnym czasie nieco złagodniał, bo zorientował się, że dziewczyna jest dociekliwa i naprawdę dobra w tym, co robi. Caine'owie podziwiają bystre, dociekliwe umysły.

- Zauważyłam.

- Dziewczyna zakochała się w swoim uczonej. Trochę trwało, nim pogodziła z się tym faktem, lecz zaraz potem ruszyła swoją bystrą głową. Osaczyła go i nie dawała za wygraną, mimo że on czuł się w tej sytuacji wyjątkowo niezręcznie. Wynajdywał niezliczone powody, dla których ich związek nie mógł mieć racji bytu. Raz mówił, że jest dla niej za stary - dzieliło ich piętnaście lat - innym razem, że w jego życiu nie ma miejsca dla kobiety. Ona też miała kilka zastrzeżeń. Pierwszym i bodaj najważniejszym był tytuł hrabiowski, który nijak nie pasował do jej jankeskiego systemu wartości. I może właśnie to by ją w końcu zniechęciło, ale była uparta i w głębi serca czuła, że ona też nie jest mu obojętna. Koniec końców doszła do wniosku, że przecież nie tytuł jest ważny, lecz człowiek. Skoro więc pragnie człowieka, musi wziąć go razem z tytułem. W tej sytuacji nie pozostało jej nic innego, jak tylko uwieść swego naukowca, prawda?

Ponieważ Alice zawiesiła głos, wyraźnie oczekując poparcia, Camilla zgodnie skinęła głową.

- Naturalnie - odparła.

- Ukochany dziewczyny najpierw zaniemówił z wrażenia, potem jąkał się i krztusił, aż wreszcie zaczął wierzgać jak koń uwięziony w płonącej stajni. Ona jednak umiała go podejść. A trzy tygodnie później byli już małżeństwem. I do dziś dobrze im się wiedzie - zakończyła Alice, uśmiechając się lekko.

- Ta młoda kobieta jest godna podziwu.

- Owszem. Na dodatek urodził jej się godny podziwu, choć ciężki do zniesienia syn. Pani go kocha?

- Lady Brigston...

- Ach, proszę zwracać się do mnie po imieniu. Patrzę na panią i widzę młodą, mądrą i nieszczęśliwą osobę. Oczywiście zdaję sobie sprawę, z kim rozmawiam, lecz ja zwracam się do Camilli, nie zaś do Jej Księżęcej Wysokości.

- To odwrotnie niż Del. On widzi tylko mój tytuł i zupełnie zapomina o kobiecie, jaką jestem.

- Więc niech mu pani nie pozwala zapomnieć - rzekła Alice z mocą. - Przyniosła pani kwiaty do jego domu - dodała dużo ciszej. - Ja nigdy nie pamiętam o takich drobiazgach. Czy pani wie, że on te kwiaty zatrzymał?

Łzy napłynęły Camilli do oczu.

- Del nie zwraca uwagi na takie błahostki.

- Tym razem zrobił wyjątek. On też walczy ze sobą.

Jakaś część jego natury każe mu zapomnieć o pani i czym prędzej zagłębić się w pracy. Proszę mi wierzyć, ja ani przez chwilę nie wątpię, iż oboje znakomicie dacie sobie radę bez siebie. Młodzi, zdolni, ambitni, pójdziecie każde w swoją stronę i odniesiecie sukces. Zastanawiam się jednak, jak by to było, gdybyście mimo wszystko pokonali wzajemną niechęć. Gdybyście zapomnieli o zranionej dumie, o krzywdzie, i spróbowali być razem. Pani o tym nie myśli?

Owszem. Bezustannie, przyznała w głębi duszy.

- Zanim odeszłam, powiedziałam mu, że go kocham - szepnęła. - A on mnie odrzucił.

Alice syknęła i zniecierpliwiona odchyliła się do tyłu.

- Co za idiota! Skoro tak, Camillo, dam pani radę. Proszę go zmusić, żeby padł na kolana i zaczął pełzać. Na pewno dobrze mu to zrobi. I proszę cierpliwie czekać, aż skruszony wyzna pani miłość. Jestem pewna, że pani tego dokona.

Del męczył się jak potępieniec podczas oficjalnej i, jak mu się zdawało, nieskończenie długiej kolacji. Siedząc między głuchą włoską księżną a Adrienne, siostrą Camilli, pocieszał się w duchu, że szczęśliwym trafem jej ojciec znajduje się na drugim końcu olbrzymiej sali jadalnej. Nie było więc niebezpieczeństwa, że będzie próbował zaatakować go srebrnym nożem z herbowego kompletu.

Nim podano główne danie, Del zdążył zrewidować swoją opinię na temat Adrienne, którą początkowo uznał za nudną, aczkolwiek urodziwą kurę domową. Tymczasem podczas rozmowy z nią odkrył, że ma do czynienia z kobietą pełną uroku, a co ważniejsze zadowoloną z życia i życzliwą wobec ludzi. Zachęcony jej trafnymi pytaniami, bez zwykłej w takich razach irytacji opowiedział o swej pracy. Dopiero później zrozumiał, że niezwyklej dar tej kobiety polegał na tym, iż potrafiła w taki sposób traktować ludzi, że ci bez wahania otwierali przed nią duszę.

- Teraz rozumiem, dlaczego Camillę tak bardzo zafascynowała archeologia. - Uśmiechnęła się, patrząc na niego swymi błękitnymi oczami. - Ona bardzo lubi układanki, a pańska praca jest właśnie skomplikowaną układanką, prawda? Czy w najbliższym czasie planuje pan powrót na Florydę?

- Niebawem tam pojedę - odrzekł, myśląc o tym, że tak naprawdę w ogóle nie powinien tu być.

- Kiedy moje dzieci podrosną, też je tam zabiorę. Tyle że do Disneylandu - oznajmiła, spoglądając na swego męża.

Wiele godzin później Del wciąż myślał o tym spojrzeniu. Było w nim czyste i pełne zadowolenie. Owo tajemnicze coś, co bardzo rzadko gościło na twarzy Camilli.

Właściwie widział zadowolenie w jej oczach tylko raz. Było to wtedy, gdy szczęśliwa, leżała obok niego nad brzegiem jeziora. A zaraz potem już jej nie było.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jak na księżniczkę, harowała jak wół. Del nie był w stanie wyrwać z jej napiętego grafiku bodaj pięciu minut, by ją przeprosić. Właściwie nie wiedział, za co chce przeproszać, ale czuł, że powinien to zrobić.

Poczucie winy coraz częściej go dręczyło, począwszy od dnia, gdy ujrzał pojedynczą łzę płynącą po policzku Camilli. Samopoczucie nie poprawił mu również fakt, że niemal wszyscy członkowie jej rodziny byli wobec niego bardzo przyjaźni i dosłownie na każdym kroku okazywali mu wdzięczność.

Nawet osoba tak łagodna jak matka Camilli dyskretnie odwołała go na bok, by tam kolejny raz wyrazić wdzięczność za to, że przyjął jej córkę pod swój dach.

- Camilla jest dorosła - mówiła, gdy stanęli na niewielkim wzniesieniu z widokiem na Morze Śródziemne. - Wiem też, że jest bardzo samodzielna i zaradna. Jednak my, matki, już takie jesteśmy, że zawsze musimy się martwić.

- Rozumiem, madame - skłamał, bo jakoś nie przypominał sobie, by jego matka kiedykolwiek się o niego martwiła.

- Uspokoiliam się, dopiero kiedy się dowiedziałam, że Camilla przebywa w towarzystwie człowieka godnego zaufania. I co ważniejsze takiego, którego sama szanuje i poważa - ciągnęła. Widząc zaś jego zdumienie, nie mogła się nie uśmiechnąć. - Wyznam panu szczerze, że od pewnego czasu bardzo się o nią niepokoję.

- Niepokoi się pani?

- Camilla za dużo pracuje. Obowiązki, które przejęła po śmierci mojego ojca, pochłaniają cały jej czas i energię.

- Ośmielę się zauważyć, że tej ostatniej raczej Camilli nie brakuje.

- Owszem, ale nawet największe zapasy energii muszą się kiedyś wyczerpać. Obawiam się, że żaden człowiek nie jest przygotowany na takie zamieszanie, jakie przez ostatni rok czy dwa wytwarzały wokół Camilli media - mówiła Gabriella.

Czy on w ogóle potrafi to zrozumieć? Czy może pojąć to ktoś, kto sam tego nie doświadczył?

- Camilla jest piękna, młoda, pełna życia. Poza tym w naszej rodzinie jest najstarszą kobietą ze swego pokolenia - tłumaczyła. - Pewnie dlatego dziennikarze wybrali właśnie ją i zaczęli bezlitośnie tropić każdy jej krok. Domyślam się, jak wiele ją to kosztowało. Doskonale ją rozumiem, bo swego czasu również buntowałam się przeciw takiemu życiu,

próbowałam wymknąć się z obławy. Dlatego wiem, że czasem chęć ucieczki jest przemożna. Nie sądzi pan?

- Owszem. Ja mam Vermont. Ucieszyła się, że Del ją rozumie.

- A ja mam swoją małą farmę - dodała po chwili. - Natomiast Camilla do niedawna w ogóle nie miała swojego prywatnego miejsca, gdzie mogłaby się schronić i odnaleźć spokój, choćby tylko wewnętrzny. Wiem, że dzięki panu to miejsce wreszcie odkryła. I również za to z całego serca panu dziękuję - rzekła, po czym wspięła się na palce i delikatnie pocałowała go w policzek.

Gdy odeszła, poczuł się fatalnie. Czułby się bardziej podle chyba tylko wtedy, gdyby pełzał po ziemi, zostawiając za sobą śliski ślad. Na szczęście przynajmniej jedno stało się jasne. Musi natychmiast porozmawiać z Camilla. Spokojnie i rzeczowo. Jest wiele pytań, na które wciąż nie ma odpowiedzi. Bo przecież człowiek ma prawo dowiedzieć się całej prawdy, nim zdobędzie się na to, by pełzać u czyichś stóp.

Szybko przekonał się jednak, że spotkanie się z nią wcale nie będzie łatwe. Ile razy dyskretnie pytał o nią, dowiadywał się, że jest zajęta lub nieobecna. Ma spotkanie, udziela audiencji, rozmawia ze swą osobistą asystentką. Początkowo myślał, że pod tymi pozorami zabiegania kryje się wizyta u kosmetyczki, fryzjera albo rajd po drogich sklepach. Dopiero rozmowa z Adrienne uświadomiła mu, jak bardzo się mylił.

Gdy zapytała go, czy szuka Camilli, zaprzeczył, choć czuł się wyjątkowo podle, okłamując tak życzliwą mu osobę. Ona jednak bez oporu w to uwierzyła i poinformowała go, że Camilla zastępuje ją dzisiaj podczas wizyty w szpitalu.

- Camilla powinna wrócić w ciągu godziny - dodała, lecz zaraz pokręciła głową. - Nie. Zapomniałam, że prosto ze szpitala pojedzie do Centrum Sztuki. Po południu zwykle jest u siebie i zajmuje się korespondencją, ale naprawdę nie wiem, jak dzisiaj znajdzie na to czas - mówiła, przyglądając mu się dyskretnie. Na widok jego skonfundowanej miny zbierało jej się na śmiech. Biedaczek, jest taki sfrustrowany. I tak bardzo zakochany. - Czy mogę jakoś panu pomóc? - zapytała ciepło.

- Nie, bardzo dziękuję, madame.

- Może ma pan ochotę pojeździć konno? Wiem, że spora grupa gości udała się niedawno do stajni.

Del nie miał ochoty, ale szybko tego pożałował, bo zaraz po rozmowie z Adrienne został wezwany przed oblicze księcia Aleksandra.

- Lordzie Brigston, mam nadzieję, że nie czuje się pan u nas osamotniony.

- Oczywiście, że nie, Wasza Wysokość.

Del doszedł do wniosku, że atmosfera i wystrój książęcej kancelarii odzwierciedlają charakter człowieka, który w niej urzęduje. Jest jak on elegancka, męska i wytworna. Co zaś do samego księcia, to emanował on siłą charakteru i monarszą godnością. Miał szczupłą, arystokratyczną twarz, w której błyszczały ciemne oczy, przenikające rozmówcę na wylot.

- Nowe zainteresowania księżniczki Camilli sprawiły, że również i ja sięgnąłem do pańskich prac. Pasje członków mojej rodziny są moimi pasjami - mówił książę. - Proszę opowiedzieć mi o programie badawczym, którym pan się zajmuje.

Del zrobił to, choć nie podobało mu się, że został potraktowany jak student na egzaminie. Miał jednak świadomość, że owo spotkanie odbywa się właśnie po to, by został oceniony. A gdy dwadzieścia minut później posłuchanie dobiegło końca, nie miał pewności, czy zdał, czy też oblał. Wiedział natomiast, że jeśli stało się to drugie, powinien spodziewać się rychłej egzekucji. Na samą myśl o tym, że miałby zawisnąć nad nim topór kata, poczuł nieprzyjemne mrowienie w karku.

Z drugiej strony rozumiał, że każdy, kto choćby przelotnie myśli o tym, by związać się z członkiem rodziny książęcej, musi liczyć się z tym, że zostanie dokładnie prześwietlony.

Chcąc otrząsnąć się z nieprzyjemnych wrażeń, Del postanowił zrobić sobie kilkugodzinną wycieczkę, co wcale nie było takie proste. Oficjalny gość książęcej rodziny nie mógł, o tak, po prostu, wezwać do pałacu taksówki. Nie pozwalały na to procedury i względy bezpieczeństwa. W efekcie jeden z kuzynów Camilli zaproponował mu własny samochód i szofera.

Del skwapliwie skorzystał z oferty, aczkolwiek za kierowcę podziękował. A potem zjechał ze wzgórza i po drodze niemal zakochał się w tym skrawku skalistej ziemi, która przecież nie była jego ojczyzną.

Gdy patrzył na maleńkie państwko zbudowane na skale otoczonej przez morze, myślał o drogocennym klejnocie, pięknym i wiekowym, który przekazują sobie kolejne generacje. Przemawiała do niego odwieczność tego miejsca. Mijały stulecia, pokolenia przychodziły i odchodziły, a ten mały klejnot wciąż trwał i lśnił swym blaskiem, nie tracąc nic ze swego pierwotnego uroku. Jakimś cudem zdołał oprzeć się urbanizacji, dzięki czemu niepowtarzalna, skalista linia brzegowa nie została zeszpecona tysiącami drapaczy chmur.

W drodze powrotnej Del zatrzymał się na poboczu, by spokojnie popatrzeć na pałac wzniesiony na szczycie najwyższego wzgórza. Majestatyczna budowla zwrócona była frontem ku morzu, a z jej strzelistych murów wyrastały liczne wieżyczki i blanki, które skłaniały obserwatora do refleksji nad minionymi stuleciami. Nad bezlitosnym upływem czasu.

Wojny, pomyślał Del, i królowie. Nierozłączni jak para kochanków. Nawet, w czasach współczesnych w Cordinie toczyła się prywatna, wstrętna wojna. Del był chłopcem, gdy zaślepiony nienawiścią terrorysta próbował zgładzić wszystkich członków książęcej rodziny. Właśnie w tamtych mrocznych czasach matka Camilli została porwana, a obecna władczyni, wtedy zwykła Eve Hamilton, postrzelona w zamachu.

Del po raz pierwszy zastanowił się nad tym, jaki wpływ na psychikę Camilli mogła mieć tak trudna przeszłość. Z pewnością pamiętała o wszystkich tragicznych wydarzeniach, a mimo to odważyła się w pojedynkę wyruszyć na spotkanie obcego świata, który potencjalnie mógł być dla niej nieprzyjazny, a nawet groźny. Potem jednak wróciła tu, do pałacu na wzgórzu, i do obowiązków, które miała względem swojej rodziny i ojczyzny.

Mogła spędzić pół życia na farmie w Wirginii. Jednak fakt pozostawał faktem - tu, na tym skalistym wybrzeżu, w tym białym pałacu, jest jej prawdziwy dom.

Jej, ale nie jego, pomyślał chmurnie.

Kiedy przejeżdżał przez kutą żelazną bramę, w której prężyli się wartownicy w czerwonych mundurach, jego twarz miała mroczny, zrezygowany wyraz.

- Jest w okropnym nastroju - wyznała Alice, gdy ukradkiem spotkała się z Gabriellą w pokoju muzycznym. Sposobem starych konspiratorów cały czas trzymały się blisko siebie i szeptem wymieniały spostrzeżenia. - Wrócił z przejażdżki bardzo rozdrażniony. Uważam, że to dobry znak.

- Z kolei Camilla przez całe popołudnie była rozkojarzona. Wyraźnie widziałam, że humor jej nie dopisuje.

Poza tym moi szpiedzy donieśli, że Delaney kilka razy o nią pytał.

- Dobrze, że była zajęta i niedostępna. Przynajmniej miał więcej czasu na myślenie.

- Masz rację. Zwłaszcza że kiedy zobaczy ją wieczorem na balu, w ogóle nie będzie do tego zdolny. Jestem pewna, że straci głowę. Ach, gdybyś wiedziała, jak ona ślicznie wygląda w tej sukni.

- Wyobrażam sobie. I wiesz, o czym jeszcze myślę? Że będziemy miały piękne wnuki

- westchnęła Alice.

Wyjątkowo nie lubił wkładać fraka. Głównie dlatego, że ten dziwaczny strój składał się z mnóstwa niepotrzebnych części, podczas gdy jego zdaniem normalnemu facetowi w zupełności wystarczają spodnie i koszula.

Najważniejsze, że wreszcie doszedł do ładu z samym sobą i zdecydował, że opuści Cordinę następnego ranka. Miał już nawet przygotowane wiarygodne wytłumaczenie swego nagłego wyjazdu - otrzymał wezwanie do pilnego powrotu na wykopaliska.

Tego wieczoru dopełni obowiązku i z uwagi na rodziców znajdzie sposób, by przeprosić Camillę i dojść z nią do porozumienia. A potem czym prędzej stąd wyjedzie. Człowiek taki jak on nie nadaje się do życia w pałacu. Co najwyżej do kopania pod nim - o tak, to na pewno byłoby ciekawe.

Jeszcze tylko ten jeden wysiłek woli i wróci tam, gdzie czuje się najlepiej. Przedtem jednak porozmawia z Camilla. Miał już nawet w głowie zarys tego, co jej powie, gdy spotkają się twarzą w twarz. W prostych, zwykłych słowach wyrazi jej wdzięczność za to, że pomogła zebrać środki na kontynuację badań. I naprawdę postara się, by nie wypadło to tak sztywno i oficjalnie jak w listach, które do niej napisał.

Wystrojony i zdeterminowany, by jak najszybciej odwalić tę czarną robotę, wszedł do saloniku, gdzie czekali rodzice.

- Proszę, proszę - powiedział z uznaniem, nieczęsto bowiem widywał matkę w wieczorowym stroju. Prosta, czarna suknia, którą wybrała na tę okazję, wspaniale podkreślała jej szczupłą figurę, a stare perły Brigstonów dodawały jej wytwornego szyku. - Ale z ciebie ślicznotka!

- Daj spokój. Właśnie wyliczyłam, że w tych przeklętych pantoflach wytrzymam najwyżej półtorej godziny. A potem niech się dzieje co chce - uprzedziła, po czym zbliżyła się do męża, by poprawić mu krawat.

- Alice, uspokój się. Przecież wiesz, że pozbędę się go przy pierwszej okazji - powiedział i pochylił się, by pocałować ją w policzek. - Wiesz, nasz chłopak ma rację. Prawdziwa z ciebie ślicznotka.

- Czekajcie, aż zobaczycie wszystkie ślicznotki, które będą na balu - roześmiała się Alice. - Swoją drogą, Del, widziałeś dziś Camillę?

- Nie.

- Więc już za chwilę ją zobaczysz.

- Owszem. - Tyle że pośród tysięcznego tłumu, pomyślał ponuro. Ciekawe, jak w takich warunkach zdoła powiedzieć jej to, co sobie zaplanował. - Dobrze, chodźmy już. Im szybciej zacznie się ta szopka, tym szybciej się skończy.

- Boże, jesteś taki sam jak ojciec - westchnęła Alice z rezygnacją i wzięła swych mężczyzn pod rękę.

W progu sali balowej każdy z gości był oficjalnie anonsowany, a potem prowadzony do miejsca, gdzie książę i księżna przyjmowali powitania. Del miał wrażenie, że głupawe ukłony i dygi nigdy się nie skończą. Wystarczyło jednak, że jego wzrok padł na Camillę, zapomniał o bożym świecie.

W złotobrazowej sukni, która miała identyczny odcień jak jej oczy, zdawała się opalizować i lśnić. Zupełnie jakby otaczała ją świetlista aura. Góra z odkrytymi ramionami mocno opinała jej szczupłą talię, a potem suknia rozszerzała się jak kielich kwiatu, uformowany z kilometrów zwiewnego materiału, połyskującego zielonkawo niczym woda prześwietlona promieniami słońca. Białe i żółte brylanty błyszczały w wiszących kolczykach, spływały kaskadami po dekolcie w postaci misternej, wielowarstwowej kolii, i skrzyły się w diademie.

Każdy, kto patrzył na Camillę, musiał ujrzeć w niej uosobienie księżniczki z bajki.

Kiedy na niego spojrzała, Del poczuł się jak żaba bez najmniejszych szans na pocałunek.

- Milordzie - odezwała się chłodno.

- Madame. - Ujął jej dłoń i pieczotliwie przesunął palcem po delikatnych kostkach. Czy to możliwe, że ta kobieta smażyła mu kiedyś jajecznicę? Jeśli tak, to może wszystko, co teraz widzi, jest tylko baśniową fantazją.

- Życzę panu miłego wieczoru.

- Nie liczę na to.

Uprzejmy uśmiech nie zniknął z jej ust.

- Wobec tego życzę, żeby pan się zanadto nie nudził.

- Daj mi pięć minut.

- Obawiam się, że nie najlepiej wybrał pan porę.

Puść moją rękę! - rzekła półgłosem, ale skutek był taki, że jeszcze mocniej zacisnął palce. - Patrz na nas - syknęła.

- Pięć minut - powtórzył.

Ich oczy spotkały się na moment. Potem z ociąganiem usunął się, ustępując miejsca kolejnym gościom.

Nikt, kto widział ją, jak z uprzejmym uśmiechem wita uczestników balu, nie uwierzyłby, że serce bije jej jak oszalałe, w głowie panuje zamęt. Żelazna wola i wpajane od dziecka zasady okazały się silniejsze niż przemożna chęć, by odwrócić głowę i poszukać go wzrokiem w barwnym tłumie. Ciekawość połączona z nadzieją stworzyły tak silny ładunek emocji, że gdy wreszcie para książęca oficjalnie rozpoczęła Jesienny Bał, Camilla czuła się zmęczona i prawie chora. Automatycznie robiła to, co do niej należało, lecz myślała tylko o tym, że Del spojrzal na nią tak jak wtedy, gdy mieszkali razem w jego chacie. Tak, jakby była dla niego najważniejsza, jakby myślał tylko o niej.

A jednak, gdy zabrzmiały pierwsze takty walca, odsunęła na bok prywatne sprawy i prowadzona przez jednego ze swych kuzynów, popłynęła po sali.

Kiedy pałac książąt Cordiny otwierał swe podwoje, czynił to w wielkim stylu i z wielką ceremonią. Z kryształowych żyrandoli, srebrnych kandelabrow i bogato zdobionych kinkietów lały się strumienie światła, odbijając się od połyskliwych sukien i klejnotów. Girlandy kwiatów spływały z wysokiego sufitu ku lśniący posadzkom. W smukłych kieliszkach z najdelikatniejszego kryształu pieniał się wyśmienity szampan.

Na obszernym tarasie kusząco migotały pochodnie i świece w małych latarenkach. Wysokie na kilka metrów lustra, którymi wyłożono ściany, odbijały sylwetki pięknie ubranych kobiet wirujących po sali w ramionach eleganckich partnerów.

Camilla była pośród nich. Tańczyła częściowo z poczucia obowiązku, częściowo dla własnej przyjemności. A kiedy do tańca poprosił ją ojciec, tańczyła z miłości.

- Obserwowałam ciebie i mamę.

- Kiedy?

- Kiedy tańczyliście ze sobą. Byliście tacy piękni! Chciałam, żeby wszyscy na was patrzyli - mówiła, przytulając twarz do jego policzka.

- Opowiadałem ci już o tym, jak pierwszy raz zobaczyłem twoją mamę?

- Tysiąc razy - roześmiała się. - Ale proszę o tysiąc pierwszy.

- To było podczas balu wydanego z okazji jej szesnastych urodzin. Miała na sobie jasnozieloną suknię, trochę podobną do twojej. W jej włosach także lśnił brylantowy diadem. Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia, a potem na dziesięć lat straciłem ją z oczu. Ale zawsze pamiętałem, że jest najcudowniejszą istotą jaką widziałem w życiu - wyznał, a spoglądając na Camillę, dodał: - Ty jesteś następną z tych cudownych istot.

- Tato - szepnęła, tuląc twarz do jego dłoni. - Bardzo cię kocham. I ogromnie mi przykro, że naraziłam cię na stres. Wiem, że byłeś bardzo zły...

- Nie byłem zły, dziecino. Ja się o ciebie bałem. A skoro dotykamy tematu tego durnia, z którym byłaś...

- Tato! - Spojrzała na niego piorunującym wzrokiem, więc zrewanżował się tym samym.

- Jedno mogę o nim powiedzieć - zaczął bez entuzjazmu. - Facet ma pewien potencjał.

- Żebyś ty wiedział... - wyrwało jej się, zaraz jednak umilkła, wietrząc w słowach ojca podstęp. - To pułapka, tak?

Reeve nie odpowiedział wprost.

- Sen z powiek spędzała mi myśl, że pewnego dnia zjawi się jakiś złotousty piękniś, który zawróci ci w głowie, zanim zdążysz zorientować się, że jest kompletnym gnojkiem. Cóż, o tym twoim Cainie można powiedzieć wszystko, tylko nie że jest przystojnym bawidamkiem.

- Tu niestety muszę się z tobą zgodzić.

- A skoro sama już wiesz, że z niego straszny gnojek, nie muszę się o ciebie martwić - oznajmił, prowokując ją do śmiechu. - Chcę, żebyś był szczęśliwa, Camillo. I to jest silniejsze niż chęć, żeby zawsze mieć cię przy sobie.

- Tato, nie mów tak, bo zaraz się rozplaczę.

- Nie, ty nie będziesz płakać. Jesteś zrobiona z mocnego kruszcu.

- Tato, ja go naprawdę kocham.

- Wiem. - Ponad jej głową wymienił spojrzenie z Delem, stojącym po drugiej stronie sali. - Biedny sukinsyn, nawet nie przeczuwa, że kłamka już zapadła. Weź go sobie, słoneczko. A jak się będzie stawiał, daj mi znać. Ciągle szukam dobrego pretekstu, żeby mu przyłożyć.

- Delaney, zdecyduj się wreszcie.

- Na co?

Alice wzięła kieliszek wina, po które go posłała.

- Czy będziesz boczył się na Camillę przez cały wieczór, czy w końcu poprosisz ją do tańca?

- Jak mam to zrobić, skoro nie usiadła nawet na dwie minuty?

- To jej praca. Myślisz, że dla przyjemności tańczy z tym bałwanem, który ma twarz jak nieudana pizza i bezustannie depcze jej po palcach? No, idźże! Zatańcz z nią.

- Jeśli myślisz, że jak ten baran będę stał w kolejce z połową facetów na tej sali...

- To powiem, że brakuje ci piątej klepki - dokończyła za niego. - Idź do niej, na miłość boską. Wciśnij się bez kolejki. Jeszcze minuta tańca z tym oferumą, i do końca życia będzie utykała.

- Dobrze już, dobrze. - Teraz przynajmniej mógł sobie wmawiać, że wyświadcza jej przysługę. Kiedy idąc w stronę Camilli zauważył, jak leciutko krzywi się z bólu, uwierzył, że naprawdę ma misję do spełnienia.

Ostrożnie, ale zdecydowanie brnął przez tłum tancerzy, aż stanął za plecami jej nie fortunego partnera.

- Odbijany - oświadczył, kładąc ciężką dłoń na jego ramieniu. Wykorzystując konsternację chłopaka, wyswobodził Camillę z jego ramion i pociągnął na środek sali.

- To było niegrzeczne - nachmurzyła się.

- Ale skuteczne. Jak pani stopy, madame?

- Dziękuję, nieźle, mimo kilku zgruchotanych kości - uśmiechnęła się. - Bardzo dobrze pan tańczy, milordzie.

- Dawno nie ćwiczyłem, ale pocieszam się, że czego bym nie zrobił, i tak będę lepszy niż mój poprzednik.

- Chyba ma pan rację. Dwie godziny temu mówił pan, że potrzebuje pięciu minut na rozmowę ze mną. Czy to aktualne?

- Tak, tak! - potwierdził z zapalem, choć teraz, gdy trzymał ją w ramionach, wcale nie był pewien, czy warto poświęcić te cenne minuty na rozmowę. - Ja chciałbym... W sprawie programu... I twojej pomocy finansowej...

- Ach... - Rozczarowanie zgasiło blask w jej oczach. - Jeśli chcesz pomówić o interesach, poproszę Marian, żeby jutro umówiła nas na spotkanie.

- Camillo, ja po prostu chcę ci podziękować. Złagodniała, ale tylko trochę.

- Nie ma o czym mówić. Wiesz przecież, że mnie także zależy na tym, żeby program był kontynuowany.

- Tak, rozumiem. Od niedawna - przyznał, myśląc o tym, że gdyby tylko pochylił nieco głowę, mógłby ją pocałować. Marzył, by przypomnieć sobie, jak smakują jej pocałunki.

- Camillo...

- Orkiestra przestała grać - szepnęła, patrząc mu w oczy. - Musisz odprowadzić mnie na miejsce.

- Musimy porozmawiać.

- Nie tutaj! Na miłość boską, jeśli natychmiast nie odprowadzisz mnie na miejsce, jutro rano zobaczysz swoją twarz na okładkach wszystkich brukowców - mówiła, maskując zdenerwowanie promiennym uśmiechem.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Bo nigdy nie przeżyłeś tego koszmaru. A ja tak. Dlatego proszę, puść mnie. Skoro chcesz rozmawiać, wyjdźmy na taras.

Kiedy cofnął ramię, odsunęła się nieco i głośno powiedziała, że jest jej gorąco.

- Jeśli ma pan ochotę zaczerpnąć świeżego powietrza, zapraszam na taras - rzekła swobodnym, przyjacielskim tonem. - Z przyjemnością napiję się szampana.

- Ja również.

Wzięła go pod ramię, po czym spokojnie opuścili parkiet.

- Moi bracia uważają, że jest pan doskonałym jeźdźcem. Proszę więc korzystać ze stajni, kiedy tylko pan zechce.

- Dziękuję, madame. - Wziął ze srebrnej tacy kieliszek szampana i podał jej. - Jeździ pani konno?

- Oczywiście. Mój ojciec hoduje konie, więc jeżdżę od dziecka.

Na tarasie odpoczywało wielu gości. Zbyt wielu, jak na gust Dela. Nim Camilla zdążyła podejść do balustrady, niespodziewanie pociągnął ją w bok. Szampan zakołysał się w kieliszku, niebezpiecznie sięgając krawędzi, gdy prowadzona przez niego szła szybko ku schodom wiodącym do ogrodów.

- Wolniej! - syknęła. - W tej sukni nie da się biec. Chyba że chcesz, żebym skręciła sobie kark.

Bez słowa wziął od niej kieliszek, a potem niecierpliwie czekał, aż z gracją zbierze fałdy spódnicy. Gdy była gotowa, chwycił ją pod ramię i poprowadził na dół.

- Nie ciągnij mnie! Ludzie pomyślą, że...

- Przestań! Odpręż się.

- Ciekawe, czy byłbyś taki odprężony, gdybyś wiedział, że następnego dnia obsmarują cię we wszystkich pismach. Poza tym jestem na wysokich szpilkach i ciągnę za sobą kilometry materiału. Więc jeszcze raz proszę cię, wolniej!

- Dobrze, dobrze. Jak będę się włókł, to zaraz przyleci tu ktoś, kto wynajdzie ci jakieś zajęcie. Albo zaczniesz nadskakiwać. Albo zaczepi cię tylko po to, żeby móc się potem pochwalić, że z tobą rozmawiał.

Zrezygnowała z ciętej riposty, która cisnęła jej się na usta, uznała bowiem, że nie jest to odpowiedni moment na spory. Jej ukochany chce być z nią sam na sam.

Prowadził ją w głąb różanych alejek, dopóki muzyka nie stała się odległym szmerem.

- Camillo - rzekł niepewnym głosem, kiedy wreszcie stanęli na ścieżce osrebrzonej światłem księżyca.

- Delaney...

- Chcę... - Otulona księżycową poświatą wyglądała tak pięknie, że z wrażenia umilkł. Chciał coś powiedzieć, ale przychodziły mu do głowy same poetyckie określenia, choć Bóg mu świadkiem, potrafił być wszystkim, tylko nie poetą. Patrząc na brylanty skrzące się w jej włosach przypomniał sobie, że pod jej chłodną elegancją kryje się gorący płomień.

Po chwili spróbował jeszcze raz.

- Chcę cię przeprosić za to, że... I powiedzieć... Nie wiedziała, kto zrobił pierwszy krok. I nie miało to większego znaczenia. Najważniejsze, że znowu trzymali się w ramionach.

Pierwsze pocałunki były krótkie i bezładne. Dopiero po chwili połączył ich długi, namiętny pocałunek.

- Tęskniłem za tobą. Nawet nie wiesz, jak bardzo - szeptał, tuląc ją do siebie.

- Proszę cię, nigdy więcej nie pozwól mi odejść.

- Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę - powiedział, całując jej włosy. - Nie chciałem tego.

- Nie, to ja nie miałam zamiaru więcej cię widzieć - roześmiała się. - Gdybyś wiedział, jaka byłam zła, czytając twoje oficjalne listy. Sztywne, służbowe, paskudne: „Członkowie programu badawczego Bardville'a pragną wyrazić podziękowania”. Miałam ochotę cię udusić.

- Żałuj, że nie widziałaś pierwszej wersji. Była dużo bardziej... żalosna.

- Czuję, że podobałaby mi się bardziej. - Otoczyła ramionami jego szyję. - Taka jestem szczęśliwa! Przez ten długi miesiąc uczyłam się żyć bez ciebie. Teraz nie muszę już tego robić. Po ślubie nauczysz mnie analizować wyniki badań laboratoryjnych, dobrze? W żaden sposób nie potrafię zorientować się w tych wszystkich symbolach... - Umilkła, gdyż dotarło do niej, że Del przygląda jej się takim wzrokiem, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. Jeszcze przed chwilą rozmarzona, szczęśliwa do granic euforii, spadła nagle z obłoków wprost na twardą ziemię.

- Nie kochasz mnie - powiedziała cicho. - Nie chcesz się ze mną ożenić - stwierdziła, wysuwając się z jego ramion.

- Poczekaj, nie tak szybko! Małżeństwo... - Po tym, jak wymówił to dziwne słowo, gardło zacisnęło mu się boleśnie. - Camillo, bądźmy rozsądni.

- Oczywiście - odrzekła uprzejmie. - Proszę bardzo, mów pierwszy.

- Są pewne sprawy... Problemy, które... - zaczął bezładnie, niezdolny do uporządkowania myśli.

- Słucham więc - wtrąciła, krzyżując ręce na piersiach. - Problem numer jeden?

- Przestań! Proszę, nie zachowuj się w ten sposób. - Nerwowo przeszedł się w tę i z powrotem - Wiesz, że moja praca pochłania mnóstwo czasu.

- Wiem.

- Kiedy wyjeżdżam w teren, najczęściej mieszkam w przyczepie, przy której moja chata wygląda jak pięciogwiazdkowy hotel.

- I?

Uśmiechnął się gorzko, ale zdołał opanować irytację.

- Nie będziesz mi chyba wmawiać, stojąc na tle pałacu i w koronie na głowie, że nie widzisz w tym problemu.

- Rozumiem. Problem numer jeden polega na odmiennym stylu życia i obowiązkach.

- W dużym skrócie. Z pominięciem kwestii brylantowych diademów i kryształowych pantofelków.

- Kryształowych pantofelków?! - Czegoś takiego nie mogła słuchać spokojnie. - Więc tak widzisz moje życie? Jako wieczny bal? Jako przejażdżkę zaczarowaną karetą? A więc dowiedz się, że ja w tych wyśmiewanych przez ciebie kryształowych pantofelkach mam do odegrania tak samo ważną rolę, jak ty w swoich terenowych buciorach.

- Camillo, przecież ja tego nie neguję. Stąd zresztą cały problem. - Jednym pociągnięciem rozwiązał muchę i z ulgą schował do kieszeni. - Nie mam ochoty przebierać się za pingwina za każdym razem, gdy będziesz musiała pełnić swoje towarzyskie funkcje. Natomiast rozumiem, że potrzebujesz mężczyzny, który zrobi to bez szemrania. Z drugiej strony nie oczekuję, że schowasz swoje brylanty do sejfu i zamieszkas z mną w przyczepie tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. To śmieszne. I raczej się nie uda.

- I tu się mylisz. Moim rodzicom udało się pogodzić odmienne style życia i wynikające z nich obowiązki. A wiesz, dlaczego im się udało? Bo się kochali. Potrafili znaleźć kompromis, gdyż chcieli być razem.

Uniosła głowę.

- Jestem z nich dumna. Moja matka jest dla mnie wzorem, któremu pragnę dorównać. Za to ty, ze swoimi żalonymi wykrętami i problemami, nie dorastasz mojemu ojcu do pięt. On umiał znaleźć w sobie odwagę i romantyzm. I do dziś nie ma kompleksów na punkcie korony, którą od czasu do czasu wkłada moja matka. Nie ma, bo rozumie i szanuje kobietę, która ją nosi.

Wprawnym ruchem zebrała fałdy spódnicy.

- Potrafiłabym mieszkać w twojej przyczepie i nadal być księżniczką. Na pewno nie przyniosłoby to ujmy ani mojemu, ani twojemu nazwisku. Za to ty nie jesteś pewien, czy umiałbyś odnaleźć się w pałacu, nie tracąc przy tym poczucia wartości.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Najbardziej bolało go to, że Camilla ma rację. Wymyślał najróżniejsze przeszkody, problemy, komplikacje, by ukryć prosty fakt, że czuje się... Nie podobało mu się słowo „zakompleksiony”. Raczej nieufny wobec faktu, że ma związać się z księżniczką.

Krążąc po ogrodzie, jak po lesie w Vermoncie, myślał o tygodniach, które spędził bez Camilli. W tych trudnych dniach jak nigdy wcześniej zwracał uwagę na to, co piszą o niej w gazetach. Rzeczywiście, jej twarz była ozdobą wielu okładek. W środku znajdowały się artykuły o niej i jej domniemanych kochankach. Nikt lepiej niż on nie wiedział, że historia związku z francuskim aktorem to bujda wyssana z palca. Pomijając wszystko inne, facet w ogóle nie był w jej typie. Zbyt lalusiowaty.

Tu dochodził do sedna problemu. Ludzie, którzy pisali te cliwe, głupawe i najczęściej fałszywe historyjki, w ogóle nie znali kobiety, którą opisują. Nie mieli pojęcia o jej pracowitości i oddaniu, o przywiązaniu do ojczyzny. Widzieli w niej tylko ikonę, współczesny symbol piękna i sukcesu. Del musiał uczciwie przyznać, że on także uległ temu stereotypowi.

Tylko, na Boga, dlaczego ta kobieta jest taka niecierpliwa? Dlaczego jednym susem przeskoczyła od świeżego, wciąż bardzo niepewnego związku, do małżeństwa, które oznacza zobowiązanie na całe życie? Nic dziwnego, że poczuł się tak, jakby dostał obuchem w łeb. Nawet nie dała mu czasu, żeby zorientował się, na czym stoi.

Ona taka już jest, pomyślał ponuro. Wszystko albo nic. Bądź zimny albo gorący. Wcisnął ręce do kieszeni spodni i kontynuował swą niespokojną wędrówkę, setny raz analizując sytuację. Najpierw znokautowała go wiadomością, że planuje za niego wyjść, a potem oświadczyła, że zamieszka w przyczepie na Florydzie. Dobrze sobie! Ciekawe, czy ma pojęcie, co znaczy gwałtowna tropikalna ulewa, błoto po kolana i robaki wielkości piłki do baseballu?

Spodoba jej się tam. Porażony tą myślą, zatrzymał się w pół kroku. Będzie zachwycona. Należy do tego gatunku kobiet, które potrafią poradzić sobie zawsze i wszędzie. Będzie drażyła, tłukła, wierciła, póki nie znajdzie wyjścia z bodaj najtrudniejszej sytuacji. Taka jest Camilla.

I za to ją podziwia, pojął w przeblysku natchnienia. Zrozumiał, że zanim zakochał się w jej urodzie, stylu, namiętności, pokochał ją za determinację, z jaką szuka odpowiedzi na ważne pytania.

I mimo to pozwala, żeby taki szczegół jak jej książęcy rodowód zniszczył tę miłość.

Kocha kobietę, która okazała się być księżniczką. Powiedziała, że nie dorasta jej ojcu do pięt. Chciała mu dopiec. Oskarżyła go o brak odwagi i charakteru. O brak romantyzmu? Pokaże jej coś tak romantycznego, że z wrażenia pogubi te swoje kryształowe pantofelki!

Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę pałacu. Był już blisko sali balowej, kiedy trochę oprzytomniał. Musi zachować rozwagę. Jeśli chce, by ten związek miał jakąkolwiek przyszłość, nie może postępować impulsywnie. Jeśli wbiegnie na środek parkietu, chwyci księżniczkę i przerzuciwszy ją sobie przez ramię, zacznie uciekać, wywoła sensację, o jakiej marzą wszystkie media. A potem za swój dziecinny postępek zostanie wtrącony do ciemnego, wilgotnego lochu.

Roztropny mężczyzna powinien przygotować sobie jasny, możliwy do wykonania plan. I zrealizować go bez świadków.

Pokrzepiony tą myślą, usiadł na marmurowej ławce i zabrał się do dzieła.

W stajniach znalazł mocną linę. Przy tej okazji przekonał się, że czasem arystokratyczny tytuł naprawdę się przydaje. Żaden ze stajennych nie śmiał bowiem wnikać w ekscentryczne zachcianki hrabiego Brigston.

Odczekał, aż wybrzmi ostatni walc i pogasną światła, a za najbardziej wytrwałymi gośćmi zamknie się pałacowa brama. Wykorzystał ten czas na dopracowanie logistyki i rozmyślanie o tym, co poczną jego biedni rodzice, jeśli pechowo skręci swój głupi kark.

Dzięki subtelnemu indagowaniu Adrienne dowiedział się, gdzie jest apartament Camilli. Teraz, gotowy do akcji, dziękował opatrności, że okna jej sypialni wychodzą na mroczny ogród. Z drugiej strony wątpił, by któryś ze strażników przewidział, że zdrowy na umyśle człowiek będzie ryzykował życie, spuszczając się po linie z wysokości kilkudziesięciu metrów.

Nieważne, że ów człowiek kłął jak szewc, bo niewiele brakowało, by po pierwszym nierozważnym ruchu rozbił sobie głowę o biały mur. Skok z szerokiego parapetu, tak łatwy w teorii, w praktyce okazał się nie lada wyzwaniem. Del miał pojęcie o wspinaczce, bo robił to nieraz w czasie wykopalisk. Jednak schodzenie w ciemności po pionowej, gładkiej ścianie było wyzwaniem, z którym mierzył się pierwszy raz. Brutalna rzeczywistość była taka, że nim pojął, o co chodzi, kilka razy zawisł bezradnie w powietrzu albo podrapał się do krwi o ostre krawędzie kamiennych bloków. Wysokość nie robiła na nim wrażenia, dopóki nie myślał o tym, że to, co widzi w dole, może być ostatnim obrazem, jaki ujrzy w życiu. Wołał też zapomnieć, że znajduje się w tej idiotycznej sytuacji tylko dlatego, że Camilla zraniła jego miłość własną.

Przecież nie mógł czekać do rana. W żadnym razie, pocieszał samego siebie, gdy kolejny raz zawisł nad przepaścią. Odkładanie rozmowy do rana byłoby zbyt łatwe, zbyt normalne. Po co w biały dzień mówić kobiecie, że się ją kocha i pragnie pojąć za żonę, skoro w środku nocy można jak skończony głupek popełnić efektowne samobójstwo, rozbijając się o ścianę jej sypialni?

Nie ma jak mocny efekt, myślał i z ulgą dotknął czubkami butów balustrady jej balkonu. Nim jednak zdążył na niej stanąć, z czarnego nieba lunął deszcz.

- Tylko tego brakowało - mruknął pod nosem, walcząc z wiatrem, który bezlitośnie odpychał go od ściany.

Oślepiiony pierwszymi błyskawicami i deszczem, który coraz mocniej siekł go po twarzy, jakimś cudem zdołał odepchnąć się od muru i bezpiecznie wylądować na tarasie. Potem w świetle piorunów zmagął się z mokrą, śliską liną, którą po dobrych dwóch minutach udało mu się wreszcie rozwiązać. Odgarnął z oczu mokre włosy i ślizgając się na kamiennych płytach, podszedł do drzwi. Były zamknięte na cztery spusty.

Przez chwilę patrzył na nie osłupiały. Po jakiego diabła zamyka balkonowe drzwi? - myślał rozjuszony. Przecież mieszka na trzecim piętrze pałacu, którego teren jest bezustannie patrolowany przez uzbrojoną straż. Jak często zdarza się, że jakiś nieodpowiedzialny idiota dokonuje desantu na jej balkon?

Na dodatek szczelnie zasunęła story, więc nawet nie mógł zajrzeć do środka. Miał ochotę wywalić drzwi, ale w porę uświadomił sobie, że uruchomi alarm. A przecież nie chciał, by oddział strażników obezwładnił go, nim zdoła rozmówić się z Camilla. Nie pozostało mu więc nic innego, jak pokornie zapukać do jej drzwi. Co było strasznie upokarzające.

Dlatego zamiast delikatnie stuknąć w szybę, zaczął łomotać w nią pięściami.

Camilla walczyła z bezsennością, udając, że czyta książkę. Mniej więcej co kwadrans odwracała stronę, lecz gdyby ktoś zapytał ją, co przeczytała, nie potrafiłaby odpowiedzieć. Nie mogła się skupić, gdyż w głowie bezustannie tłukła jej się jedna, dręcząca myśl. Zawaliła sprawę.

Znała Dela na tyle dobrze, by przewidzieć jego reakcję. Zresztą gdyby ktoś oznajmił jej, że zamierza się z nią ożenić, zachowałyby się tak samo jak on. Mało tego, poczułaby się obrażona. A może to normalne, że człowiek głupiej z miłości?

Tak czy owak, czuła się winna.

Z perspektywy czasu powody, dla których nie była z nim szczerą, wydały jej się egoistyczne. Jego uzasadniony gniew i ból poruszyły ją do tego stopnia, że wolała uciec z podwiniętym ogonem, niż stanąć z nim twarzą w twarz.

A potem Del przyjechał do Cordiny. Jak to możliwe, że skupiona na roztrząsaniu własnych krzywd przeoczyła fakt, że zrobił to tylko i wyłącznie dla niej? Przecież wiedziała, że gdyby nie chciał, żadna siła nie zmusiłaby go do tej podróży.

I dlaczego nie chce pamiętać o tym, że tego wieczoru to on zrobił pierwszy krok? A ona, zamiast spokojnie wyjść mu naprzeciw, od razu wyskoczyła przed orkiestrę. Uznała za oczywiste, że on się dostosuje. Być może stało się tak, bo jest przyzwyczajona do tego, że ludzie spełniają jej rozkazy. Czy nie był to jeden z powodów, dla których zapragnęła na jakiś czas zapomnieć, że jest księżniczką? I wreszcie, czy te cudowne tygodnie, w czasie których była zwykłą Camilla, niczego jej nie nauczyły?

To nie myśl o małżeństwie odstraszyła Dela, tylko konsekwencje związku z księżniczką. Camilla przymknęła oczy. Co może na to poradzić? Wyrzec się swej rodziny, ojczyzny, wiekowego dziedzictwa? Nie, to nie wchodzi w grę.

Z drugiej strony nie chciała przecież wiązać się z człowiekiem, który nie umiałby dostrzec złożoności tej sytuacji. I nie mogłaby pokochać mężczyzny, którego cieszyłby fakt, że interesuje się nim bulwarowa prasa.

Co więc jej pozostaje? Samotne życie w złotej klatce. A dlaczego? Dlatego, że nie potrafi porozumieć się z jedynym mężczyzną, którego kocha.

Wszystko, tylko nie to! - zdecydowała, zatraskując książkę. Nie zgodzi się na takie życie. Już raz z obawy przed porażką uciekła z chaty Dela. Więcej tego nie zrobi. Musi znaleźć jakieś rozwiązanie. A jeśli ono nie istnieje? To niemożliwe, uznała, i zdecydowanym ruchem odrzuciła kołdrę. Ona na pewno je znajdzie! Po chwili wzięła głęboki oddech. Nie, poprawiła się, to oni je znajdą. Razem.

Pójdzie teraz do Dela i najpierw przeprosi go za swoje nierozważne słowa, a potem powie... Nie, nie, nie. Zapyta go, czy mogą spróbować jeszcze raz.

Usiadła na brzegu łóżka, nim jednak zdążyła wstać, usłyszała, że ktoś natarczywie dobija się do balkonowych drzwi. Serce skoczyło jej do gardła, lecz zamiast wezwać straż, sięgnęła po masywny srebrny lichtarz.

- Otwieraj! Słyszysz? Otwieraj te przeklęte drzwi albo je zaraz wyważę! - Choć głos był stłumiony przez podwójną szybę i zagłuszony grzmotem piorunu, rozpoznała go natychmiast.

Nie wypuszczając świecznika z ręki, przeszła przez pokój i ostrożnie uchyliła zasłonę. W jasnym świetle błyskawicy rozpoznała jego twarz. Był wściekły i przemoczony do suchej nitki. Woda kapłała mu z włosów, mokra koszula oblepiała tors.

- Do jasnej cholery, otwieraj! - wrzasnął, bo zamiast to zrobić od razu, wpatrywała się w niego jak w obraz.

Drgnęła jak człowiek obudzony ze snu i zaczęła zmagać się z zabezpieczeniem. Gdy je w końcu sforsowała, cofnęła się o krok i wpuściła go do środka.

- Co się stało? - wykrztusiła, spoglądając bezmyślnie na krople, które wprost z jego ubrania spływały na bezcenny perski dywan.

- Chcesz romantyzmu, siostrze?! - Zabrał jej świecznik i cisnął go w kąt. Jak na jeden wieczór miał dość otarć i siniaków, wołał więc nie ryzykować następnych.

- Del... - Cofnęła się o kolejne dwa kroki, za to on przesunął się o dwa kroki naprzód. - Delany. Jak udało ci się... Zraniłeś się w rękę.

- Chcesz faceta z silnym charakterem? Szukasz przygód? Co powiesz na odrobinę szaleństwa? - Chwyił ją za ramiona i uniósł do góry. - Jak ci się to podoba?

- Przemokłeś.

- Co ty powiesz? Ciekawe, jak ty byś wyglądała, gdybyś w czasie ulewy złaźła po ścianie pałacu.

- Po ścianie pałacu? - powtórzyła oszołomiona. Nawet nie próbowała protestować, gdy zaczął popychać ją w głąb pokoju. - Zlazłeś po ścianie? Czyś ty oszalał?!

- Zgadłaś. A wiesz, co dostaje idiota, który łązi nocą po ścianach zamku? Dostaje księżniczkę.

- Ależ ty nie możesz...

O tym, że jednak może, przekonała się natychmiast. Wystarczyło, że dotknął ustami jej warg, i szok ustąpił miejsca pożądaniu. A kiedy wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka, zupełnie straciła głowę.

Przez otwarte na oścież balkonowe drzwi wpadał do środka deszcz i wiatr, a oni próbowali jak najszybciej połączyć się w miłosnym tańcu. Camilla zdjęła ramiona z jego szyi tylko po to, by uwolnić go od mokrej koszuli. Tuliła się do niego, więc jej twarz i włosy lśniły od wilgoci.

- Pragnę cię - szepnął, przyciskając usta do jej szyi.

- Więc weź mnie. Weź! - Ujęła w dłonie jego twarz. Tak długo już czekam - mruknęła i przyciągnęła go siebie.

W świetle błyskawicy spojrzeli sobie głęboko w oczy. Właśnie wtedy, w tej jednej magicznej chwili, ujrzała w jego spojrzeniu to, co pragnęła. Pociągnęła go na siebie, szepcząc mu do ucha słowa miłości. Chwilę później kochali się z taką niecierpliwą namiętnością, jakby każde z nich robiło to pierwszy raz w życiu. Gdy opadło uniesienie, Del osunął się w dół i przytulił twarz do jej piersi. Kiedy wsunęła palce w jego włosy i zaczęła leniwie przeczesywać gęste pasma, przysięgał sobie, że mógłby spędzić tak resztę życia.

W którymś momencie podniósł Wzrok i mimo woli spojrzął na fruująca zasłonę i mokrą plamę na podłodze.

- Nie zamknąłem drzwi - mruknął. - Zaraz nas zaleje. Poczekaj chwilę.

Leniwie obserwowała, jak wstaje z łóżka i nagi idzie przez pokój. Nagle skoczyła jak oparzona i nerwowo chwytając szlafrok, zawołała, by nie podchodził do okna.

- Jeszcze ktoś cię zobaczy - powiedziała i szczerze otulona szlafrokiem, poszła zamknąć drzwi.

Pełna kontrola, pomyślał z sarkazmem, patrząc, jak Camilla zaciąga story. Nawet w takiej chwili nie potrafi zapomnieć, kim jest. Księżniczce nie wolno spacerować nago po własnym pokoju. Nie mówiąc już o tym, że miałby to robić mężczyzna. Kiedy podchwyciła jego spojrzenie, próbowała się tłumaczyć.

- Sam chyba rozumiesz... Strażnicy, goście... - Urwała, spuszczać wzrok. - Przyniosę ręczniki.

Gdy była w łazience, odszukał swoje frakowe spodnie. Wprawdzie mokre i pogniecione nie nadawały się już do niczego, uznał jednak, że skoro ma z nią rozmawiać, powinien mieć na sobie coś więcej niż tylko serce na dłoni.

Kiedy wróciwszy do sypialni uklękła i zaczęła wycierać podłogę, uśmiechnął się, bo przypomniało mu się ich wspólne życie w chacie.

- Nie śmieć się - rzekła poważnie. - Muszę być praktyczna.

- Rozumiem.

- Doprawdy? - Była zła na siebie, że znowu zbiera jej się na płacz.

- Tak. Podziwiam cię za to, że taka jesteś. Praktyczna, zaradna, a jednocześnie królewska.

Wolno podniosła na niego wzrok. Odłożyła na bok mokry ręcznik i przysiadła na piętach.

Wyraz niedowierzania w jej oczach sprawił mu przykrość.

- Podziwiam cię - powtórzył, wpychając ręce do kieszeni. - Mówienie o takich sprawach nie przychodzi mi łatwo. Ale, na Boga, przecież nie jestem idiotą. Widzę, jak ty i

twoja rodzina gimnastykujecie się, żeby w całej tej groteskowej sytuacji zachować choćby trochę normalności. I naprawdę nie pojmuję, jak wam się to udaje?

- A ja myślę - rzekła, odwracając wzrok - że rozumiesz. Na tyle, na ile potrafisz. Może nawet bardziej niż inni. I podejrzewam, że stąd biorą się nasze nieporozumienia - tłumaczyła, wracając do osuszania podłogi.

- Dlaczego nie patrzysz mi w oczy?

- Bo to dla mnie za trudne. Przepraszam cię.

Zaskoczony patrzył, jak wstaje z kolan i wyprostowana niczym żołnierz podczas parady wynosi mokry ręcznik do łazienki. Kobiety to jednak dziwne stworzenia, pomyślał. Żeby je zrozumieć, trzeba się ciężko napracować.

Po powrocie podeszła do niewielkiej szafki i wyjęła z niej karafkę.

- Myślę, że brandy dobrze nam robi - rzekła, sięgając po kieliszki. - Del, chcę cię przeprosić za to, co powiedziałam w ogrodzie. Nie powinnam była tego robić. Wybacz mi.

- Przestań! - Rozdrażniony niemal wyrwał jej kieliszek.

- Czy naprawdę nie potrafisz się zdobyć na odrobinę uprzejmości?

- Na pewno nie wtedy, kiedy opowiadasz głupstwa. Gdybym oczekiwał przeprosin, dałbym ci to wyraźnie odczuć. Powiem ci, jak zrobisz coś źle - rzucił szorstko i pociągnął łyk alkoholu. - Zraniłaś mnie! - Zmierzył ją złym, pałającym wzrokiem.

- Wiem. To, co ci powiedziałam...

- Nie o to chodzi. - Nerwowym ruchem przeczesał palcami włosy. - Mówię o tym, co zdarzyło się wcześniej. Okłamałaś mnie. Liczyłem na ciebie, i nie myślę tu o gotowaniu i sprzątanii mojego bałaganu. Zacząłem myśleć o tobie, o nas, a potem to wszystko, w co zaczynałem wierzyć, rozleciało się na moich oczach jak domek z kart.

- Źle to wszystko rozegrałam. Zachowałam się jak egoistka. Uciekłam, choć wmawiałam sobie, że tego nie robię. Na usprawiedliwienie mam tylko to, że latem poczułam się przytłoczona. To wszystko, czego nie znoszę, podeszło tak blisko, że nie umiałam się odnaleźć. Nie mogłam być...

- Sobą.

- Właśnie - przyznała półgłosem.. - . W czerwcu miałam przykrą przeprawę z reporterami. Niby nic nowego, powinnam być już uodporniona, ale tamtej nocy coś we mnie pękło. Coś, co narastało bardzo długo. Od wielu miesięcy nie mogłam jeść, spać, nie potrafiłam skoncentrować się na tym, co robię. Nie mogłam... - Głos jej się załamał.

- Mów dalej. Opowiedz mi o wszystkim, co się wtedy stało.

Zrobiła to, ostrożnie dobierając słowa.

- Camillo, na miłość boską! Jak mogłaś doprowadzić się do takiego stanu?!

Spojrzała mu w oczy.

- Teraz wiem, że powinnam była porozmawiać z rodziną. Na pewno zrobiliby wszystko, żeby mi pomóc. Tylko że ja nie potrafiłam przyznać się do słabości. Biedna Camilla. Wiedzie wygodne życie otoczona miłością najbliższych i nagle czuje się zbyt słaba i delikatna, aby podolać obowiązkom wynikających z jej uprzywilejowanej pozycji.

- Brednie!

- Wtedy tak nie myślałam. Byłam doprowadzona do ostateczności. Gubiłam się w tym wszystkim. Nie sądzę, aby ktoś, kto zna siebie tak dobrze jak ty, potrafił zrozumieć ten stan. Jednym słowem, czułam się zaszczuta i nie potrafiłam dojść do ładu z własnymi emocjami. Zdawało mi się, że mam w sobie straszliwą pustkę. Żadnej pasji, żadnych zainteresowań. Pojęłam, że robię tylko to, czego wymagają ode mnie obowiązki.

Potrafił wyobrazić sobie tę presję. Domyślał się, czym jest kompletny brak prywatności i ciągle przeskakiwanie przez wysoko ustawioną poprzeczkę. Tym bardziej podziwiał ją za to, że miała w sobie dość siły, by przetrwać. I dość odwagi, by wyrwać się z zaklętego kręgu.

- A więc spakowałaś parę rzeczy i wsiadłaś do wypożyczonego samochodu.

- Mniej więcej. Teraz jednak dochodzę do wniosku, że źle to wszystko rozegrałam - powtórzyła.

- Oboje to źle rozegraliśmy - sprostował. - Myślę jednak, że nie wszystko jeszcze stracone. Rozumiem cię, Camillo. Rozumiem, jak ciężko ci żyć, gdy wokół bezustannie kręcą się jacyś ludzie, dziennikarze, urzędnicy. Do tego całe to zamieszanie z dworską etykietą. Nie zazdroścę ci.

- Nie jest aż tak źle. Tyle że czasami wyraźnie czuję, że muszę...

- Odetchnąć - dokończył za nią.

- Owszem - Skinęła głową czując pod powiekami łzy.

- No nie! Nie rób mi tego. Jak zaczniesz się mazać, nie będę w stanie z tobą rozmawiać. Poważnie. Więc proszę cię, przestań. Nigdy dotąd nie powiedziałem żadnej kobiecie, że ją kocham. I jeśli będziesz pochlipywać, stracę okazję.

- Ja nie pochlipuję - zaprotestowała, tłumiąc rozedzierający szloch. Otarta oczy chusteczką i z drżącym sercem czekała, co jej powie. - No mów - zachęciła go, trochę zaniepokojona przedłużającym się milczeniem.

- Chwileczkę. Wszystko w swoim czasie. Camillo, ty nie jesteś słaba.

- Z reguły nie.

- Najpiękniejszy klejnot korony. Jak widzisz, nadrobiłem zaległości w lekturze brukowców. Ci durni pismacy w jednym mieli rację. Klejnot, alby lśnić, musi mieć mocną strukturę, która wytrzyma obróbkę. I ty ją masz.

- To największy komplement, jaki od ciebie usłyszałam.

- Może przeoczyłaś inne. Mężczyźni potrafią powiedzieć ci tylko to, że jesteś piękna. Lubię twoją rodzinę.

- Moją rodzinę?

- Tak. Twoją matkę, siostrę, braci i wszystkich tych kuzynów, ciotki i wujków, których imion nawet nie pamiętam. Tylko z ojcem mam pewien kłopot. Ale zaczynam go rozumieć. Pewnie gdybym sam miał taką córkę jak ty, chciałbym skopać tyłek facetowi, który ośmielił się do niej dobrać.

- Ojciec cię lubi.

- Na surowo czy upieczonego na wolnym ogniu?

- Daj spokój. Uważa, że masz potencjał.

- Doprawdy? - Zmrużył oko, a widząc gruby podręcznik archeologii leżący na nocnej szafce, zapytał, czy jeszcze nie przeszła jej fascynacja tą dziedziną.

- Jak możesz o to pytać! Chcę pójść na studia. I marzę o tym, żeby kiedyś z tobą pracować. Na razie skontaktowałam się z doktorem Lesuerem, który zgodził się przyjąć mnie do swojej ekipy prowadzącej badania we Francji.

- A, tak. - Pokiwał głową. - Specjalista od dolnego paleolitu. Świetny nauczyciel. Ma to, czego mnie brakuje. Cierpliwość. Praca z nim na pewno będzie dla ciebie dużo przyjemniejsza niż ze mną. Szkoda tylko, że ominie cię Bardville.

Wzięła głęboki oddech.

- Mówisz poważnie? Zgodziłbyś się, żebym wzięła udział w tych badaniach?

- Przymierzam się do kupna nowej przyczepy, bo stara nadaje się już tylko na złom. Poza tym chyba będę miał sporo pracy w laboratorium. Może więc nie byłoby od rzeczy wynająć jakieś mieszkanie blisko uniwersytetu. Albo kupić dom.

Nie potrafiła znieść już napięcia, które ją rozsadzało. Co za cudowne uczucie, nie móc oddychać ze szczęścia!

- W mojej rodzinie jest tak, że ten, kto decyduje się robić karierę albo zakłada rodzinę, zostaje zwolniony z większości oficjalnych funkcji. A teraz powiedz mi, wiesz co.

- Uprzedzam, że będę marudził za każdym razem, kiedy każesz mi wystroić się tak jak na dzisiejszy bal. Domyślałam się, że będziesz mi wtedy wypominała mój hrabiowski tytuł.

- Naturalnie.

- Obiecuję jednak, że będę się starał zaakceptować wszystko to, co razem z tobą wejdzie do naszego związku. A ty pogodzisz się z tym, co wniosę ja.

Na sekundę przymknęła oczy.

- Czy prosisz mnie o...

- Nie przerywaj mi. - Ujął jej twarz w dłonie i zajął głęboko w oczy. - Masz wspaniałą urodę. Ja o tym wiem, i ty o tym wiesz. Naprawdę nie obchodzi mnie, że będę oglądał twoją twarz na okładkach pism. Podobnie jak mam w nosie bzdury, które w nich wypisują. Sami najlepiej wiemy, jacy jesteśmy.

Wzruszenie ścisnęło ją za gardło. Słowa, które przed chwilą usłyszała, były najwspanialszym dowodem na to, że Del w nią wierzy i że jej ufa.

- Nie mam przy sobie żadnego pierścionka.

- Nie zależy mi na tym.

- Ale mnie zależy, żebyś nosiła pierścionek, który ci dam - powiedział z mocą.

- Del, jeśli nie chcesz, żebym się popłakała, lepiej się pospiesz.

- Dobrze, dobrze. Tak to jest, jak człowiek stara się być romantyczny.

- Jeśli chodzi o romantyzm, to dawka, jaką mi dziś zaserwowałeś swoją wspinaczką po murze, w zupełności wystarczy.

- Uwielbiam cię - powiedział z lekką ironią. - Całą. A już najbardziej te wygadane usta.

- To wspaniale. Ale spróbuj zdobyć się na coś bardziej romantycznego. Obiecuję, że jakoś wytrzymam.

- Kocham cię. - Znowu zamknął jej twarz w dłoniach. I nawet nie przestraszył się lzy, która popłynęła po jej policzku. - Camillo, kocham cię za to, jaka jesteś. I za to, jacy dzięki tobie jesteśmy my oboje. Kocham kobietę, która sprzątała moją kuchnię taką samą miłością, jaką kocham tę, z którą tańczyłem dziś walca.

- I ja cię kocham. Tylko przy tobie czuję się sobą i tylko z tobą mogę być szczęśliwa.

- Wyjdź za mnie. Dziel ze mną życie. Nie mogę obiecać, że zawsze i wszędzie będzie ci ze mną wygodnie, ale jedno ci gwarantuję. Na pewno nie będziesz się nudzić.

- Zostanę twoją żoną. Będę z tobą pracować. I będę cię bardzo kochała. Zawsze.

- Jedź ze mną na Florydę - poprosił, biorąc ją w ramiona. - Nie chcę się z tobą rozstawać.

- Dobrze. Zorganizuję wyjazd. - Zaciśnęła palce na jego barkach. - Chciałam powiedzieć, my zorganizujemy.

- Obiecuję ci, że znajdę czas na to, abyśmy załatwili sprawy, które muszą zostać załatwione.

- Nie martw się. Znajdziemy rozwiązanie. Razem potrafimy znaleźć odpowiedź na każde pytanie.

Przytuliła się do niego, szczęśliwa, że wreszcie odnalazła swoją pasję, zadowolenie i miłość. Trzy w jednym, pomyślała rozbawiona tym skojarzeniem. A najistotniejsze było to, że wreszcie zadała swe najważniejsze pytanie i uzyskała na nie odpowiedź.